MAGAZYN *razem z dodatkami*

● Maria Deskur: Bez czytania możemy się cywilizacyjnie cofnąć
● Obala mity o Czarnobylu ● Przyjęcia komunijne jak wesela ● Kacper, który zaskoczył Patryka
PLUS TELEMAGAZYN **z programem TV i zapowiedziami najciekawszych programów w tygodniu**

Express BYDGOSKI

Piątek 8.05.2026 | Nr 105 (11293) Rok XXXVII | **www.expressbydgoski.pl** Cena 6,50 zł (w tym 8% VAT)

Nr ISSN 1230-9192 Nr indeksu 350680

FOT. DARIUSZ BLOCH

Szpital Wojskowy ma aż 27 mln zł długu. Czy MON spłaci jego część? **str. 3**

Kronika bydgoska
Sentymentalna podróż blokowiskowa **str. 2**

Chodźcie na spacery po mieście

FOT. ARCHIWUM

W Bydgoszczy rozpoczyna się nowy sezon wycieczkowy. W niedzielę (10 maja) mieszkańcy będą mogli przyjrzeć się miastu z sześciu różnych perspektyw. Stowarzyszenie Obywatel Działa zaprasza na Turystyczne Rozpoczęcie Sezonu **str. 4**

Otworzyć zjazd z Kamiennej w Lelewela? Proponuje Czytelnik. Co na to Zarząd Dróg Miejskich i Komunikacji Publicznej? **str. 4**

Zaczął się remont nawierzchni przy wjeździe do Myślęcinka. Dziury wkrótce mają zniknąć **str. 6**

Będzie u nas fabryka amunicji? S-10 gotowa na wakacje 2027? Wojewoda Michał Sztybel odpowiada **str. 7**

Morderstwo w Parku Glazja w Toruniu. Wenezuelczyk zabił z okrucieństwem. Grozi mu dożywocie **str. 8**

„My cały czas żyjemy Stomilem" - mówią byli pracownicy. Prezes o aktualnej sytuacji w firmie **str. 9**

eprasa.pl 7277978f22

TYDZIEŃ Z „EXPRESSEM”

SOBOTA
● Cezary Pazura - każdy zna jego komediowe role

PONIEDZIAŁEK
● Sportowe wydarzenia, wyniki i tabele z weekendu

WTOREK
● Strefa biznesu - analizy i informacje gospodarcze

ŚRODA
● Z tymi chorobami nie wyjedziesz do sanatorium

CZWARTEK
● Masoni - nie taki diabeł straszny?

PIĄTEK
● Seniorka pod tramwajem. Kto zapłaci za jej krzywdę?

ZAMÓW PRENUMERATĘ: tel. 52 511 94 64, bok.prenumerata@polskapress.pl, prenumerata.expressbydgoski.pl

Lucyna Talaśka-Klich
publicystka

CIUPAGA I MONA LISA Z CHIŃSKIEGO SKLEPU

Nie mamy szans - powiedział Toshihiro Mibe, prezes Hondy, po powrocie z Chin. Bo w Państwie Środka mają znacznie niższe koszty produkcji, fabryki są zautomatyzowane, zatem wprowadzenie nowych modeli na rynek to dla Chińczyków kaszka z mlekiem. Europejskim, koreańskim czy japońskim koncernom coraz trudniej konkurować z chińskimi producentami aut.

- Nie mam szans, żeby wygrać z chińszczyzną - powiedziała krawcowa z Bydgoszczy, która przez ponad dwadzieścia lat utrzymywała się z szycia, skracania i przerabiania. - Teraz ludzie wolą kupić nową bluzkę za kilkanaście złotych niż naprawiać starą za kilkadziesiąt. Już nie szyje, nie skraca, nie przerabia. Teraz dorabia sobie, sprzedając nici, guziki i zamki błyskawiczne wyprodukowane... w Chinach. Chińskie towary są wszechobecne. Koleżanka była Pekinie, na chińskim straganie znalazła pamiątki z... Zakopanego.

Poszłam tym tropem. Zajrzałam na stronę chińskiej platformy zakupowej. Pamiątek z Polski jest tam do wyboru, do koloru. Są kubki termiczne, podkładki, otwieracze, breloczki, kosmetyczki, torby, magnesy, koszulki... Uśmiałam się do łez. Najbardziej ze strojów folklorystycznych przypominających pomieszanie z poplątaniem. Dziewczyna w krakowskim stroju tańczy z chłopakiem, który chyba został „ubrany” przez sztuczną inteligencję. Jego czapka bardziej kojarzy się z Białorusią niż z Polską. Można też kupić płaską tabliczkę „w stylu vintage”. Na niej kura i napis: „Uwaga, kurze g... wszędzie.” Na tabliczce nie ma wykropkowanych słów. No i jest informacja, że to „(...) nostalgiczny polski tekst, odpowiedni do kuchni, ogrodów, barów (...)”. Patrząc na coś takiego, kawa chyba by mi nie smakowała.

Żeby nie było - pamiątki z różnych zakątków świata też tam są. Z Turcji, Grecji, Hiszpanii, Egiptu, Francji... Znalazłam magnesiki z Paryża, takie same jakie kupiłam we Francji po 5 euro za sztukę. Różnica? Tylko cena - od 3 do 5 zł.

Zatem pamiątkami nie ma się już co przejmować. Nawet przed wakacjami można kupić suweniry z miejsc, w które się dopiero pojedzie. Nie trzeba przepłacać, marnować czasu na buszowanie po lokalnych straganach, bo i tak pamiątki będą Made in China. Jakie to smutne... ©℗

KRONIKA BYDGOSKA

Sentymentalna podróż blokowiskowa

Ewa Czarnowska-Woźniak
ewa.czarnowska-wozniak@polskapress.pl

Tak wielu z nas wyjechało w „wielki świat" z większego lub mniejszego bloku. I czule go wspomina.

Przeczytałam, podobnie jak wielu z Państwa, w ostatnim Magazynie „Expressu” świetny tekst redaktora Macieja Czerniaka poświęcony niemal ikonicznemu mrówkowcowi na Bartodziejach. Autor nie tylko przedstawił historię tego charakterystycznego bloku w ujęciu „dziejowym” i urbanistycznym, ale pokazał to miejsce głównie przez historię jego mieszkańców. I zrobiło się wzruszająco. Nie tylko dla mieszkańców Bartodziejów. Kto nie kocha takich sentymentów?

Moja mama od... 71 lat mieszka w bloku, którego adres meldunkowy, jak wspomina, brzmiał... Osiedle Leśne 44. Bloku leżącego nieopodal dawnej ulicy Sosnowej, dziś Czerkaskiej. W dwupokojowym mieszkaniu, które młode małżeństwo z dzieckiem musiało w 1955 roku dzielić z obcym mężczyzną. Takie cuda socjalistycznego kwaterunku były mi już, na szczęście, obce, gdy ja tam się wychowywałam - pod normalnym adresem. Z nazwą ulicy, numerem bloku i mieszkania.

FOT. ARCHIWUM/M.CHEŁMINIAK

Fordon - dla jednych bezimienna, betonowa sypialnia, dla innych dom

A przecież, zdjęcia z lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku, pokazujące surowe, na kształt radzieckich, aleje wyznaczające osie osiedla, przy których wznoszono 4-kondygnacyjne bloki, robią co jakiś czas sentymentalną furorę w internecie. Sentyment każe zapomnieć o trudnościach tamtych czasów, uruchamia od razu czułe wspomnienia za minioną młodością.

Grą w dwa ognie do upadłego, dopóty w zapadającej ciemności było jeszcze widać piłkę, na wąskiej uliczce, którą teraz nie da się nawet przejść, bo tyle jest samochodów parkujących wzdłuż bloków - tłok, o którym nie śniło się XX-wiecznym architektom. Na jej końcu - sportowa dziś podstawówka, jedna z wielu za czasów mojego dzieciństwa. Było nas w wyżu demograficznym tylu, że potrzebowaliśmy szkół niemal na każdej ulicy. Dziś „piętnastka” obudowana jest nowoczesną salą gimnastyczną i orlikami, a kiedyś przecież była opalana węglem, którego sterty musieliśmy obiegać na plenerowych w-f. Węgiel był zresztą w ogóle zmorą mojej rodziny, bo jego hałda leżała też na podwórku kotłowni dzisiejszego KPEC, na które wychodziły okna mojego mieszkania. Pył był trudny do usunięcia z szyb nie tylko na święta. Brud nie przeszkadzał nam jednak przemieniać całego podwórka w wielką trasę Wyścigu Pokoju i ścigać się kapslami od trzepaka do trzepaka. Dziś już nas tam nie ma. I nie ma tego podwórka.

Klatki pełne są nowych mieszkańców, nie tylko w tej mojej rodzinnej, na Leśnym, ale i w tej mojej z dorosłego życia. Wprowadzaliśmy się do Nowego Fordonu jako młodzi ludzie, w nowej wspólnocie rodziły się nam przyjaźnie i dzieci, a dziś, po przeszło 35 latach, z „natywnych” lokatorów zostało nas troje. Życie rotowało mieszkańcami, w niektórych lokalach zmieniali się już oni trzy i cztery razy. Dziś nie znam większości nazwisk, a mimo poważniejszego wieku często kłaniam się pierwsza, by zyskać z sąsiadami interakcję.

Ani się zorientują, a ich dzisiejsze życie, wyznaczone według nowoczesnych reguł, samo stanie się czułą przeszłością

Za to tak jak bohaterowie tekstu Maćka mieli swoich rozpoznawalnych w mieście sąsiadów, i ja mogę pochwalić się współmieszkańcami. To z mojego bloku na Leśnym wyjechał w latach osiemdziesiątych do Kanady uznany malarz i autor murali, Kuba Bryzgalski. Później inny, znacznie młodszy Kuba, uparcie zaś improwizował na gitarze piętro pod sypialnią mojego niesypiającego dziecka. Multiinstrumentalista, laureat Paszportu Polityki, Kuba Ziołek dawno już nie mieszka w Fordonie, podobnie jak moja córka, można już więc z czystym sumieniem pławić się w blasku sąsiedzkiej chwały... I wspomnień.

Tak samo sentymentalnie jest na pewno w blokowiskach Szwederowa, Wyżyn czy Błonia i każde pokolenie buduje swoje wspomnienia. Ani się zorientują, a ich dzisiejsze życie, wyznaczone według nowoczesnych reguł, samo stanie się czułą przeszłością. Gdzieś na Osowej Górze czy Kapuściskach... ©℗

POGODA W BYDGOSZCZY

Piątek
13°C
6°C

Wiatr
płn.-wsch., 11 km/h
Ciśnienie
1020 hPa
Biomet
rkorzystny

Sobota
15°C
8°C

Niedziela
17°C
6°C

Imieniny obchodzą dzisiaj Stanisław, Michał, Ida, Wiktor, Benedykt

W SOBOTĘ Z „EXPRESSEM”

FOT. INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

Krzysztof Klenczon. W 1964 r. dołączył do zespołu Pięciolinie, który przekształcono w Czerwone Gitary. Grał w nim przez 5 lat, z tego okresu pochodzą piosenki, które znamy i śpiewamy do dzisiaj: „Biały krzyż”, „Historia jednej znajomości”, „Nikt na świecie nie wie” czy „Kwiaty we włosach”. 7 kwietnia 2026 r. minęło 45 lat od tragicznej śmierci muzyka. Zmarł w szpitalu w Chicago, w którym przez 40 dni walczył o życie. Wcześniej ucierpiał w wypadku samochodowym, który jego żona Alicja jeszcze po latach uważała za bardzo niepokojący.

Ponadto:
● Kaczka najlepiej smakuje z kwaśnymi owocami
● Czy AI może zastąpić lekarza?
● Piękne pałace i parki wokół nich

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Maria Deskur, ekspertka w dziedzinie upowszechniania czytelnictwa oraz prezeska Fundacji Powszechnego Czytania

Bardzo wczesne dawanie dzieciom ekranów nie pomaga. Dziecko powinno trochę się ponudzić, obserwować przyrodę, być w relacji z drugim człowiekiem

Puls, str. 14-15

eprasa.pl 7277978f22

Szpital Wojskowy w Bydgoszczy ma aż 27 milionów złotych długu. Czy MON spłaci część zobowiązań?

Marcin Kozłowski
marcin.kozlowski@polskapress.pl

Sytuacja finansowa 10. Wojskowego Szpitala Klinicznego z Polikliniką SPZOZ w Bydgoszczy nie jest obojętna dla jego funkcjonowania, ale placówka zapewnia ciągłość udzielania świadczeń opieki zdrowotnej - zapewnia Ministerstwo Obrony Narodowej, które sprawuje bezpośredni nadzór nad szpitalem.

FOT. DARIUSZ BLOCH

Na 31 marca 2026 r. zobowiązania wymagalne szpitala wynosiły 23,1 mln zł

Wracamy do sytuacji panującej w 10. Wojskowym Szpitalu Klinicznym z Polikliniką SPZOZ w Bydgoszczy. Po naszym artykule o niedziałających windach w placówce, otrzymaliśmy e-maile, których autorzy przekonywali, że po objęciu funkcji komendanta przez płka dra n. med. Sławomira Wawrzyniaka szpital coraz bardziej zadłuża się i traci płynność finansową. Szefowi zarzucano też nepotyzm i zatrudnianie wybranych osób z pominięciem obowiązujących procedur oraz mobbing, w wyniku którego ze szpitala odeszło kilku uznanych specjalistów. W odpowiedzi na nasze pytania komendant zapewnił, że szpital działa stabilnie i realizuje swoje zadania, mimo że rok obrotowy 2024 zamknął stratą w wysokości 11 608 489,51 zł. To aż o 9 826 846,59 zł więcej rok do roku.

Pod nadzorem MON

Co na to Ministerstwo Obrony Narodowej, któremu podlega 10. WSK? Wydział Medialny Departamentu Komunikacji i Promocji resortu informuje nas, że nadzór nad szpitalem, jak nad każdym podmiotem leczniczym wojskowej służby zdrowia, prowadzony jest w trybie ciągłym m.in. przez kontrole i nadzory przeprowadzane przez pracowników departamentów MON, weryfikację i analizę sprawozdawczości realizowanej przez podmiot nadzorowany w obszarze ekonomiczno-finansowym, weryfikację i analizę programu naprawczego, monitoring działań naprawczych, zobowiązanie do ponowienia analiz i aktualizacji koncepcji naprawczych oraz rozmowy służbowe z komendantem szpitala.

MON zapewnia, że sytuacja finansowa szpitala monitorowana jest na podstawie okresowych kwartalnych sprawozdań ekonomiczno-finansowych.

„Kierownictwo Departamentu Wojskowej Służby Zdrowia przeprowadzało rozmowy służbowe z komendantem szpitala dotyczące pogarszającej się sytuacji ekonomiczno-finansowej kierowanego przez niego podmiotu. Podmiot tworzący obserwując pogarszającą się sytuację finansową szpitala dokonał analizy danych sprawozdawczych, w tym struktury kosztów pracy z uwzględnieniem rosnącej płacy minimalnej oraz minimalnej stawki godzinowej (...) uwzględniając również średnioroczny wskaźnik cen towarów i usług konsumpcyjnych ogółem w stosunku do poprzednich okresów obrachunkowych. Podmiot tworzący po kontroli dotyczącej m.in. gospodarki finansowej zakładu, zrealizowanej w szpitalu w 2025 r. sformułował zalecenia pokontrolne obligujące komendanta do podjęcia skutecznych działań naprawczych, przede wszystkim ograniczających koszty, celem uniknięcia utraty płynności finansowej w latach kolejnych" - podaje Wydział Medialny Departamentu Komunikacji i Promocji MON.

Ponad 23 miliony zobowiązań i kredyt

MON informuje, że na 31 marca 2026 roku zobowiązania wymagalne szpitala wynosiły 23,1 mln zł, a zadłużenie z tytułu kredytu otwartego w rachunku bieżącym udzielonego przez Bank Gospodarstwa Krajowego 3,7 mln zł. Łącznie to zatem 26,8 mln zł.

„Sytuacja finansowa szpitala nie jest obojętna dla jego funkcjonowania. Niemniej jednak zapewnia ciągłość udzielania świadczeń opieki zdrowotnej. Komendant nie zamierza ograniczać zakresu realizowanych świadczeń. Szpital posiada zatwierdzony program naprawczy na lata 2024-2026. Działania naprawcze wskazane w programie opierają się o utworzenie nowych komórek organizacyjnych, rozwinięcie zabiegów przy użyciu robota chirurgicznego, zwiększenie liczby wykonywanych świadczeń, stałą analizę kosztów ponoszonych przez szpital. Placówka została zobligowana przez podmiot tworzący do przeanalizowania innych, możliwych do wdrożenia działań o charakterze naprawczym. Komendant przedstawił plany dotyczące zwiększenia liczby wykonywanych zabiegów oraz zmian dotyczących zatrudnienia. Zgodnie z założeniami szpital planował podejmowanymi działaniami naprawczymi zmniejszyć skalę pogłębiania się straty" - informuje MON.

Resort czeka na sprawozdanie

Resort nie wyklucza pokrycia części zobowiązań bydgoskiego Szpitala Wojskowego, ale czekać będzie na zakończenie procedury badania rocznego sprawozdania finansowego przez firmę audytorską.

„SPZOZ gospodarują samodzielnie przydzieloną i nabytą częścią mienia państwowego oraz prowadzą samodzielną gospodarkę finansową w ramach posiadanych środków, kierując się zasadami efektywności ich wykorzystania. Tym samym muszą pokrywać koszty działalności wyłącznie z wykorzystaniem osiąganych przychodów pochodzących głównie z kontraktu z NFZ. We wstępnej wersji rocznego sprawozdania finansowego za 2025 r. komendant szpitala w zakresie propozycji pokrycia straty wskazał na możliwość częściowego jej pokrycia przez podmiot tworzący w oparciu o art. 59 ustawy o działalności leczniczej. Po zakończeniu procedury badania rocznego sprawozdania finansowego przez firmę audytorską i przekazaniu do MON jego ostatecznej wersji celem zatwierdzenia znana będzie ostateczna wysokość straty za 2025 r., a tym samym możliwe będzie ustalenie dokładnej kwoty do ewentualnego pokrycia przez podmiot tworzący tj. „Ministra ON" - czytamy w kolejnej odpowiedzi z resortu.

Wydział Medialny Departamentu Komunikacji i Promocji zapewnia również, że wszelkie informacje dotyczące mobbingu i nepotyzmu stosowanego przez komendanta są „analizowane przez właściwe komórki". W zależności od ustaleń są wdrażane środki naprawcze, a sprawy o charakterze naruszeń prawa kierowane do odpowiednich organów. ©℗

Ustny angielski wcale nie był taki straszny naszym maturzystom

Małgorzata Pieczyńska
malgorzata.pieczynska@polskapress.pl

Po pisemnych egzaminach z języka polskiego, matematyki i języka obcego nowożytnego na poziomie podstawowym przyszedł czas na rozszerzenia i egzaminy ustne.

FOT. TOMASZ CZACHOROWSKI

Natasza Silarska, maturzystka z III LO w Bydgoszczy, wczoraj zdawała ustny egzamin z języka angielskiego

Tegoroczna matura wkracza w kolejny etap. W czwartym dniu matury (7 maja) w sesji porannej o godz. 9 odbyły się egzaminy z języka angielskiego na poziomie rozszerzonym i dwujęzycznym, z kolei w sesji popołudniowej od godz. 14 zaplanowano rozszerzenie z historii muzyki.

Równolegle z pierwszymi egzaminami pisemnymi na poziomie rozszerzonym rozpoczęły się egzaminy ustne. Jak już informowaliśmy, na maturze uczniowie mają obowiązek przystąpić do dwóch egzaminów ustnych z języka polskiego i języka obcego nowożytnego. Przypomnijmy, że matury pisemne potrwają do 21 maja, natomiast egzaminy ustne z języka polskiego i języka obcego nowożytnego planowane są do 30 maja.

Czekanie na swoją kolej było najgorsze

W czwartek (7 maja) egzamin ustny z języka angielskiego zdawała Natasza Silarska, tegoroczna maturzystka z III LO w Bydgoszczy, której zmagania na egzaminie dojrzałości śledzimy ze szczególną uwagą.

- Poszło mi znakomicie! Uzyskałam wynik aż 93 proc. i jestem bardzo szczęśliwa - powiedziała nam Natasza. - Trochę się stresowałam przed wejściem do sali, bo dopiero jako siódma osoba w kolejności wchodziłam na ten egzamin. To oczekiwanie było najgorsze, tym bardziej cieszę się z wyniku.

Po wylosowaniu zestawu egzaminacyjnego, Natasza najpierw wzięła udział w rozmowie wstępnej.

- Komisja zadała mi dwa pytania - mówi maturzystka. - Musiałam powiedzieć, jak lubię odpoczywać po ciężkim dniu i jakie jedzenie lubię. To było proste.

Maturzystka: - W sumie to był przyjemny egzamin

W zestawie egzaminacyjnym znajdowały się trzy zadania.

- W zadaniu pierwszym musiałam wcielić się w rolę osoby, która razem z koleżanką organizuje kampanię o szkodliwości alkoholu - mówi Natasza. - Musiałyśmy, m.in., podzielić się zadaniami oraz powiedzieć, w jakiej formie zorganizujemy tę kampanię, trzeba było też ustalić sponsorów i koszty. W zadaniu drugim trafiła mi się ilustracja przedstawiającą rodzinę, która robiła drzewo genealogiczne. Musiałam powiedzieć np. co widzę na ilustracji oraz co robią osoby znajdujące się na niej. W zadaniu trzecim były dwa plakaty przestrzegające przed plagiatem. Należało wybrać jeden z nich, opisać go i uzasadnić swój wybór. W sumie to był bardzo przyjemny egzamin.

W województwie kujawsko-pomorskim w tym roku maturę zdaje 16 972 tegorocznych maturzystów. Najwięcej w liceach

W województwie kujawsko-pomorskim w tym roku maturę zdaje 16 tys. 972 tegorocznych maturzystów. Najwięcej osób przystąpiło do niej w liceach ogólnokształcących - 10 489 i technikach - 6130, w samej Bydgoszczy to 4478 osób.
©℗

eprasa.pl 7277978f22

Bydgoszcz

Sześć bezpłatnych spacerów po mieście

Jarosław Więcławski
jaroslaw.wieclawski@polskapress.pl

W najbliższą niedzielę mieszkańcy będą mogli przyjrzeć się miastu z sześciu różnych perspektyw. Stowarzyszenie Obywatel Działa zaprasza na Turystyczne Rozpoczęcie Sezonu.

Jak przekazują organizatorzy, inicjatywa to nie tylko symboliczny start letnich aktywności, ale również zaproszenie do odkrywania lokalnego dziedzictwa w przystępny i angażujący sposób. Stowarzyszenie zaprasza Bydgoszczan do udziału w sześciu bezpłatnych spacerach z przewodnikami, pozwalających lepiej poznać mniej znane zakątki miasta, dowiedzieć się więcej o historii kolei czy posłuchać opowieści o rzece.

- Każda z wycieczek to odrębna historia i inne spojrzenie na miasto, co sprawia, że wydarzenie stanowi doskonałą okazję do poznania Bydgoszczy zarówno dla mieszkańców, jak i turystów - informują organizatorzy.

Udział we wszystkich spacerach nie wymaga wcześniejszych zapisów. Wystarczy przyjść na miejsce zbiórki i dołączyć do wybranej grupy. Pierwszy spacer odbędzie się w niedzielę o godzinie 10. Przez „Kolejowe Koleje Bydgoszczy" przeprowadzi uczestników Bartosz Masiełajć. Zbiórka przy budynku Dyrekcji Kolejowej przy ul. Dworcowej 63.

W samo południe równolegle rozpoczną się dwa spacery. Na Starym Rynku na uczestników czekał będzie Filip Krauze, a na rynku w Starym Fordonie Damian Amon Rączka. Z pierwszym z przewodników będzie można wspólnie odkryć, jaką rolę Brda odegrała w historii miasta, a to jak wiadomo „Temat Rzeka", drugi przybliży historię „Fordonu – Miasta Trzech Kultur".

– Zapraszamy wszystkich mieszkańców i turystów. W ciągu ok. 2-2,5 godzin będą mieli okazję poznać historię Fordonu jako trójkulturowego miasta, gdzie zachowały się dwie świątynie i synagoga, dookoła niego są cmentarze ewangelickie, żydowski i katolickie. Treścią tej wycieczki jest opowieść wspólna ulic, gdzie różni od siebie mieszkańcy razem mieszkali przez setki lat - mówi nam Damian Amon Rączka.

O godzinie 14 chętni mogą wybrać się w podróż w przeszłość. Krystian Strauss z Pracowni Dziedzictwa Kulturowego Wojewódzkiego Ośrodka Kultury opowie o średniowiecznych początkach miasta. Start spaceru przy makiecie bydgoskiego zamku przy ul. Grodzkiej 25.

Dwie godziny później zaplanowano wycieczkę pod hasłem „Kanał Bydgoski". Przewodniczka Marta Bukolt zaprasza na zbiórkę przy Operze Nova. Na zakończenie dnia, o godz. 18, drugą wycieczkę poprowadzi Bartosz Masiełajć. Spacer „Górny Taras – zapomniana atrakcja Bydgoszczy" rozpocznie się przy Torbydzie.

Wydarzenie organizowane jest przy wsparciu Urzędu Marszałkowskiego Województwa Kujawsko-Pomorskiego. ©℗

FOT. ARCHIWUM

Damian Amon Rączka przybliży historię „Fordonu – Miasta Trzech Kultur"

Otworzyć zjazd z Kamiennej w Lelewela! Co na to ZDMiKP?

Jarosław Więcławski
jaroslaw.wieclawski@polskapress.pl

W związku z pracami na ulicy Sułkowskiego, przy skrzyżowaniu z Kamienną wyznaczono tymczasowe rondo. Kierowcy narzekają na przedłużające się prace i korki.

Utrudnienia na skrzyżowaniu Sułkowskiego z Kamienną występują od jesieni. Trwa tam budowa drogi rowerowej na Sułkowskiego. Wiosną 2025 r. roboty ruszyły na odcinku od ronda Żołnierzy-Górników do Dwernickiego. Później główny front prac przeniósł się dalej, aż do ul. Chodkiewicza.

Wymieniana jest nawierzchnia. W kwietniu zakończono prace przy jezdni po jednej stronie Sułkowskiego na fragmencie od Chodkiewicza do Kamiennej i rozpoczęto prace na drugiej. Cały czas przy skrzyżowaniu Kamienna/Sułkowskiego kierowcy jeżdżą tymczasowym rondem – w godzinach szczytu tworzą się tam spore korki. Termin zakończenia robót był już kilka razy przekładany – aktualnie przewiduje się, że będzie to przełom II i III kwartału tego roku.

ZDMiKP poinformował też, że od soboty (9 maja) zamknięta będzie wschodnia jezdnia ul. Sułkowskiego na odcinku od ul. Kamiennej do ul. Dwernickiego oraz wlot ul. Dwernickiego (po stronie ul. Małachowskiego). Przystanek autobusowy Kamienna/Sułkowskiego zostanie przesunięty o ok. 100 metrów w stronę Al. Wyszyńskiego, a przystanek Sułkowskiego/Kamienna tymczasowo pomiędzy ul. Dwernickiego a Czerkaską.

FOT. JAROSŁAW WIĘCŁAWSKI

Z Lelewela można włączyć się do ruchu na Kamienną, ale z Kamiennej nie można zjechać

Jeden z naszych Czytelników zasugerował, w jaki sposób można zminimalizować utrudnienia. Zwrócił uwagę na skrzyżowanie ulic Lelewela i Kamiennej. Jadąc w kierunku centrum miasta, można tam się włączyć do ruchu z dróg osiedlowych. Skręt z Kamiennej w Lelewela nie jest jednak możliwy. Od lat stoi tam zapora, a dodatkowo za nią znak „zakaz wjazdu".

„Dlaczego zablokowany jest zjazd z Kamiennej w Lelewela? Co stoi na przeszkodzie, aby mieszkańcom Leśnego ułatwić dojazd do swoich miejsc zamieszkania? Cztery metry od tego skrzyżowania jest przejście dla pieszych, które siłą rzeczy 100 razy dziennie wstrzymuje ruch na tak ukochanej dla ZDMiKP drodze krajowej. Jakie utrudnienie sprawiliby zjeżdżający z Kamiennej w Lelewela i dalej w Grabową, Kasztanową itd.?" - napisał do nas Czytelnik.

Dopytuje, czemu mieszkańcy muszą tkwić na Kamiennej w kolejce do przebudowywanego skrzyżowania z Sułkowskiego, skoro mogliby wcześniej zjechać w ul. Lelewela.

Zapytaliśmy ZDMiKP, czy możliwe jest otwarcie tego połączenia przynajmniej na czas prowadzonej inwestycji. - Wiele lat temu, na etapie projektowania ul. Kamiennej, mieszkańcy Osiedla Leśnego i Bielaw wnioskowali o otwarcie ul. Lelewela od ul. Kamiennej. Już wtedy, z uwagi na kategorię ul. Kamiennej oraz bezpieczeństwo w ruchu drogowym, nie ujęto w planach inwestycyjnych wjazdu w ul. Lelewela (część północną) - przypomina Katarzyna Muszyńska, rzeczniczka ZDMiKP.

ZDMiKP: otwarcie wjazdu w ul. Lelewela mogłoby doprowadzić do relacji kolizyjnych z ruchem na ul. Kamiennej

Dodaje, że Kamienna to droga krajowa, po której odbywa się ruch ciężki. Średnio porusza się nią ok. 18 tys. pojazdów na dobę. - Biorąc pod uwagę jej rangę, obsługa pobliskich terenów powinna odbywać się przez skrzyżowania zlokalizowane w usystematyzowanych odległościach, tak jak ma to miejsce obecnie. Powinno się ograniczać napływ pojazdów z dróg głównych bezpośrednio do układu lokalnego, do stref ruchu uspokojonego, jakimi są ulice pobliskiego Osiedla Leśnego. Dodatkowo otwarcie wjazdu w ul. Lelewela mogłoby doprowadzić do relacji kolizyjnych z ruchem na ul. Kamiennej przy panujących tam warunkach drogowo-ruchowych - tłumaczy.

- Na Osiedle Leśne można obecnie dojechać z wielu skrzyżowań m.in. łącznicą z ul. Wyszyńskiego przy kościele do ul. Modrzewiowej, bezpośrednio z ul. Wyszyńskiego ul. Kasztanową czy z wykorzystaniem ul. Sułkowskiego - wyjaśnia Katarzyna Muszyńska. ©℗

Tak świętowano Dzień Osób z Niepełnosprawnościami

Adam Szczęśniak
adam.szczesniak@polskapress.pl

Pałac Młodzieży był sceną przedstawienia „Wiosna", które przygotowała społeczność Zespołu Szkół nr 31 Specjalnych. W ten sposób świętowano w mieście Dzień Osób z Niepełnosprawnościami.

5 maja przypadał Europejski Dzień Walki z Dyskryminacją Osób Niepełnosprawnych i Dzień Godności Osób z Niepełnosprawnością Intelektualną. W Europie obchodzony jest od lat 90. XX wieku.

Aktorzy biorący udział w przedstawieniu „Wiosna" dali z siebie wszystko. Widać był ich emocje, ale też wzruszenie widzów.

„Ich szczerość, emocjonalność i wrażliwość widać było, gdy przy pomocy nauczycieli przedstawili piękny spektakl. Dzieci pozdrawiały i machały do rodziców, koleżanek i kolegów na widowni. W spektaklu ruchowo-muzycznym nie było żadnego udawania - wyłącznie otwartość" - napisał w recenzji portal miejski Bydgoszcz Informuje.

FOT. B. WITKOWSKI/UMB

Dzień Godności Osób z Niepełnosprawnością Intelektualną w Pałacu Młodzieży

Nic dziwnego, że na zakończenie sztuki podopieczni Zespołu Szkół Specjalnych nr 31 w Bydgoszczy zebrali gromkie brawa. Dodajmy, że placówka przy ul. Fordońskiej 17 to Szkoła Podstawowa nr 23 i Szkoła Przysposobienia do Pracy nr 2. Za przyjęcie i ciepłe słowa ze sceny dziękował wszystkim Łukasz Dąbrowski, jej dyrektor.

Młodzież i nauczyciele otrzymali z rąk przedstawicieli Urzędu Miasta Bydgoszczy pamiątkowe statuetki i wyróżnienia. - Oby takie święto jak dziś trwało cały rok. To moment, w którym pochylamy się nad prawami osób z niepełnosprawnościami. To również sprawdzian dla miasta i całego kraju, jak sobie radzimy z różnorodnością. Dziękujemy wszystkim, którzy pomagają osobom z niepełnosprawnościami - mówiły zastępczynie prezydenta Bydgoszczy Iwona Waszkiewicz i Anna Mackiewicz, cytowane przez Bydgoszcz Informuje.

- Wszystkie szczyty są dla was do zdobycia - dodawał Lech Zagłoba-Zygler, wiceprzewodniczący Rady Miasta Bydgoszczy.

- Pamiętajcie, że każdy nas jest niepowtarzalny. Jest oryginałem. Nie było, nie ma i nie będzie drugiego takiego człowieka na świecie - podkreślił Krzysztof Włodarczyk, biskup bydgoski. ©℗

eprasa.pl 7277978f22

0011518759

ORLEN wzmacnia bezpieczeństwo Polaków. 20 mln zł dla strażaków w całym kraju

W ramach 25. jubileuszowej edycji programu „ORLEN na straży", Fundacja ORLEN przeznaczy 20 mln zł na wsparcie jednostek straży pożarnej w całej Polsce. To jeden z największych i najdłużej realizowanych programów wspierających strażaków, który realnie wzmacnia gotowość służb ratowniczych i system bezpieczeństwa kraju.

Gdy w środku nocy słychać syreny alarmowe, nikt nie pyta, czy to dobry moment. Strażacy po prostu ruszają do akcji. Gaszą pożary, wyjeżdżają do wypadków, śpieszą z pomocą w czasie podtopień, awarii linii energetycznych czy rozlanego paliwa. Tam, gdzie inni doświadczają nagłych i przykrych zdarzeń, oni natychmiast przystępują do działania, niosąc pomoc każdemu, kto jej potrzebuje. Aby jednak robić to skutecznie, strażacy również potrzebują wsparcia – zapewnia je program „ORLEN na straży".

To jedna z największych inicjatyw realizowanych w naszym kraju, która realnie wspiera jednostki straży pożarnej. W 2026 roku Fundacja ORLEN przeznaczy na ten cel 20 mln zł. Budżet pozwoli na lepsze przygotowanie jednostek, wyposażenie ich w nowocześniejszy sprzęt, zwiększenie bezpieczeństwa ratowników i sprawniejsze działania wszędzie tam, gdzie liczy się każda minuta. Jubileuszowa, 25. edycja programu potwierdza, że to inicjatywa realizowana w sposób przemyślany, konsekwentnie i odpowiedzialnie.

Program, który odpowiada na realne potrzeby

„ORLEN na straży" to wsparcie zarówno dla jednostek Ochotniczej Straży Pożarnej, jak i Państwowej Straży Pożarnej. Dwa lata temu program przeszedł istotną przemianę, odpowiadając na zgłaszane przez strażaków potrzeby. Wsparcie zostało rozszerzone – obok finansowania sprzętu większy nacisk położono na rozwój kompetencji, szkolenia i przygotowanie do coraz bardziej wymagających zadań. Od tego czasu w ramach programów strażackich ORLEN przyznał granty o łącznej wartości ponad 36,8 mln zł, wspierając 756 jednostek w całej Polsce.

Korzyści płynące z tej inicjatywy najlepiej ilustruje wypowiedź Michała Treski, Prezesa Zarządu Ochotniczej Straży Pożarnej Gdańsk-Sobieszewo: – *Wsparcie z programu „ORLEN na straży" w przypadku naszej jednostki przełożyło się na bardzo konkretne i odczuwalne zwiększenie zdolności operacyjnych. Przede wszystkim znacząco poprawiły się bezpieczeństwo i gotowość bojowa strażaków dzięki doposażeniu w nowe ubrania specjalne. Pozwala to większej liczbie ratowników jednocześnie brać udział w działaniach w strefie zagrożenia. Ma to więc bezpośredni wpływ na szybkość reakcji oraz skalę interwencji. Ubranie specjalne to nasz najważniejszy środek ochrony, a jego sprawność i nowoczesność chronią nasze zdrowie i dają spokój działania.*

Projekt pozwolił nam także odpowiedzieć na nowe wyzwania wynikające z rozwoju technologii, takie jak pożary instalacji fotowoltaicznych czy pojazdów elektrycznych. Doposażenie jednostki w dedykowany sprzęt gaśniczy oraz narzędzia do działań technicznych, w tym do siłowego otwierania drzwi, zwiększyło skuteczność interwencji w sytuacjach bezpośredniego zagrożenia życia. W efekcie nasza jednostka nie tylko działa szybciej, lecz też jest przygotowana na znacznie szerszy zakres zdarzeń.

W tegorocznej edycji zaprojektowano cztery ścieżki ubiegania się o granty. Każda z nich odpowiada na inny typ zagrożeń i inny profil działań ratowniczych.

Cztery ścieżki, jeden cel – skuteczniejsze działania

Pierwsza ścieżka grantowa dotyczy ratownictwa związanego z wypadkami drogowymi. Jednostki mogą ubiegać się tu o grant do 50 tysięcy złotych. Wypadki drogowe należą dziś do najbardziej wymagających interwencji. Tu liczy się nie tylko czas, ale też precyzja, odpowiedni sprzęt i właściwe przygotowanie zespołu.

Druga ścieżka to ratownictwo związane z przemysłem chemicznym oraz z instalacjami odnawialnych źródeł energii, obejmującymi infrastrukturę Grupy ORLEN. Tu niezbędne wyposażenie i przygotowanie strażaków jest jeszcze bardziej wymagające. Jednostki OSP i PSP mogą wnioskować nawet o 150 tysięcy złotych, co pozwala realnie zwiększyć gotowość do działania przy tego typu zagrożeniach.

Trzecia ścieżka to szeroko rozumiana walka ze skutkami zmian klimatycznych. Powodzie, pożary terenów otwartych, gwałtowne wichury są dziś coraz częstszymi zjawiskami i stanowią codzienność służb ratunkowych. Aplikując w tym obszarze, jednostki OSP mogą otrzymać do 40 tysięcy złotych.

I wreszcie czwarta ścieżka – wsparcie dla jednostek OSP spoza krajowego systemu ratowniczo-gaśniczego, które chcą osiągnąć wymagane przez system standardy i rozwijać swoją gotowość operacyjną. To bardzo ważny element programu, ponieważ wzmacnia także te jednostki, które chcą rozbudować swój potencjał.

„ORLEN na straży" to także edukacja i szkolenia

Program nie ogranicza się tylko do finansowania wyposażenia – bardzo mocno stawia na bezpośrednie wsparcie strażaków. Każda jednostka, która otrzyma grant, musi przeznaczyć minimum 20% środków na szkolenia, kursy, warsztaty lub wsparcie psychologiczne.

– *Środki z programu zostały w naszym przypadku wykorzystane nie tylko na zakup sprzętu, ale właśnie na rozwój kompetencji strażaków-ochotników, co było bardzo ważne dla pełnego wykorzystania potencjału projektu. Zorganizowaliśmy szkolenia specjalistyczne, obejmujące między innymi ratownictwo chemiczne, działania przy wyciekach gazu oraz reagowanie na zagrożenia związane z nowoczesnymi technologiami, takimi jak instalacje fotowoltaiczne czy pojazdy elektryczne. Udało nam się zrealizować te szkolenia na profesjonalnych poligonach, co bez finansowania z projektu nie byłoby możliwe* – mówi Michał Treska z OSP Gdańsk-Sobieszewo. *- Duży nacisk położyliśmy również na praktyczne warsztaty, które pozwoliły przećwiczyć wykorzystanie nowo zakupionego sprzętu w realistycznych scenariuszach działań. Dzięki temu wiedza nie pozostała wyłącznie teoretyczna, a sprzęt nie trafia jedynie „na półkę". Istotne było dla nas także to, aby w szkoleniach uczestniczyło jak najwięcej strażaków, co przekłada się na większą elastyczność i gotowość zespołu w codziennej służbie. Udało nam się część szkoleń zrealizować również przy użyciu technologii VR, która choć nie zastępuje działań w terenie, to stanowi wartościowe uzupełnienie i daje możliwość utrwalania procedur „na sucho" poprzez ich wielokrotne powtarzanie w dowolnie wybranym momencie.*

W ramach projektu realizujemy również działania z zakresu wsparcia psychologicznego. To szczególnie istotne, ponieważ ten obszar ma ogromne znaczenie w naszej działalności, a dopiero od niedawna dostrzega się jego znaczenie. Należy pamiętać, że ochotnicy wykonują swoje działania dodatkowo, w ramach wolnego czasu, który mogliby spędzić na przykład z rodzinami. Zdarzenia, z którymi się mierzą, są często trudnym doświadczeniem. A przecież nasi członkowie, strażacy i strażaczki, to „twardzi ludzie" i często sami nie umieją poprosić o pomoc, by rozładować napięcie, które się w nich gromadzi. Warsztaty w obszarze wsparcia psychologicznego skupiały się więc na radzeniu sobie ze stresem oraz na funkcjonowaniu po trudnych akcjach ratowniczych – zaznacza Prezes Zarządu Ochotniczej Straży Pożarnej Gdańsk-Sobieszewo.

Nabór do 25. edycji programu „ORLEN na straży" trwa do 30 czerwca

Wnioski w ramach tegorocznego naboru do programu można składać do 30 czerwca 2026 roku za pośrednictwem specjalnego formularza na stronie internetowej **orlennastrazy.pl.** Wyniki zostaną ogłoszone najpóźniej 11 września. We wniosku należy szczegółowo opisać planowany projekt, uzasadnić jego znaczenie dla bezpieczeństwa lokalnej społeczności oraz przedstawić kosztorys. Pomocna jest tu platforma aplikacyjna, która przeprowadzi krok po kroku przez cały proces i nie pozwoli niczego pominąć. Cały proces naboru odbywa się drogą elektroniczną. Zachęcamy do wzięcia udziału w programie „ORLEN na straży".

Michał Treska, Prezes Zarządu Ochotniczej Straży Pożarnej Gdańsk-Sobieszewo.

eprasa.pl 7277978f22

Miasto Bydgoszcz zaprasza na obchody zakończenia II wojny światowej

Adam Szczęśniak
adam.szczesniak@polskapress.pl

W piątek, 8 maja, w Bydgoszczy odbędą się uroczystości związane ze świętowaniem 81. rocznicy zakończenia II wojny światowej. Miasto zaprasza mieszkańców do uczestnictwa.

W tym roku przypada 81. rocznica zakończenia II wojny światowej w Europie. Z tej okazji, już dzisiaj o godzinie 11.00, na Cmentarzu Bohaterów Bydgoszczy przy ulicy Generała Stanisława Grzmota-Skotnickiego (na tyłach ulicy J. Biziela) zostaną złożone kwiaty w hołdzie tym, którzy oddali życie za wolność miasta i ojczyzny.

O godzinie 12.00 w Kościele Garnizonowym rozpocznie się msza święta, a po jej zakończeniu nastąpi przemarsz na Stary Rynek, gdzie około godziny 13.00 odbędzie się oficjalna uroczystość z ceremoniałem wojskowym. Organizatorzy zapraszają do udziału poczty sztandarowe.

Przypomnijmy, że 8 maja 1945 roku podpisany został akt bezwarunkowej kapitulacji Wehrmachtu i innych sił zbrojnych III Rzeszy, stąd data ta uznawana jest za dzień zakończenia II wojny światowej (w Rosji 9 maja).

W latach 1946-1989 w Polsce obchodzono Narodowe Święto Zwycięstwa i Wolności w dniu 9 maja (do 1950 był to dzień wolny od pracy). 24 kwietnia 2015 roku Sejm RP ustanowił 8 maja Narodowym Dniem Zwycięstwa. ©℗

FOT. ARKADIUSZ WOJTASIEWICZ

Część uroczystości odbędzie się na Cmentarzu Bohaterów w Bydgoszczy

Zaczął się remont nawierzchni. Dziury mają wkrótce zniknąć

Maciej Czerniak
maciej.czerniak@polskapress.pl

Nie generalny remont, ale miejscowe naprawy nawierzchni. Władze Leśnego Parku Kultury i Wypoczynku „Myślęcinek" w Bydgoszczy wzięły się za łatanie dziur przy głównym wjeździe.

Największa wyrwa w drodze wjazdowej na teren Leśnego Parku Kultury i Wypoczynku „Myślęcinek" w Bydgoszczy została ogrodzona. Widać, że usunięto część wypełnienia. To wstęp do prac, które władze parku zapowiadały w kwietniu.

Przypomnijmy, że niedawno informowaliśmy o problemie. Skontaktował się z nami Czytelnik, zwracający uwagę na tragiczny stan głównej drogi wiodącej od ulicy Gdańskiej w kierunku stanowisk gastronomicznych.

- Główny wjazd to dziura na dziurze. Tak samo jest obok, na parkingu. Wyrwy, ubytki w betonie, asfalcie, nierówne łaty i pokruszone kawałki masy bitumicznej - mówił pan Marek, nasz Czytelnik.

Park zapowiedział naprawę

- Nie rozumiem tego, przecież Myślęcinek to cudowne miejsce, a niewiele tu się robi, by utrzymać ten teren w dobrym stanie. Przecież są jeszcze środki unijne, po które można sięgnąć - dodawał Bydgoszczanin. - Czy te dziury znikną dopiero, kiedy jakieś dziecko połamie się podczas jazdy hulajnogą?

Plan remontów i utrzymania LPKiW zawiera między innymi naprawę nawierzchni we wskazanym miejscu. Prace miały zacząć się za kilka tygodni, najwyraźniej jednak przyśpieszyły.

„Myślęcinek" informuje, że zakres robót obejmuje naprawy, wykonywane w miejscach o największym stopniu zużycia lub uszkodzeń

- W roku bieżącym zaplanowano wykonanie prac naprawczych w obrębie wjazdu od strony ul. Gdańskiej oraz przyległych parkingów - wyjaśniała Monika Gałęcka-Stochmal z działu marketingu Leśnego Parku Kultury i Wypoczynku „Myślęcinek". - Realizacja zadania przewidziana jest na przełom maja i czerwca, z uwzględnieniem warunków atmosferycznych oraz możliwości organizacyjno-finansowych - dodawała Monika Gałęcka-Stochmal.

„Prace związane z utrzymaniem nawierzchni części wjazdowej oraz parkingów realizowane są cyklicznie, w ramach dostępnych środków finansowych. Zakres robót obejmuje naprawy, wykonywane w miejscach o największym stopniu zużycia lub uszkodzeń" - brzmi odpowiedź na nasze pytania ze strony parku.

Milionowe przedsięwzięcia w LPKiW?

Przeglądając treść uchwały budżetowej Bydgoszczy na 2026 roku można znaleźć przykład informację, że utrzymanie terenów zielonych Leśnego Parku Kultury i Wypoczynku „Myślęcinek" (z wyłączeniem Ogrodu Botanicznego i Zoologicznego) w tym: obsługa w zakresie zarządzania, konserwacji i utrzymania terenów zieleni parkowej i infrastruktury parkowej ma kosztować 2 744 384 zł. Niemal 3 mln zł z kolei zarezerwowano na budowę i modernizację infrastruktury edukacyjnej na terenie Ogrodu Botanicznego w LPKiW właśnie. Zakres prac obejmuje modernizację ścieżek pieszych na terenie bydgoskiego ogrodu o długości 2029 m „w celu dostosowania ich do funkcji edukacyjnej z udogodnieniami dla osób z niepełnosprawnościami oraz budowę drewnianej wiaty (wraz z wyposażeniem) przeznaczonej na cele dydaktyczne". ©℗

FOT. MACIEJ CZERNIAK

Wyrwy na głównym wjeździe na teren „Myślęcinka" będą załatane

Powstaje nowa hala w parku przemysłowym

Wojciech Mąka
wojciech.maka@polskapress.pl

Firma TERG SA, właściciel wiodących polskich marek w branży AGD/RTV (m.in: Media Expert), buduje w Bydgoszczy własne centrum logistyczne.

TERG S.A. jest właścicielem wiodących polskich marek w branży AGD/RTV, m.in.: Media Expert - sieci supermarketów założonej w 2002 r. To największa w Polsce sieć elektromarketów.

W rozwoju spółki pomóc ma m.in. nowe centrum logistyczne. Obiekt powstaje na działkach zakupionych przez inwestora przy ul. W. Paciorkiewicza o łącznej powierzchni ponad 27 tysięcy metrów kwadratowych. Zaprojektowano na nich halę magazynową z częścią socjalno-biurową. Budynek wyposażony będzie w doki przeładunkowe (19 stanowisk) i rampę dla busów. Przy wjeździe powstanie wartownia oraz zbiornik przeciwpożarowy.

Gotowa jest już konstrukcja hali. Obecnie kontynuowane są prace przy ścianach zewnętrznych w płyt warstwowych. Równocześnie prowadzone są już prace wewnątrz hali. Wkrótce montowane będą przeszklenia. Wcześniej osadzono bramy segmentowe w dokach.

W poprzednich latach swoje centra logistyczne na terenie Bydgoskiego Parku Przemysłowo-Technologicznego lub w jego bezpośrednim sąsiedztwie wzniosło wiele innych firm. Na terenie BPPT trwa też przebudowa układu komunikacyjnego, który zapewni bezpieczne i wygodne połączenie z powstającą trasą szybkiego ruchu S10. Częścią inwestycji jest nowy wiadukt nad magistralą węglową. Umożliwi on dojazd z ulicy E. Petersona do węzła „Bydgoski Park Przemysłowy", który powstanie po wschodniej stronie linii kolejowej.

Bydgoski Park Przemysłowo-Technologiczny Sp. z o.o. oferuje tereny inwestycyjne na sprzedaż oraz pod dzierżawę. Zajmuje powierzchnię 290,9 hektarów. Swoją działalność na terenie BPPT prowadzi ponad 190 firm, które zatrudniają około 5500 osób. Aktualnie powierzchnia inwestycyjna to 50 hektarów. ©℗

FOT. BPPT

Budowa nowej hali w Bydgoskim Parku Przemysłowo-Technologicznym

KRÓTKO

WYDARZENIE

W najbliższy weekend w Myślęcinku odbędzie się wystawa kolorowych fiołków afrykańskich

W imieniu organizatorów zapraszamy w weekend 9-10 maja na drugą już w Bydgoszczy wystawę „Cudowny Świat Fiołka Afrykańskiego". Wystawa odbędzie się w najbliższą sobotę i niedzielę, w godzinach od 10.00 do 17.00 w budynku ZOO w Leśnym Parku Kultury i Wypoczynku „Myślęcinek".

Wystawa fiołków afrykańskich połączona zostanie z warsztatami o hodowli. W sobotę warsztaty zaplanowano w godzinach 13.00-14.00, a w niedzielę w godzinach 12.00-13.00.

- Impreza ma na celu pokazanie różnorodności tych niepowtarzalnych kwiatów. Wystawcy chcą pokazać gościom z Bydgoszczy i całej Polski kilkaset odmian kolekcjonerskich, jakich nie zobaczy się w kwiaciarniach czy marketach. Z reguły w sklepach widzimy fiołki różowe, niebieskie, białe. My natomiast zajmujemy się hodowlą fiołków odmianowych, które są różnorodne kolorystycznie. To są rośliny, których na pewno nie widuje się zbyt często - zapraszają organizatorzy tego wydarzenia Anna Mizerska i Zbigniew Salwa. - To nasza druga wystawa, mamy nadzieję, że będzie już cykliczna - dodają.

Biletem wstępu na wystawę jest bilet do ZOO w Myślęcinku.

Organizatorzy zapewniają, że będzie można też nabyć nadwyżki roślin z hodowli wystawców.

Patronat honorowy nad wystawą Cudowny Świat Fiołka Afrykańskiego" sprawuje prezydent Bydgoszczy Rafał Bruski.

AS

eprasa.pl 7277978f22

Pociągiem na wakacje? Tam dojedziemy latem

Agnieszka Domka-Rybka
agnieszka.domka@polskapress.pl

Koleje w naszym regionie, szykują się do sezonu letniego. Sprawdziliśmy, do jakich turystycznych miejscowości dojedziemy pociągiem.

Od 27 czerwca, czyli od letniego rozkładu PKP, pojedzie do Kołobrzegu, bijący w sezonie rekordy popularności, pociąg Rybitwa.

Będzie jeździł w weekendy przez całe wakacje. Obsługiwany przez Polregio skład wyruszy z Torunia Wschodniego i, zanim dojedzie do Kołobrzegu, w naszym regionie zatrzyma się w Solcu Kujawskim, Bydgoszczy, Nakle nad Notecią, Wyrzysku i Osieku. Są to przystanki, na których przystanki mają dalekobieżne składy PKP Intercity. Podróż z Torunia do Kołobrzegu potrwa ok. 5 godzin. Przypomnijmy przy okazji, że przez cały rok, w dni powszednie, kursuje bezpośredni pociąg z Bydgoszczy do Kołobrzegu.

Z kolei Czytelników zainteresowanych letnimi pociągami na Hel, prosimy o cierpliwość, ponieważ aktualnie trwają jeszcze uzgodnienia dotyczące tego połączenia.

Za to już wiemy również, co wkrótce zmieni się w pociągach Baltic Express, które wożą pasażerów między Gdynią a Pragą i kursują przez nasze województwo. Od 26 czerwca na nocnych kursach między Pragą a Gdynią, obok wagonu sypialnego, pojawi się także taki z miejscami do leżenia. Dzięki temu przybędzie 50 miejsc dla pasażerów. Nowy wagon będzie oferował przedziały cztero- i sześcioosobowe. Podróżni zyskają też możliwość wykupienia całego przedziału dla jednej do trzech osób, co stanowi atrakcyjną alternatywę dla wagonów sypialnych.

W naszym regionie pociąg dzienny Baltic Express zatrzymuje się w Bydgoszczy i Inowrocławiu. Najszybciej zawiezie nas z Inowrocławia do stolicy Czech na dworzec główny Praha Hlavní Nádraží - w niecałe 7 godzin. Podróż z Bydgoszczy trwa (rozkładowo) ponad 7 godzin.

Natomiast na trasie nocnego kursu skład BE ma u nas dodatkowy przystanek - w Toruniu.

Na terenie Czech Baltic Express zatrzymuje się zaś m.in. w Kolínie, Pardubicach, Ústí nad Orlicí, Letohradzie, Jablonném nad Orlicí i Lichkovie.

Nie mamy zaś dobrych wieści dla fanów czeskiego przewoźnika RegioJet. 3 maja pojechał w Polsce ostatni pociąg tej linii kolejowej - z Gdyni do Krakowa. Tym samym pod znakiem zapytania stanęła szansa na wyprodukowanie dla RJ na polski rynek 200 pociągów przez bydgoską Pesę, co zapowiadał sam prezes czeskiej firmy. W tej sytuacji nasze pociągi mogą już nie być potrzebne.

Z doniesień medialnych wynika, że RegioJet kończy działalność na krajowym rynku w Polsce. Wycofuje się, argumentując to „drapieżną polityką cenową" konkurencji i blokowaniem dostępu do infrastruktury.

„Straciliśmy nadzieję i wiarę" - podkreśla spółka w komunikacie prasowym, który cytuje portal money.pl.

Spółka poinformowała, że np. mimo wygrania aukcji na zajezdnię PKP Cargo, nie mogła z niej korzystać: „Zabroniono nam wynajęcia torów w hali. RegioJet był zmuszony naprawiać wagony na zewnątrz, w śniegu, a poważniejsze naprawy wykonywać w Czechach".

Jak informuje zaś Money.pl, Czesi wskazują także na takie działania PKP Intercity: „Przewoźnik obniżył ceny biletów nawet o 70 proc. w stosunku do poziomu sprzed naszego wejścia na rynek".

Zdaniem spółki taka polityka może naruszać zasady konkurencji. „Prawo konkurencji uzna-je taką politykę cenową za nielegalne działanie drapieżne, mające na celu wyeliminowanie nowego uczestnika rynku" - zaznaczyła.

Dodatkowo RJ wskazuje na utrudnienia w sprzedaży: „Zakończono kampanię marketingową RegioJet na dworcach oraz nie umożliwiono nam uruchomienia punktów sprzedaży". ©℗

FOT. AGNIESZKA DOMKA-RYBKA

Dworzec PKP w Kołobrzegu. Jego lokalizacja sprawia, że wysiadając na tej stacji mamy blisko zarówno do centrum miasta, części uzdrowiskowej, no i również nad Bałtyk

Będzie u nas fabryka amunicji. S-10 gotowa na wakacje 2027?

Maciej Czerniak
maciej.czerniak@polskapress.pl

Rozmowa z MICHAŁEM SZTYBLEM, wojewodą kujawsko-pomorskim.

FOT. ARCHIWUM

Słyszymy, że czasy są przedwojenne. W razie czego mieszkańcy Kujaw i Pomorza będą mieli, gdzie się schronić?
Trwa inwentaryzacja. Chodzi o to, żeby być jak najbardziej gotowym, bo nie ma sytuacji takiej, że kraj jest gotowy, wojna się zacznie i my mamy wszystko od linijki zaplanowane. To się dzieje w ramach dostępnych środków i budynków - zarówno istniejących, jak i tych, które powstaną. Nowe budynki muszą uwzględniać parametry bezpieczeństwa w piwnicach. Zabudowania są inwentaryzowane i otrzymują kwalifikacje. Robią to strażacy i Inspektorat Nadzoru Budowlanego na wniosek samorządów, bo to zadanie zlecone z zakresu administracji rządowej, ale realizowane przez prezydentów, burmistrzów i wójtów.

Ile takich obiektów mamy?
Kilka tysięcy w regionie. Sprawdzono ok. 400, z czego 20 proc. nie nadaje się, aby pełniły funkcję schronienia. Pozostałe wymagają dostosowań. Niektóre nieznacznie, niektóre bardziej znacznie. Jest kilka kategorii, trzeba rozróżnić schrony i miejsca schronienia doraźnego.

Aplikacja na telefon „Schrony" to narzędzie, które w razie czego może realnie pomóc mieszkańcom?
Jest udoskonalana, będą jej nowsze wersje, będzie aktualizacja listy obiektów. Uspokajam jednak, z punktu widzenia Polski nie ma dzisiaj sytuacji nagłego zagrożenia. Chodzi o to, by za pomocą aplikacji każdy mógł szybko znaleźć trzy najbliższe miejsca, sprawdzić ich dostępność. Chodzi też o możliwość zorientowania się, czy w miejscu pracy znajduje się schronienie. Pojęcie bezpieczeństwa jest szersze. Ważne jest też tworzenie ochotniczego Korpusu Obrony Cywilnej. Tu ważne jest to, co mogą wnieść cywile - nie chodzi o to, by każdy na granicy strzelał z karabinu, ale by zabezpieczyć infrastrukturę krytyczną, pomóc w logistyce, w koordynacji szpitali; to także dostarczenie żywności do szpitali. System ochrony ludności jest bardzo szerokim pojęciem, ten proces będzie trwał wiele lat.

Ten korpus już powstaje?
W najbliższym czasie będziemy ogłaszali nabór dla ochotników, którzy czują, że mogą państwu pomóc. Będą regularnie szkoleni, znajdą się w specjalnym rejestrze. Będzie sprawdzany kontakt z nimi, chodzi o gotowość do ćwiczeń i o to, czy na określone hasło stawią się tam, gdzie powinni. Pewne osoby znajdą się w korpusie obowiązkowo, z mocy ustawy. Chodzi o to, by państwo korzystało ze swoich zasobów, w które już zainwestowało. To byli policjanci, strażacy, funkcjonariusze SG.

Został już wydany ZRID na budowę toruńskiego odcinka S10. Kiedy kierowcy pojadą trasą na odcinku Bydgoszcz-Toruń?
Generalna Dyrekcja Dróg Krajowych i Autostrad wskazuje, że pierwsze trzy odcinki, sięgające aż pod Toruń, będą gotowe w 2027 r. Jeżeli chodzi o te, na których prace są bardziej zaawansowane, na przykład trzeci, to może być nawet kwiecień przyszłego roku. W okolicach wakacji będą gotowe pierwszy i drugi. Pamiętajmy, że od wbicia pierwszej łopaty na budowie S5 do zakończenia budowy minęło 8 lat. Czyli z S10 nie jest źle. To droga budowana na lata. Każdy, kto buduje chociaż domek jednorodzinny, wie że budowa może się opóźnić. A mówimy o inwestycjach na miliardy złotych. Tu wszystkie punkty krytyczne mamy za sobą.

Plan budowy Via Pomerania z Bydgoszczy do Ustki umarł szybko. MON nie dogadał się z resortem infrastruktury. To koniec projektu?
Jestem w kontakcie z Ministerstwem Obrony Narodowej. Tylko przypomnę, że idea budowy dodatkowej drogi - czy to ekspresowej, czy kategorii dwa plus dwa z Ustki do Bydgoszczy - to była idea, która wyszła z MON. Był przygotowany specjalny raport o priorytetach bezpieczeństwa, a Ministerstwo Infrastruktury od początku było poza tym. W pierwszej kolejności musimy dokończyć S10 do Szczecina i do Warszawy, tak aby nie być zdanym wyłącznie na autostradę. I to dzisiaj jest zapewnione. Są świeżo otwarte przetargi w stronę Nakła i Wyrzyska, 40 kilometrów dziesiątki, to są absolutne priorytety infrastrukturalne. Poza tym trasa „25" i „15", czyli Bydgoszcz - Inowrocław i Inowrocław - Toruń. To dla mnie dwie tak samo ważne drogi. Via Pomerania to była potrzeba stricte wojskowa, jeśli MON uzna, że jej budowa jest pilna i konieczna, to ją zbuduje i Ministerstwo Infrastruktury po prostu będzie musiało to wykonać.

Co z budową fabryki amunicji pod Bydgoszczą? Ulokowanie jej w Emilianowie jest aktualne? Polska Grupa Zbrojeniowa informuje, że „wszystkie plany są realizowane", ale to nie konkret. Co wiemy na pewno?
- Polska Grupa Zbrojeniowa wybrała partnera, który przygotowuje specyfikację techniczną fabryki amunicji. Ma za zadanie wskazać odpowiednie grunty. Nitro-Chem, już jako bezpośredni wykonawca, ma podpisaną z tą firmą umowę. Jesteśmy na etapie wyboru szczegółowej lokalizacji. Wszystko wskazuje na to, że będzie to lokalizacja w obszarze metropolii Bydgoszcz. Emilianowo cały czas jest opcją numer jeden, ale są też plany B i C związane z tym, że wokół Emilianowa są problemy środowiskowe, prawne. Port przeładunkowy miał zająć 10 hektarów, ale pozostały obszar, który mógłby być gospodarczo zaangażowany czy zorganizowany, to około 800 hektarów. Problem w tym, że tych 800 hektarów, na których mogłaby stanąć fabryka amunicji, to teren objęty przez Sejmik Województwa ochroną krajobrazową.

Podobno fabrykę miał budować podkarpacki Dezamet.
- Nitro-Chem, czy Dezamet, obojętnie która ze spółek PGZ, w sensie prawnym jest po prostu firmą, która realizuje proces inwestycyjny i nie podlega bezpośrednio pod specustawy. Stąd jest rozpatrywany wariant czy bezpośrednim inwestorem, czy zarządcą tego terenu nie powin-no być wojsko lub czy po prostu prościej i szybciej jest zrealizować inwestycję na działkach już dostępnych, ale nadal w obszarze metropolii Bydgoszcz.

Konkretnie gdzie?
- Nie zdradzę konkretnych lokalizacji, ale grupa PGZ to szczegółowo analizuje z moją pomocą, więc taka fabryka powstanie. Zwrócę uwagę na jeszcze jeden aspekt, że Nitro-Chem, tak czy inaczej rozbudowuje swoje moce produkcyjne. Trzeba sobie uczciwie powiedzieć, że nowa fabryka miałaby dużą strefę ochronną, czyli w pobliżu już nie powstanie inny obiekt przemysłowy, bo są pewne ryzyka z tym związane. Z drugiej strony, z punktu widzenia Bydgoszczy fabryka nie generowałaby dużej liczby miejsc pracy, bo chodzi o zaawansowaną technologię produkcji.

Jeśli nie fabryka i nie port przeładunkowy, bo przecież spółka, która miała go budować, jest w stanie likwidacji, to co?
Zdecydowanie opowiadam się za tym, aby po prostu po drugiej stronie „10", jak wyjeżdżamy z Bydgoskiego Parku Przemysłowo-Technologicznego, był drugi park przemysłowy, który by służył całej gospodarce, nie tylko wąskiemu działowi obronnemu. Z ograniczeniami środowiskowymi nie ma na to jednak szans. Zresztą, port przeładunkowy też nie będzie ekonomicznie opłacalny, jeżeli będzie budowany w otoczeniu wydm i lasów. Jeżeli tam będzie przeładunek, logistyka i tak dalej, to siłą rzeczy znajdą się pieniądze i potencjalni inwestorzy w port przeładunkowy. Ale musi być, co wozić... ©℗

eprasa.pl 7277978f22

Express Bydgoski
Piątek, 8.05.2026

Wenezuelczyk zabił z okrucieństwem

Małgorzata Oberlan
malgorzata.oberlan@polskapress.pl

Prokuratura Okręgowa zakończyła śledztwo w sprawie morderstwa w parku Glazja w Toruniu i skierowała do sądu akt oskarżenia przeciwko Wenezuelczykowi. Grozi mu dożywocie.

- Zebrany w sprawie materiał dowodowy uzasadniał przedstawienie Yomeykertowi S. zarzutu popełnienia m.in. przestępstwa zabójstwa ze szczególnym okrucieństwem - informuje prokurator Izabela Oliver, rzeczniczka Prokuratury Okręgowej w Toruniu.

Przesłuchany w charakterze podejrzanego Wenezuelczyk odmówił ustosunkowania się do przedstawionych zarzutów i skorzystał z przysługującego mu prawa do odmowy składania wyjaśnień. A zatem - nadal milczy. Tak jest praktycznie od samego początku sprawy.

Co natomiast z poczytalnością obcokrajowca? - Zgodnie z pozyskaną w sprawie opinią, po przeprowadzonej obserwacji sądowo-psychiatrycznej, biegli zgodnie uznali, że Yomeykert S. w czasie popełnienia zarzucanych jemu czynów miał zachowaną zdolność rozpoznania ich znaczenia i pokierowania swoim postępowaniem. Jego poczytalność, zarówno w trakcie popełnienia zarzucanych jemu czynów, jak i podczas badania oraz prowadzonego postępowania, nie budzi wątpliwości biegłych - podkreśla prokurator Izabela Oliver.

Wobec podejrzanego nieprzerwanie stosowany jest środek zapobiegawczy w postaci tymczasowego aresztowania. Za zarzucane mu przestępstwa grozi kara dożywotniego pozbawienia wolności.

Śledztwo w sprawie tragedii, do której doszło w nocy na skraju parku Glazja w Toruniu, zakończono po prawie roku. Brutalnie napadnięta została tutaj 24-letnia pani Klaudia, wracająca do domu z pracy.

Przypomnijmy krótko okoliczności tej zbrodni. W nocy z 11 na 12 czerwca minionego roku mający wówczas 19 lat Wenezuelczyk brutalnie zaatakował w parku Glazja kobietę. Rzucił się z nożem na panią Klaudię, które wracała tędy do domu z pracy w pubie na starówce. Usiłował ją zgwałcić, zadał liczne i silne ciosy nożem po całym ciele. Kobieta rozpaczliwie wzywała pomocy. Na pomoc ruszył jej pan Błażej, mieszkaniec okolicy. Spłoszył napastnika, zadzwonił pod numer alarmowy „112".

FOT. ARCHIWUM

Wenezuelczyk Yomeykert S. szybko został zatrzymany. Do Polski przybył legalnie, ale potem pozwolenia na pobyt nie przedłużył

Potem w miejskim szpitalu trwała dramatyczna walka o życie ofiary. Niestety, pani Klaudia zmarła.

Yomeykert S. szybko został zatrzymany. Do Polski przybył legalnie, do mieszkającej już tutaj i pracującej matki. Ale potem pozwolenia nie przedłużył i jego pobyt stał się nielegalnym.

Śledztwo w tej sprawie się przedłużało, bo zagadką była poczytalność podejrzanego. Nie wystarczyło standardowe badanie i opiniowanie przez psychiatrów - konieczna była dłuższa obserwacja w specjalistycznym ośrodku i kompleksowa opinia medyków.

Wreszcie, 6 maja 2026 roku, prokuratura mogła poinformować, że zakończyła śledztwo i właśnie kieruje do Sądu Okręgowego w Toruniu akt oskarżenia.

- Zebrany w sprawie materiał dowodowy uzasadniał przedstawienie Yomeykertowi S. zarzutu popełnienia m.in. przestępstwa zabójstwa ze szczególnym okrucieństwem - informuje prokurator Izabela Oliver, rzeczniczka prasowa Prokuratury Okręgowej w Toruniu. - Grozi kara dożywotniego pozbawienia wolności.

Przypomnijmy, że Wenezuelczyk od początku ma zapewnionego z urzędu nie tylko tłumacza języka hiszpańskiego, ale także obrońcę - adwokata Mateusza Chudziaka z Torunia.

W miejscu zbrodni - tam, gdzie Wenezuelczyk brutalnie zaatakował panią Klaudię - mieszkańcy od lata 2025 roku aż do dziś nieprzerwanie palą znicze. Tak było też nawet w największe zimowe mrozy. Stoi wciąż krzyż, a przechodnie dobrze pamiętają, co tutaj się wydarzyło.

- Wszyscy pamiętają, co tutaj się wydarzyło. Serce pęka, gdy człowiek pomyśli o tej młodej, niewinnej kobiecie. Powinni sprawcę jak najszybciej osądzić i skazać na dożywocie - mówili nam wielokrotnie mieszkańcy tej okolicy.

Zaraz po zbrodni władze miasta podjęły decyzję o oświetlaniu tego parku miejskiego oraz innych także po zmroku. Były też tutaj widoczne liczne patrole - policyjne i Straży Miejskiej. Obecnie miejsce nadal jest patrolowane, ale już nie tak intensywnie.

Życie w parku Glazja wróciło do normy. To miejsce spacerów, rekreacji, zabaw dzieci na placu, a także codziennie przemierzany przez Torunian trakt - np. do i z pracy. Nikt jednak nie zapomniał, to jakiego dramatu doszło tutaj w czerwcową noc 2025 roku. ©℗

„Pan Frytka" oraz jego kolega oskarżeni o nocne gwałty

Małgorzata Oberlan
malgorzata. oberlan@polskapress.pl

Prokuratura zarzuca „Panu Frytce", że wspólnie z kolegą uwięzili kobietę w mieszkaniu przy ul. Legionów w Toruniu, a potem wielokrotnie ją gwałcili przez całą noc. Jest akt oskarżenia.

Piotr S. nazywany „Panem Frytką" to postać od dawna budzącą kontrowersje. Doskonale znany jest od kilku lat policjantom, strażnikom miejskim oraz prokuratorom i sądom w Toruniu i Bydgoszczy. A to za sprawą nielegalnie prowadzonego handlu „zakręconymi ziemniakami" i innymi rzeczami - pod płaszczykiem prowadzenia działalności charytatywnej przez fundację „Pod Wielkim Dachem Nieba".

Jak się jednak teraz okazuje, Piotr S. to gwałciciel recydywista, którego właśnie oskarżono o kolejne gwałty.

Według Prokuratury Rejonowej Toruń Centrum Zachód, dopuścił się ich wspólnie z kompanem Piotrem G. na jednej kobiecie. Do przerażających wydarzeń doszło w nocy z 26 na 27 października 2025 roku, w pewnym mieszkaniu przy ul. Legionów w Toruniu.

Akt oskarżenia w tej sprawie trafił już do Sądu Okręgowego w Toruniu. Początek proces zaplanowano jeszcze w maju.

- Należy się jednak spodziewać w nim wyłączenia jawności - zaznacza Jarosław Szymczak, asystent rzecznika Sądu Okręgowego w Toruniu.

Horror w mieszkaniu przy Legionów

Co ustaliła prokuratura w śledztwie i o co oskarżyła obu mężczyzn? Treść aktu oskarżenia mrozi krew w żyłach. Do brutalnego przestępstwa według śledczych doszło w nocy z 26 na 27 października 2025 roku, w pewnym mieszkaniu przy ul. Legionów w Toruniu, między godziną 22.15 a 6.54.

Mający 42 lata Piotr S. ("Pan Frytka") wspólnie z 33-letnim Piotrem G. uwięzili tutaj kobietę i wielokrotnie ja zgwałcili. Piotr S. miał przemocą doprowadzić ofiarę do obcowania płciowego co najmniej cztery razy.

Jego towarzysz natomiast miał to samo uczynić przynajmniej dwukrotnie.

Akt oskarżenia głosi, że „Pan Frytka" za te gwałty odpowiedzieć ma przed sądem jako recydywista - stąd wniosek, że już wcześniej podobnego przestępstwa się dopuścił i był za nie karany.

FOT. GRZEGOZR OLKOWSKI

Początek procesu, który będzie się toczył w Sądzie Okręgowym w Toruniu, wyznaczono na 15 maja. Jego jawność zostanie wyłączona

Obaj mężczyźni tej samej nocy i w tym samym miejscu mieli też według prokuratury pozbawiać wolności pewnego mężczyznę.

Piotr S. - samodzielnie już - miał też naruszyć nietykalność cielesną trzecią osobę pokrzywdzoną w tej sprawie. To kolejny mężczyzna, którego miał kilkukrotnie uderzyć w twarz. Za te przestępstwa wobec mężczyzn również odpowiedzieć ma przed sądem w warunkach recydywy.

Obaj oskarżeni zostali zatrzymani przez policję 29 października. Przestępstwo gwałtu zgłosiła wcześniej sama pokrzywdzona.

Piotr S. szybko usłyszał zarzuty prokuratorskie, podobnie jak drugi mężczyzna. Obaj zostali tymczasowo aresztowani.

Cały czas są tymczasowo aresztowani

I nadal pozostają za kratami - areszt został im przedłużony. Na salę Sądu Okręgowego w Toruniu doprowadzani zatem będą z celi w kajdankach.

Początek procesu wyznaczono na 15 maja. Piotra S. bronić będzie adwokat Adam Cieszyński. Piotra G. natomiast - adwokat Wojciech Sosnowski.

Jakie kary grożą oskarżonym? Zgwałcenie to przestępstwo surowo karane, niezależnie od charakteru czynu. Kodeks karny w art. 197 przewiduje, że ten, kto „doprowadza inną osobę do obcowania płciowego przemocą, groźbą bezprawną, podstępem lub w inny sposób mimo braku jej zgody, podlega karze pozbawienia wolności od lat 2 do 15".

Jeszcze surowiej natomiast karany jest gwałt zbiorowy, wobec osób z rodziny, kobiety ciężarnej, jak również gwałt nagrywany - za każde takie przestępstwo grożą najmniej 3 lata więzienia, a kara maksymalna to 20 lat pozbawienia wolności.

W tym przypadku jednak mowa jest nie tylko o gwałcie, ale zgwałceniu wielokrotnym, a także pozbawieniu wolności. Znaczenie istotne ma także fakt, że „Pan Frytka" odpowiadać ma przed sądem za zarzucane mu przestępstwa w warunkach recydywy - w przypadku wyroku skazującego liczyć się wtedy musi z dodatkowym zaostrzeniem kary.
©℗

eprasa.pl 7277978f22

„My cały czas żyjemy Stomilem” - mówią byli pracownicy zakładów gumowych w Bydgoszczy

Agnieszka Domka-Rybka
agnieszka.domka@polskapress.pl

- Nie potrafimy się z tym pogodzić, że po tylu latach nie jesteśmy już pracownikami „Stomilu" - mówi Bydgoszczanin, który z tego powodu wpadł w depresję i musi korzystać z pomocy psychiatry.

- Człowiek jest w sile wieku i nie może sobie znaleźć miejsca, przecież za młody jestem na emeryturę - mówi pan Maciej (imię zmienione). - Najgorsze jest to, że firma nie rozstała się z nami, jak z pracownikami, którzy oddali jej życie i serce. To dla nas bardzo przykre, że staliśmy się niepotrzebni. Dobrze, że mam tabletki od psychiatry. Zresztą, nie ja jeden. Dali nam na odchodne tylko tyle, ile wymaga kodeks pracy, bo musieli. Obiecali po 12 400 zł odszkodowania, nikt z nas tych pieniędzy nie zobaczył. Mnie się nawet nie zgadza kwota ustawowej odprawy i odszkodowanie za skrócony czas zatrudnienia. Postanowiłem, że pójdę do sądu pracy.

Pan Jakub (też imię zmienione) również nie może przeżyć rozstania z firmą. - Cały czas żyję „Stomilem”, przepracowałem tutaj ponad 30 lat. Nie można tak nagle zamknąć za sobą drzwi i zacząć żyć na nowo, nie da się! Zresztą, już nie te lata. Przeżywam każdą informację, która do mnie dociera, jak np. że zlikwidowali mój zakład węży przemysłowych i będą je teraz kupować w... Turcji. To mi się w głowie nie mieści. Gdzie są ci obiecani kontrahenci?

O aktualną sytuację w zakładzie zapytaliśmy Krzysztofa Molena, prezesa Bydgoskich Zakładów Przemysłu Gumowego „Stomil”.

- Na dziś mogę potwierdzić, że wszystkie należne odszkodowania zostały wypłacone. To był dla nas bardzo ważny etap porządkowania spraw pracowniczych i organizacyjnych. Jednocześnie konsekwentnie wdrażamy plan restrukturyzacyjny - odpowiada prezes Stomilu. - Firma funkcjonuje, realizuje zamówienia i stopniowo zwiększa aktywność operacyjną. Obecnie zatrudniamy 6 dodatkowych pracowników na umowach zlecenia i uruchamiamy pracę na trzeciej zmianie w dziale płyt i wykładzin. To dla nas pozytywny sygnał, pokazujący że rynek reaguje, a zakład ma potencjał do dalszego rozwoju. Równolegle pracujemy nad nową stroną internetową. Będzie to nowoczesne narzędzie sprzedażowo-informacyjne, wyposażone m.in. w wyszukiwarkę opartą o AI oraz autonomiczny proces pozycjonowania. Chcemy, aby klienci mogli łatwiej odnaleźć nasze produkty, a marka Stomil Bydgoszcz była lepiej widoczna na rynku.

Krzysztof Molen stwierdza, że sytuacja finansowa i organizacyjna, która narastała przez ostatnie 20 lat, nadal ma istotny wpływ na bieżące funkcjonowanie spółki: - Stare zobowiązania i zaległości nie znikają z dnia na dzień. Jednak działamy metodycznie, odpowiedzialnie i w pełnej koordynacji z naszym właścicielem, Agencją Rozwoju Przemysłu. Jesteśmy dobrej myśli. Stomil ma ludzi, doświadczenie, rozpoznawalną markę i realne możliwości odbudowy. Naszym celem jest stabilizacja firmy, odzyskanie zaufania klientów i stopniowy powrót do silniejszej pozycji rynkowej.

Przypomnijmy, na koniec lutego tego roku 92 ze 134 pracowników zatrudnionych w „Stomilu” otrzymało wypowiedzenia. Zarząd o zwolenianach poinformował Powiatowy Urząd Pracy w Bydgoszczy. - Proces zwolnień ma zakończyć się do końca kwietnia - powiedział w rozmowie z naszą redakcją Tomasz Zawiszewski, dyrektor PUP. I tak też się stało. Niektórzy pracownicy przebywają na zwolnieniach lekarskich.

Od 17 grudnia 2025 roku spółka znajduje się w postępowaniu sanacyjnym.

- Jako prezes podjąłem wiele aktywności zmierzających do przywrócenia płynności oraz utrzymania „Stomilu” w całości lub przynajmniej części. Efektem powyższego jest przemyślany plan restrukturyzacyjny, dający realne szanse na kontynuację działalności, jednakże tylko w rentownym obszarze produkcyjnym (płyt gumowych) oraz handlowym. Ostatecznie podjęto trudną, aczkolwiek konieczną decyzję o zwolnieniach grupowych. Jednocześnie należy zaznaczyć, że w procesie restrukturyzacyjnym udało się zachować 40 miejsc pracy -mówił wcześniej prezes.

Z czterech zakładów pozostał tylko jeden - płyt, wykładzin gumowych i sznurów przemysłowych, bo - według zarządu - tylko on na siebie zarabiał i nadal zarabia. ©℗

Ostrzelane przedszkole. Sprawca pozostaje bezkarny

Maciej Czerniak
maciej.czerniak@polskapress.pl

Sprawa została zakończona, a postępowanie umorzone „z powodu niewykrycia sprawcy". To, co wydarzyło się ponad pięć miesięcy temu, wciąż budzi w mieszkańcach Osielska obawę.

Wracamy do sprawy incydentów, które zelektryzowały mieszkańców Osielska pod koniec listopada ubiegłego roku.

„Doszło do dwukrotnego ostrzelania budynku Akademii Przedszkolaka od strony ul. Jana Pawła - najprawdopodobniej z broni typu ASG lub wiatrówki sportowej. Na szczęście, nikt nie ucierpiał, a straty są wyłącznie materialne” - pisała na facebookowej grupie mieszkańców Osielska Zuzanna Raus.

- Policjanci z bydgoskiego Śródmieścia otrzymali dwa zgłoszenia od dyrekcji przedszkola z Osielska dotyczące ujawnionych uszkodzeń szyb oraz elewacji budynku placówki. Do zdarzeń doszło w czasie, gdy placówka nie pracowała - potwierdziła nadkom. Lidia Kowalska z Komendy Miejskiej Policji w Bydgoszczy.

Prowadzone było postępowanie dotyczące uszkodzenia mienia. Policjanci przyjęli zawiadomienia, przeprowadzili oględziny i gromadzili materiał dowodowy dążąc do ustalenia i zatrzymania osoby lub osób odpowiedzialnych za te czyny. Na miejscu przeprowadzono oględziny z udziałem biegłego z zakresu balistyki. Kluczową kwestią było ustalenie, z jakiego rodzaju broni strzelano.

Co wiadomo po ponad pięciu miesiącach od tego zdarzenia?

- Postępowanie zakończono z powodu niewykrycia sprawcy - informuje Lidia Kowalska.

Mieszkańcy wiedzą swoje: „Od pewnego czasu w gminie dochodzi do podobnych incydentów: między innymi przy ulicy Koralowej, Chabrowej i Jana Pawła II – nieznane osoby ostrzeliwują różne budynki, mogą poruszać się samochodem” - pisze jedna z internautek.

- Kiedy po raz pierwszy zauważyłem ślady uszkodzeń wskazujące, że to wynik użycia jakiejś broni, pomyśleliśmy, że to musi być przypadek. Kiedy sytuacja się powtórzyła, stało się jasne, że to było działanie celowe - mówił z kolei Norbert Raus, dyrektor przedszkola. ©℗

MATERIAŁ INFORMACYJNY T-MOBILE 0011518049

T-Mobile odświeża ofertę na kartę. Atrakcyjne pakiety i niespodzianki w Magenta Moments – „Wszystko blisko”

Można być całuśnoblisko**, daleko**blisko**, momento**blisko **i pyszno**blisko**, bo każde blisko jest fajne! Od 6 maja, wraz ze startem nowej oferty T-Mobile na kartę, rusza nowa kampania reklamowa pod hasłem „Wszystko blisko”, promująca ofertę T-Mobile na kartę oraz bonusy w Magenta Moments.**

Nieważne, czy jesteś online, czy offline, zawsze możesz być blisko drugiej osoby. To wszystko możesz mieć w T-Mobile na kartę dzięki dużej paczce Internetu 9999 GB przez rok (12 x 833,25 GB) z ofertą cykliczną od 35 zł, która zapewnia Ci swobodę korzystania ze smartfona oraz niespodziankom w Magenta Moments, które pozwalają na miłe spędzanie czasu razem.

Swoboda na start

Jedną z najważniejszych zmian jest podejście do samego początku korzystania z oferty. Pierwszy miesiąc za 0 zł to rozwiązanie, które niewątpliwie zachęca do spróbowania. Użytkownik nie musi już podejmować decyzji „w ciemno”, ani zastanawiać się, czy oferta będzie dla niego odpowiednia – może ją po prostu sprawdzić w praktyce.

Co ważne, nie jest to wersja testowa czy ograniczona. W ramach pierwszych 30 dni dostępne są nielimitowane rozmowy, SMS-y i MMS-y oraz pakiet internetu, który bez problemu wystarcza na codzienne potrzeby. Dopiero po tym czasie użytkownik decyduje, czy chce zostać na dłużej. To prosty, przejrzysty model, który dobrze wpisuje się w rosnącą potrzebę elastyczności.

Aktywacja Roku Internetu z 9999 GB jest możliwa z ofertą cykliczną już od 35 zł w aplikacji Mój T-Mobile. Pierwszy pakiet 833,25 GB zostanie przyznany po aktywacji usługi, a kolejne po odnowieniu oferty cyklicznej. Aby skorzystać z oferty, wystarczy kupić starter, zarejestrować go, doładować konto za 10 zł, a następnie włączyć ofertę GO! M przez pierwszy miesiąc za 0 zł i Rok Internetu w aplikacji Mój T-Mobile. Gotowe!

Internet, który nadąża za codziennością

Internet to dziś podstawowe narzędzie komunikacji i rozrywki. Korzystamy z niego w pracy, w podróży, w domu. Nawigacja, komunikatory, serwisy społecznościowe czy streaming działają w tle naszego życia.

Dlatego zwiększenie pakietów danych w odświeżonej ofercie ma realne znaczenie. Każdy z dostępnych wariantów został wzbogacony o dodatkowe gigabajty. W ofercie cyklicznej GO! M za 35 zł klient otrzyma 50 GB internetu (w tym 20 GB po doładowaniu), w ofercie GO! L za 45 zł otrzyma 150 GB (w tym 30 GB po doładowaniu), a w opcji GO! XL za 50 zł aż 300 GB (w tym 30 GB po doładowaniu), co przekłada się na większy komfort korzystania z telefonu. Zamiast kontrolować zużycie danych, można po prostu korzystać z sieci bez stresu i bez ograniczeń.

To zmiana, która może wydawać się subtelna, ale w praktyce robi dużą różnicę. Internet przestaje być czymś, co trzeba „oszczędzać”, a zaczyna być naturalnym elementem codzienności.

9999 GB, czyli koniec liczenia – z ofertą cykliczną już od 35 zł

Jednym z najmocniejszych elementów oferty jest tzw. Rok Internetu, czyli aż 9999 GB danych (12 x 833,25 GB) do wykorzystania w skali roku. W praktyce oznacza to setki gigabajtów miesięcznie – ilość, która dla większości użytkowników eliminuje potrzebę jakiejkolwiek kontroli zużycia. Streaming w wysokiej jakości, wideorozmowy, praca zdalna czy rozrywka online przestają być czymś, co trzeba planować. Internet jest po prostu dostępny wtedy, kiedy jest potrzebny.

Aktywacja tej opcji została maksymalnie uproszczona. Wystarczy kupić starter, zarejestrować go, doładować konto za 10 zł, a następnie włączyć ofertę GO! M przez pierwszy miesiąc za 0 zł i Rok Internetu w aplikacji Mój T-Mobile.

Nie tylko usługi – także doświadczenia

Współczesne oferty telekomunikacyjne coraz częściej wychodzą poza schemat minut i gigabajtów. Użytkownicy oczekują czegoś więcej – rozwiązań, które realnie wpływają na ich codzienność.

I tutaj ważną rolę odgrywa program Magenta Moments. To przestrzeń, w której technologia spotyka się z codziennymi przyjemnościami. Użytkownicy mogą korzystać z ofert i okazji przygotowanych we współpracy z partnerami – m. in. w miejscach takich jak Pizza Hut, KFC czy Cinema City. To dodatki, które zmieniają sposób postrzegania oferty. Telefon przestaje być tylko narzędziem komunikacji, a zaczyna ułatwiać codzienne spotkania, wyjścia, zakupy, wspólne spędzanie czasu.

Rozrywka bez ograniczeń

Uzupełnieniem oferty są korzyści związane z rozrywką cyfrową. W wybranych pakietach użytkownicy mogą skorzystać z dostępu do YouTube Premium. Brak reklam, możliwość odtwarzania w tle czy pobierania treści offline to funkcje, które znacząco podnoszą komfort korzystania z platformy. W połączeniu z dużą ilością opcja ta tworzy wyjątkowo spójną ofertę.

Koniec technologicznych wymówek

Wszystkie te elementy składają się na jedną, wyraźną zmianę. Technologia przestaje być ograniczeniem, a zaczyna funkcjonować w tle – dyskretnie, ale skutecznie. Nie wymaga planowania ani kontroli, tylko po prostu działa. I właśnie dlatego coraz trudniej mówić o „technologicznym alibi”. Bo skoro wszystko jest na wyciągnięcie ręki – szybkie, dostępne i wygodne – pozostaje już tylko skupić się na tym, co naprawdę ważne: relacjach, rozmowach i codziennych chwilach, które chcemy dzielić z innymi.

eprasa.pl 7277978f22

Express Bydgoski
Piątek, 8.05.2026

Maciek Balcar: Jesteśmy przebodźcowani

Magdalena Jasińska
Zwierzenia przy muzyce

Po utworze „Za daleko", który otworzył cykl „SINGLE", Maciek Balcar dokłada kolejny kawałek. I to nie jest lekki numer do radia w tle. To jest zatrzymanie. Moment, kiedy człowiek mówi: dobra, stop.

„A może tak..." - to piosenka o zmęczeniu światem, który nie daje odetchnąć. O hałasie, który nie cichnie nawet w nocy. O tym, że wszystko jest za głośne, za szybkie, za intensywne. Kolejny singiel i to taki, jakby życie Pana zmęczyło.
Nie są to wyłącznie moje przemyślenia, ale jesteśmy zewsząd bombardowani różnymi promocjami i pewnie z tego wynika to zmęczenie. Kiedyś było łatwiej sięgnąć po książkę i ze spokojem sobie spędzić wieczór, a teraz przychodzą SMS-y, przychodzą powiadomienia, subskrypcje wyskakują z lodówki i to wszystko powoduje, że jesteśmy bardzo mocno przebodźcowani.

Grzegorz Paczkowski chyba po raz pierwszy napisał Panu tekst.
Akurat to jest nie pierwszy jego tekst dla mnie, ale pierwszy taki, który zdecydowałem się pokazać światu.

Ale wcześniej opowiadał mu Pan, czego oczekuje?
Mniej więcej mówiłem z czym się mierzę, z czym mam problem, dlaczego uważam, że to nie fajne i podrzuciłem mu pierwsze słowa „A może tak". I tak powstał tekst. Grzegorz pisał do muzyki, tak jak to tradycyjnie bywa. Utwór został nagrany „po szwedzku".

Czyli po flamandzku.
Różnych języków się używa w tym celu. W moim przypadku może to był flamandzki, kto wie.

Tekst jest głęboki i oddający to, co nas otacza. Czy Pan korzysta z życia na przekór temu?
Chyba na tym polega dowcip, żeby znaleźć odpowiedni balans, bo broń Boże nie jestem wrogiem technologii, nawet korzystam z niej dość mocno. Przypominam sobie czasy nagrywania na taśmie magnetofonowej. Po pierwsze, jakość beznadziejna, po drugie można było pomyśleć o nagrywaniu

FOT. JULITA GÓRSKA

Zwierzenia przy muzyce Maćka Balcara w sobotę o godz. 18.05 na antenie Radia PiK

wielośladowym, a teraz właściwie każdy w komórce może mieć zawrotną jakość wielośladową i po prostu bawić się muzyką. Więc jestem za technologią, doceniam to, w jakich czasach żyję i z czego mogę korzystać, ale widzę też drugą stronę medalu, że to momentami po prostu tak mocno zaszumia nam obraz, że zapominamy o tym, co kochamy, co lubimy. Ten leśny dukt, ten wypoczynek nad wodą, ta cisza podczas wieczoru i zapatrzenia w gwiazdy. To są rzeczy, które nam umykają, przez szum nowości technologicznych.

Nasi słuchacze kojarzą Pana z niezłym wygarem w głosie, z niesamowitymi możliwościami głosowymi, które Pan trochę pochował w tym utworze.
Bo ten utwór nie wymaga tego, żeby krzyczeć, albo używać podniesionego głosu. Tu potrzebna jest równowaga, natomiast ten utwór, to jest drugi singiel, który będzie umieszczony na płycie pod roboczym tytułem „Single" i myślę, że te kolejne, będą pokazywać również tamtego Maćka Balcara i na pewno słuchacze się nie zawiodą. Natomiast w temacie tego właśnie poszukiwania równowagi, myślę że wystarczyło po prostu przekazać tekst, zresztą bardzo dobry tekst Grześka Paczkowskiego.

Najpierw „Za daleko" teraz „A może tak?". Obie piosenki być może znajdą się na płycie Single, bo właśnie nasze życie, życie muzyków szczególnie stało się takim życiem singlowym. Bardzo często zastanawiacie się, czy w ogóle wydawać płyty, bo ludzie przestają je kupować.
Ja zawsze bardzo lubiłem płyty koncepcyjne, takie jak wydawał zespół Marillion, czy YES. Uwielbiam ich i mógłbym słuchać na okrągło. Oczywiście nie zapominam o Pink Floyd, którego nie należy pominąć na liście największych moich ukochanych przebojów. Kocham artystów, którzy piszą w ten sposób, że słucha się ich jako całości i trochę za tym tęsknię, bo przyznam, że takie płyty, gdzie są poszczególne utwory, to może nie jest to jakaś wielka strata, ale w patrząc na te programy, te projekty koncepcyjne, to już jest duża strata.

A droga kariery solistycznej, czyli praca na własne nazwisko, jest łatwiejsza od pracy w zespole?
To ciekawe pytanie, bo nie mam wielkiego doświadczenia w pracy z zespołem. To znaczy, proszę mnie źle nie zrozumieć, po prostu to trzy zespoły, w porywach cztery, z Dżemem włącznie. Moje początki, potem w międzyczasie jeszcze zespół Harlem. Większe doświadczenie mam jeżeli chodzi o moje solowe rzeczy i tu muszę powiedzieć, że dla mnie tworzenie muzyki jest największą radością. Natomiast z tekstami mam tego typu problem, czy też nie problem, po prostu taki system, że jak coś mi przychodzi do głowy i wiem o czym bym chciał powiedzieć, zaśpiewać, to po prostu to przekazuje i piszę. Ale jeżeli czuję, że to nie jest dobry kierunek albo że nie do końca o to mi chodziło, to ja po prostu proszę zaprzyjaźnionych tekściarzy, poetów, żeby mi pomogli stworzyć taki tekst. Natomiast jeżeli chodzi o muzykę, to jest to moje podwórko, w którym się bawię i co za tym idzie jeżeli chodzi o taką pracę zespół - solowo, to chyba wolę to solowe podejście. Chyba wolę robić to solowo jeśli chodzi o scenę. ©℗

AUTOREKLAMA 0111510314

eprasa.pl 7277978f22

POLSKA i ŚWIAT

KRÓTKO

REFERENDUM

Wniosek ws. „Zielonego Ładu”

Prezydent Karol Nawrocki poinformował w czwartek, że zdecydował o skierowaniu wniosku do Senatu o przeprowadzenie referendum w sprawie unijnej polityki klimatycznej.

„Jako obywatelski kandydat na prezydenta podpisałem porozumienie z niezależnym samorządnym związkiem zawodowym »Solidarność«. Zadeklarowałem w nim miedzy innymi, że podejmę działania hamujące negatywne skutki wynikające z polityki europejskiego Zielonego Ładu, w tym w szczególności złożę do Senatu Rzeczypospolitej wniosek o przeprowadzenie referendum w sprawie implementacji polityki klimatycznej Unii Europejskiej” – powiedział prezydent Karol Nawrocki w wystąpieniu dostępnym na profilu kancelarii prezydenta na Platformie X.

Podkreślił, że „decyzje podejmowane dziś będą miały wpływ na nasze życie przez długie lata” i ocenił, że dotyczy to „szczególnie europejskiej polityki klimatycznej”.

SPOTKANIE

Premier u papieża Leona XIV

Wczoraj premier Donald Tusk spotkał się z papieżem.

To pierwsza audiencja premiera u Leona XIV. Odbyła się w przeddzień pierwszej rocznicy wyboru papieża z USA. Premier zawiózł papieżowi w podarunku Pięcioksiąg Mojżeszowy w języku kaszubski.

FOT.FOT. VATICAN MEDIA

MEDIA

Będą walczyć z dezinformacją

Polskie media publiczne – Telewizja Polska, Polska Agencja Prasowa i Polskie Radio zawarły w czwartek porozumienie powołujące do życia inicjatywę „Sprawdzam to”.

Głównym elementem inicjatywy będzie portal sprawdzamto.pl, na którym będą publikowane i porządkowane treści fact-checkingowe. Znajdą się tam m.in. newsy, analizy i raporty oraz publicystyka wyjaśniająca mechanizmy manipulacji w mediach. Portal zbuduje własną redakcję, ale kluczowe dla rozwoju projektu będzie merytoryczne i instytucjonalne zaplecze mediów publicznych. Treści będą udostępniane w serwisie informacyjnym PAP, na portalu PAP.pl, w serwisach profilowanych oraz w kanałach społecznościowych Agencji.

POŻAR

Cały obszar pożaru jest aktualnie pod kontrolą, choć w środku niego wciąż są miejsca, które wymagają stałej interwencji strażaków – poinformował w czwartek szef MSWiA Marcin Kierwiński. Przez dwa dni akcji gaśniczej w Puszczy Solskiej wykonano z powietrza ok. 500 zrzutów – ponad 600 ton wody. Obszar pogorzeliska oceniany jest wstępnie na ok. 300 ha, ale obszar działań operacyjnych na około tysiąc hektarów.

> *Pokój na Ukrainie nie jest bliżej niż rok temu, a sytuacja na Bliskim Wschodzie będzie eskalować*
>
> **dr Agnieszka Bryc** specjalistka od stosunków międzynarodowych, Rosji i Wschodu z UMK

Ustawa o kryptowalutach. To już trzecie podejście

Dorota Kowalska
Warszawa

W Sejmie mamy dzisiaj dwa projekty ustaw mające uregulować w Polsce rynek kryptowalut. Jeden po raz trzeci złożył rząd. Drugi – prezydent Nawrocki. Wszystko w sytuacji, kiedy afera Zondacrypto zatacza coraz szersze kręgi i pojawia się w niej coraz więcej nazwisk polityków prawicy.

FOT. ADAM JANKOWSKI

Rząd Donalda Tuska złożył trzeci już projekt ustawy ws. kryptowalut

FOT. ADAM JANKOWSKI

Prezydent Nawrocki złożył swój projekt „osadzony na trzech filarach”

Rząd nie zamierza odpuszczać w kwestii kryptowalut. Dwie poprzednie ustawy w tej sprawie zawetował prezydent Karol Nawrocki. Teraz do Sejmu trafiła ustawa numer trzy, niewiele różniąca się od poprzednich.

– Jedyną zmianę, jaką będę proponował w tym projekcie, jest jeszcze wyraźniejsze zaostrzenie kar dla tych, którzy wykorzystując marzenia ludzi, czasami naiwność ludzi, czasami brak wiedzy, oszukują ich i narażają też państwo polskie, nasze bezpieczeństwo na szwank, a oszukują tych ludzi, którzy chcą zainwestować swoje oszczędności – przekazał Donald Tusk przed wtorkowym posiedzeniem rządu.

– Mamy do czynienia z jedną z największych afer ostatnich nie lat, ale dekad. Aferą, w którą wplątani bezpośrednio są były i aktualny prezydent i prawicowe partie opozycji, bezpośrednio finansowani politycy z tej opozycji. Macie ostatnią szansę, żeby pokazać, że coś do was dotarło – podsumował we wtorek premier.

Wywołani do tablicy postanowili działać. Prezydent Nawrocki, już po pierwszym zawetowaniu ustawy regulującej w Polsce rynek kryptowalut zapowiadał, że złoży do Sejmu swój projekt ustawy w tej sprawie, złożył go po drugim wecie.

– Pan prezydent dziś złożył do marszałka Sejmu projekt ustawy o kryptoaktywach, prezydencki projekt ustawy, który reguluje ten rynek – poinformował w środę szef kancelarii prezydenta Zbigniew Bogucki.

Prezydencki projekt ustawy, jak mówił Bogucki, „zasadza się na trzech zasadniczych filarach”. Pierwszy to ochrona konsumentów i inwestorów. Drugi – kwestia realnego i skutecznego nadzoru państwa. Trzeci – zabezpieczenie konstytucyjnych praw przedsiębiorców, którzy działają w ramach rynku kryptowalut.

Szef KPRP podkreślił, że projekt ustawy jest wyjściem naprzeciw tym, którzy oczekują na regulację rynku kryptoaktywów.

Historia politycznej walki o uregulowanie, czy większą kontrolę nad rynkiem kryptowalut, trwa w Polsce już od kilku miesięcy. Pod koniec ubiegłego roku Karol Nawrocki zawetował uchwaloną 7 listopada ustawę o rynku kryptoaktywów. Wtedy Zbigniew Bogucki decyzję Nawrockiego tłumaczył między innymi tym, że ustawa wprowadzała rozwiązania nadmierne, niejednoznaczne i nieproporcjonalne.

Prezes PiS, pytany wówczas przez dziennikarzy, jak jego klub zagłosuje w sprawie zawetowanej ustawy, oświadczył, że posłowie będą wspierać prezydenta.

Sejm weta prezydenta nie odrzucił. Przeciw głosowali politycy PiS i Konfederacji.

Po głosowaniu premier zapowiedział szybkie złożenie nowego projektu w tej sprawie. I tak też się stało – nowy projekt o identycznym brzmieniu, jak ten zawetowany, trafił do Sejmu i 18 grudnia ubiegłego roku został uchwalony.

W lutym br. prezydent Nawrocki zawetował ustawę po raz kolejny. Tłumaczył, że otrzymał do podpisu dokument praktycznie identyczny, jak ten, który wcześniej zawetował.

Głosowanie nad odrzuceniem prezydenckiego weta wyznaczono na 17 kwietnia. Sejm jednak i tym razem nie odrzucił weta prezydenta. Tymczasem 17 kwietnia wszczęto śledztwo w sprawie giełdy Zondokrypto, prowadzi je Centralne Biuro Zwalczania Cyberprzestępczości we Wrocławiu. PAP

Senat zagłosował za obowiązkowym czipowaniem psów i kotów. W ciągu pięciu lat obejmie wszystkie

Oprac. Anna Nagel
Warszawa

Obowiązkowe czipowanie psów i kotów zakłada ustawa o Krajowym Rejestrze Psów i Kotów (KROPiK), którą w czwartek poparł Senat.

Za ustawą wraz ze zmianami głosowało 56 senatorów, przeciwnych było sześcioro, 17 wstrzymało się od głosu.

Ustawa o KROPiK wprowadza obowiązek czipowania oraz rejestracji psów i kotów w elektronicznym systemie prowadzonym przez Agencję Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa. Skrócono termin wejścia w życie ustawy od jej ogłoszenia – z trzech do dwóch lat. Jednocześnie zachowano trzyletni okres na oznakowanie i rejestrację zwierząt urodzonych przed wejściem w życie ustawy. W ciągu pięciu lat rejestr ma objąć całą populację psów i znaczną część populacji kotów w Polsce.

Ustawa wprowadza obowiązek oznakowania i rejestracji wszystkich psów niezależnie od daty urodzenia. W przypadku kotów obowiązek obejmuje zwierzęta, które mają właściciela, przebywające w schronisku lub pod opieką organizacji zapewniającej opiekę w domu tymczasowym. Rady gmin zdecydują, czy obowiązkiem czipowania objąć koty wolnożyjące. Obowiązkiem nie będzie można objąć kotów wolnożyjących bytujących w gospodarstwach rolnych. Maksymalny koszt oznakowania i rejestracji wynosi 0,56 proc. przeciętnego wynagrodzenia ogłaszanego przez GUS, czyli obecnie ok. 50 zł za każdą z tych czynności. Koszt pokrywa właściciel. W przypadku zwierząt już oznakowanych wystarczy rejestracja. Zwierzęta znakują i rejestrują lekarze weterynarii.

Przez trzy lata ARiMR zapewni bezpłatną rejestrację zwierząt oznakowanych wcześniej. PAP

Express Bydgoski
www.express.bydgoski.pl

Redaktor naczelna **Alicja Polewska**
Prezes Makroregionu **Marek Ciesielski**
Dyrektor biura reklamy oddziału **Agnieszka Perlińska**
Dyrektor marketingu oddziału **Katarzyna Jabłońska**

Redakcja, ul. Zamoyskiego 2, 85-063 Bydgoszcz
tel. 523 263 100
redakcja@express.bydgoski.pl
Druk Polska Press Oddział Poligrafia
85-438 Bydgoszcz, ul. Grunwaldzka 229

POLSKA PRESS GRUPA
Wydawca **Polska Press Sp. z o.o.**
ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa,
tel. 22 201 44 00, fax: 22 201 44 10

Prezes Zarządu Polska Press Grupy **Zenon Nowak**
Redaktor naczelny Polska Press Grupy **Marek Twaróg**
Dyrektor artystyczny **Tomasz Bocheński**
Dyrektor kolportażu **Tomasz Osoliński**
Biuro Konsumenta PPG, e-mail: biurokonsumenta@polskapress.pl, tel. 12 688 85 10

©℗ - umieszczenie takich dwóch znaków przy Artykule, w szczególności przy Aktualnym Artykule, oznacza możliwość jego dalszego rozpowszechniania tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem zamieszczonym na stronie www.expressbydgoski.pl/tresci i w zgodzie z postanowieniami niniejszego regulaminu.

eprasa.pl 7277978f22

Express Bydgoski
Piątek, 8.05.2026

Jarosław Reszka

MINĄŁ TYDZIEŃ
MIASTO MIN CZY WPROWADZONE NA MINĘ?

Mam przekorne usposobienie i dlatego najczęściej trudno mi przyznać, że w całej rozciągłości zgadzam się z czyimś zdaniem. Tym razem tak jednak było, i to z zachowaniem jedności czasu, miejsca i akcji. A rzecz dotyczyła gigantycznego kontraktu na produkcję min przeciwpiechotnych, podpisanego przez Belmę, którym to kontraktem pochwaliła się Bydgoszcz na swojej oficjalnej stronie.

Zgodnie z kontraktem, Belma ma wyprodukować kilkanaście tysięcy kompletów kaset minowych i zarobić na tym 3,4 miliarda złotych. „To kolejny kontrakt, który istotnie wpływa na rozwój strategicznej firmy działającej na terenie Metropolii Bydgoskiej" - podsumowano na stronie bydgoszcz.pl. Wiadomość ta na facebookowym profilu miasta zebrała kilkaset polubień i kilkadziesiąt komentarzy z gratulacjami. Na palcach jednej ręki policzyć za to można było głosy wyrażające dezaprobatę - nie tyle dla samego kontraktu, co dla miejsca i tonu, w którym o nim poinformowano. Do tych nielicznych komentatorów należała Anna Rembowicz-Dziekciowska, do niedawna szefowa Miejskiej Pracowni Urbanistycznej. „Sprawy związane z obronnością kraju nie powinny być wykorzystywane dla PR. W tych sprawach im ciszej, tym lepiej" - napisała między innymi.

FOT. JAROSŁAW RESZKA

Łysawa górka - pozostałość po muszli koncertowej - parkowi Witosa uroku nie dodaje

Napisała bardzo oględnie, wręcz dyplomatycznie, jak na niedawną podwładna prezydenta Bruskiego przystało. Tak oględnie, że redaktorzy tekstów trafiających na oficjalny portal miejski specjalnie się tym komentarzem nie przejęli i triumfalna wieść o sukcesie firmy z Lisiego Ogona nadal wisi na stronie samorządu Bydgoszczy.

A ja się zastanawiam, czy to aby nie jest krokiem w stronę wykreowania nowego wizerunku Bydgoszczy. Czyżbyśmy, obok Miasta Muzyki i Miasta nad Rzeką, mieli zostać także Miastem Min Przeciwpiechotnych? Miastem jednego z najbardziej okrutnych typów uzbrojenia, zabijających albo urywających nogi nie tylko najeźdźcom, lecz także swoim, często w wiele lat po zakończeniu konfliktu zbrojnego? Już sam fakt wycofania się Polski przed kilkoma miesiącami z traktatu ottawskiego (czyli konwencji o zakazie użycia, składowania, produkcji i przekazywania min przeciwpiechotnych oraz o ich zniszczeniu) cywilizacyjnie cofa nasz kraj o całe stulecie. Owszem, do cywilizacyjnego regresu zostaliśmy zmuszeni przez Federację Rosyjską, niehonorującą niemal żadnego prawa dotyczącego granic prowadzenia wojny. Nie oznacza to bynajmniej, że zdziczeniem obyczajów w odpowiedzi na zdziczenie obyczajów powinniśmy się publicznie chwalić.

Osobna sprawa to bezpieczeństwo mieszkańców Bydgoszczy i okolic w przypadku zbrojnego konfliktu z Rosją. W jakie punkty na mapie Polski Rosjanie wymierzą swe rakiety? Czy jednym z pierwszoplanowych celów nie będzie Miasto Min Przeciwpiechotnych, vel Miasto NATO, jak też się o Bydgoszczy teraz mówi? Nie mam, broń Boże, zamiaru siać paniki i defetyzmu - było nie było, to premier Tusk twierdzi, że atak Rosji na państwo należące do NATO jest kwestią nie lat, lecz miesięcy. Apeluję tylko o rozsądek. Rozsądek większy niż ten zawarty w przedwojennym sloganie autorstwa marszałka Rydza-Śmigłego: „Nie oddamy nawet guzika". Bo wiemy, co naprawdę wtedy oddaliśmy i kto oddał, a kto szybko czmychnął za rumuńską granicę.

Na zakończenie zmiana kalibru na kaliber kolibra. Tuż przed długą majówką odwiedziłem częściowo ożywiony park Witosa. Na miejscu kortów tenisowych stoi teraz skwerek z drobną, świeżą roślinnością, kojarzący się bardziej z zielonym oczkiem urządzonym przez dewelopera na nowym osiedlu mieszkaniowym. Kudy tym roślinkom do drzew pozostałych po dawnym cmentarzu ewangelickim!

Ale nie tylko to mnie zdegustowało. Zaraz za tym skwerkiem rozciąga się placyk i górka - pozostałość po rozebranym amfiteatrze wokół muszli koncertowej. Rośnie na nich jedynie marna trawa. Muszlę zlikwidowano parę laty temu, na rewitalizację centralnej części parku też jeszcze parę lat przyjdzie poczekać - wszak wciąż nawet nie rozstrzygnięto konkursu na jego koncepcję. Nie można na te kilka lat smętnej górki obsiać kwiatami lub przynajmniej zamienić w łąkę kwietną - aby nie psuła krajobrazu? ©℗

Ryszard Tadeusiewicz, profesor AGH

POLSKI MOST UWAŻANY ZA CUD TECHNIKI

Spośród wielu budowli wznoszonych przez ludzi na szczególne uznanie zasługiwały zawsze mosty. Były zawsze bardzo potrzebne, trudne w budowie i na swój sposób bardzo piękne.

W moich felietonach tu publikowanych pisałem już o mostach krakowskich: O Moście Królewskim, który łączył miasto z położoną na osobnej wyspie miejscowością Kazimierz (7.8.2019), o Moście Cesarskim (14.8.2019), o Moście Kraka (21.8.2019), o Moście Marszałka Piłsudskiego (28.8.2019), oraz o Moście Dębnickim (4.9.2019). Wspominam o tym, bo dziś chcę opowiedzieć o moście, który powstał z inicjatywy Krakowianina, króla Zygmunta Augusta, ale zbudowany został w Warszawie.

Most budował polski konstruktor Erazm z Zakroczymia. Budowa trwała długo, bo aż 5 lat (1568-1573), bo most miał pond pół kilometra długości i 6 m szerokości.

Ale zbudowany most budził powszechny podziw, pisali o nim odwiedzający Warszawę cudzoziemcy, na przykład był on opisany w dziele Georga Brauna wydanym w 1617 roku.

Most oparto na 18 podporach w postaci pali wbitych w dno rzeki. Do ich wbijania użyto pływającego na tratwie olbrzymiego okutego żelazem kafara (spadającego z góry młota). Do podniesienia owego młota potrzebna była - jak notują kroniki - siła stu mężczyzn. Ta informacja jest jednak moim zdaniem nieprawdziwa - gdzie by ten tłum wciągających kafar robotników miał się podziać? Na tratwie? Niemożliwe! Na brzegu? Niewygodne.

Tak czy inaczej te pale wbito w dno Wisły i niosły one na sobie ciężar mostu i znajdujących się na nim pojazdów i przechodniów

Żeby płynąca z prądem rzeki wiosenna kra owych podpór nie uszkodziła - osłonięto je od strony nadpływającej wody potężnymi osłonami (izbicami).

Dodatkowym problemem był ruch transportowy na Wiśle - płynęły nią często barki z różnym ładunkiem (głównie ze zbożem przeznaczonym na eksport), a także ogromne tratwy z eksportowanymi pniami drzew dla stoczni, których spływem kierowali doświadczeni flisacy

Żeby te barki i tratwy w razie potrzeby przepuszczać - 5 podpór od strony Pragi nie było wbitych w dno rzeki, tylko było pływających, z możliwością ich odsuwania dla przepuszczenia nadpływających statków. Wymagało to oczywiście stałego nadzoru, obsługi i konserwacji, ale działało podobno bez zarzutu.

Poza sukcesem technicznym polskich budowniczych tego imponującego mostu warta odnotowania jest hojność krakowskiego króla dla niebędącej wtedy jeszcze stolicą Warszawy. Za opisaną budowlę król zapłacił rzemieślnikom 100 tysięcy czerwonych złotych. Kronikarze piszą, że był to niewyobrażalny majątek. Poszukałem informacji, jaka była wartość nabywcza czerwonego złotego (bitego z czystego złota) za czasów ostatnich Jagiellonów i potwierdza, że był to wielki majątek. Sama moneta nazywana „czerwonym złotym" ważyła 3,4987 grama czystego złota (próby 0,986) i miała wartość 30 ówczesnych groszy. Tyle właśnie kosztował zimowy kożuch. Za jednego czerwonego złotego można było kupić dwa cielaki. Tona zboża kosztowała około 3 czerwone złote. Dobry koń (bardzo ważny w tamtych czasach) kosztował około 10 czerwonych złotych

Kosztowny, ale łatwopalny most wybudowany w Warszawie przez jej królewskiego brata martwił królową Annę Jagiellonkę, która zresztą doglądała prac wykończeniowych przy moście, bo Zygmunt August zmarł w 1572 roku, przed ukończeniem budowy.

Powodów do zmartwienia było sporo, bo położone nad Wisłą przedmieścia zamieszkiwała ludność niezbyt dbająca o swoje domostwa, więc pożary były tam na porządku dziennym. Dlatego w roku 1582 nakazała zbudowanie ceglanej baszty wjazdowej, która chroniła most przed pożarem i pozwalała sprawdzać, kto na most wjeżdża. Takie to były dzieje mostu zbudowanego przez Krakowianina w Warszawie!

ZDJĘCIE TYGODNIA

FOT. TOMASZ CZACHOROWSKI

Trwają matury (od 4 do 30 maja). Na zdjęciu przed egzaminem z języka polskiego (4.05.) maturzyści z III Liceum Ogólnokształcącego w Bydgoszczy. W tym roku do egzaminu dojrzałości w całym kraju przystępuje około 344,8 tysiąca osób

eprasa.pl 7277978f22

PULS
#215

NASZE NIEDOCZYTANIE

BT

eprasa.pl 7277978f22

Express Bydgoski
Piątek, 8.05.2026

– Prawdziwym niebezpieczeństwem nie jest to, że ludzie całkowicie przestaną czytać. Groźniejsze jest to, że czytanie zostanie przywilejem wąskiej warstwy, która będzie budować koncentrację i kompetencje, a duża część społeczeństwa nie zobaczy przyjemności ani w lekturze, ani w poruszaniu własnego mózgu – mówi Maria Deskur, prezeska Fundacji Powszechnego Czytania

Anita Czuprym

FOT. 123RF

Maria Deskur: Dziś w Polsce mniej więcej połowa rodziców czyta swoim dzieciom. To znaczy, że mniej więcej połowa dzieci przychodzi do szkoły zasadniczo do niej nieprzygotowana

MARIA DESKUR: BEZ CZYTANIA MOŻEMY SIĘ CYWILIZACYJNIE COFNĄĆ

Aby zmienić postrzeganie czytania przez społeczeństwo i decydentów, Fundacja Powszechnego Czytania zorganizowała w Warszawie konferencję Literacy for Democracy. Co takiego się stało, że czytanie przestaje być tylko miłym, dobrym nawykiem, a staje się sprawą strategiczną?

To bardzo dobre pytanie. Jak mówi Maryanne Wolf, profesorka neuronauki i znana amerykańska badaczka mózgu czytającego, jeśli nie będziemy dbali o to, co ona nazywa głębokim czytaniem, czyli o linearne, długie czytanie książek, zatracimy umiejętności, które sprawiły, że jako cywilizacja stworzyliśmy demokrację. To jedno. Druga odpowiedź pojawia się w słynnym Ljubljana Manifesto on Higher-Level Reading, czyli manifeście czytelniczym z Lublany. Jego autorzy, badacze czytania i neuronaukowcy, mówią o tym w kontekście rozwoju sztucznej inteligencji. Zwracają uwagę, że musimy ćwiczyć mózgi, żeby radzić sobie w świecie, w którym coraz ważniejsza staje się umiejętność oceny treści. Łączą to z zalewem dezinformacji, z potrzebą budowania krytycznego myślenia, innowacyjności, kompetencji komunikacyjnych, rozmowy i współpracy z innymi. I pokazują, że czytanie właśnie to nam daje. Myślę, że ważnym elementem tej rozmowy jest świadomość, że czytanie, podobnie jak ruch fizyczny, jest strategicznym elementem dobrostanu społecznego. Dziś już wszyscy wiemy, że nie da się dobrze funkcjonować bez ruchu. Wiedzą to rodzice, szkoła, samorządy inwestujące w parki i siłownie plenerowe, wie to także biznes, który wspiera aktywność pracowników przez karty sportowe. A przecież sport pozostaje czynnością prywatną. Nikt nie może nas zmusić do biegania, pływania czy chodzenia po górach. Firma może dać kartę, burmistrz może zbudować siłownię w parku, ale decyzja nadal należy do nas. Z czytaniem jest podobnie. Ono powinno pozostać prywatną przyjemnością, prywatnym wyborem, naszym nawykiem. A jednocześnie powinniśmy rozumieć, jak bardzo jest strategicznie ważne. Nie uważam, żeby jedno przeczyło drugiemu.

Można rzec, że demokracja zaczyna się wcześniej niż przy urnie wyborczej, bo w domu, w pierwszym kontakcie dziecka z językiem?

Można tak to ująć i bardzo mi się to ujęcie podoba. Kiedy mówimy o pierwszych latach życia dziecka, dotykamy sfery pediatrycznej i psychologicznej. Oczywiście neuronaukowcy także się tym zajmują, ale bardzo mocno mówią o tym również pediatrzy. Na naszej konferencji pojawi się Dana Suskind z Chicago, profesorka pediatrii i chirurgii, która dużo mówi o bogactwie językowym. Nie zajmuje się czytaniem w wąskim sensie, mówi raczej o tym, że dziecko musi być otoczone słowami, bogactwem słownictwa, językiem. A to oczywiście łączy się z książką, bo książka jest jednym z najlepszych narzędzi tworzenia zdrowego środowiska rozwojowego dla dziecka. Daje różnorodność słów, bogactwo języka i pojęć. Suskind mówi też o podmiotowości małego człowieka, o budowaniu jego mózgu, o namnażaniu się synaps. To jest opowieść o tym, że powinniśmy od samego początku upodmiotawiać dzieci. Sprawiać, żeby panowały nad językiem, którym się posługują. Żeby miały narzędzia do wyrażania siebie, opisywania swoich emocji, potrzeb, myśli. Żeby mogły dochodzić do własnych wniosków. I to rzeczywiście jest budowanie, od urodzenia, świadomych uczestników demokracji. Najpierw małych ludzi, potem coraz większych, a w końcu nas wszystkich jako wspólnoty. Pomaga nam to na wielu poziomach. Wspomniałam o nowych technologiach i dezinformacji, ale lekarze zwracają też uwagę na stabilizację emocji. Czytanie i język pomagają również w rozwoju poznawczym mózgu, w namnażaniu się synaps, w rozwoju struktur, które później pozwalają dziecku wybrać swoją drogę, zawód, kierunek życia. Mówiąc najprościej: jeśli mózg jest dobrze rozwinięty, człowiek może pójść w bardzo różne strony i dokonać bardziej autonomicznego wyboru. Ale to także rozmowa o odporności. Dziś odmieniamy to słowo przez wszystkie przypadki: odporność psychiczna, emocjonalna, społeczna, asertywność. A odporność społeczności bierze się między innymi z tego, że potrafimy się komunikować, umiemy coś razem wypracować, razem działać. W tym sensie wszystkie wielkie wyzwania współczesności skupiają się jak w soczewce w pytaniu o czytanie. Powiedziałabym, że chodzi o to, jak użyć czytania jako narzędzia do mierzenia się z wyzwaniami współczesności.

Jakie dzieci wychowujemy, jeśli od pierwszych lat oddajemy ich uwagę ekranom, a nie językowi i rozmowie? Dziś telefony komórkowe montowane są nawet w wózkach, żeby dziecko podczas spaceru mogło oglądać bajkę.

Daleka jestem od oskarżania rodziców, bo wielu robi to zupełnie nieświadomie. Ale fakt jest faktem: mamy dziś dużo badań pokazujących, że małe dziecko do rozwoju mózgu, koncentracji, stabilności i pewności siebie potrzebuje kontaktu z drugim człowiekiem, a nie z ekranem. Ekran oczywiście dziecko cieszy. I to jest pułapka. Coś się rusza, coś miga, można kliknąć. Ekran kradnie uwagę, bo wymaga od mózgu mniejszego wysiłku niż rozmowa, zabawa, obserwowanie świata. A do rozwoju potrzebujemy wysiłku. Wrócę do porównania ze sportem. Żeby się ruszać, trzeba wstać z kanapy. Ale jeśli dziecko dużo biega, nie postrzega tego jako obowiązku. Dla niego to zabawa. Ktoś mu pokazał, że bieganie, kopanie piłki, spacer, chodzenie po górach czy ruch w parku są fajne. Przy dużym wysiłku, jak udział w maratonie, wydziela się dopamina. To ogromny wysiłek dla ciała, a jednak dziesiątki, setki tysięcy ludzi biorą udział w maratonach, bo sprawia im to przyjemność. Z czytaniem jest podobnie. Scrollowanie to pasywna aktywność, to symboliczne siedzenie na kanapie. Wiele osób to lubi, ale to nie znaczy, że jest to dla nich dobre. Jeśli komuś nie pokazano, że ruch może być przyjemnością, łatwo wejdzie w tryb życia, który z medycznego punktu widzenia nie jest najlepszy. Podobnie jest z ekranami. Z punktu widzenia rozwoju małych dzieci bardzo wczesne dawanie im ekranów nie pomaga. Dziecko powinno czasem trochę się ponudzić, obserwować przyrodę, a przede wszystkim być w re-

eprasa.pl 7277978f22

lacji z drugim człowiekiem. Oczywiście to oznacza wysiłek rodzica. Zdaję sobie sprawę, że płaczące dziecko najłatwiej uciszyć telefonem. Ale powinniśmy chcieć zrozumieć, o co mu chodzi, nawet jeśli jeszcze nie mówi. Wziąć je na ręce, sprawdzić, czy coś mu się nie stało, czy nie jest głodne, czy czegoś nie potrzebuje. A kiedy jest starsze – to wchodzić z nim w interakcję. Dom jest pierwszą przestrzenią ćwiczenia relacji społecznych. Dziecko potrzebuje rozmowy, bliskości, obecności. Potrzebuje czasem pokłócić się z rodzicem, postawić mu się, zobaczyć, że rodzic na coś się zgadza, a na coś nie. Że jest reakcja. Że coś jest dobre, a coś niedobre. Że nóż jest niebezpieczny, a łyżka bezpieczniejsza. To milion codziennych sytuacji, z których jako dorośli często nie zdajemy sobie sprawy. Dla rodzica to mogą być rozmowy pozornie trywialne: o tym, co wydarzyło się w parku, w przedszkolu, w książce; że wilk zrobił coś złego, a inny bohater coś dobrego. Ale właśnie to jest przygotowanie do życia. Dziecko potrzebuje tych rozmów, bliskości, obecności i czasu. Rozumiem, że jesteśmy zmęczonymi, zabieganymi rodzicami. Ale nadmiar ekranów jest dla dziecka po prostu bardzo niedobry.

Dzisiaj dzieci bardzo szybko uczą się obsługi nowoczesnych urządzeń. Znacznie wolniej uczą się cierpliwości, skupienia uwagi. Co dobrego daje czytanie? Dlaczego Fundacja Powszechnego Czytania tak mocno apeluje właśnie o czytanie?

Mam poczucie, że jako cywilizacja wykonaliśmy ogromną pracę w bardzo dobrym kierunku: udostępniania wiedzy wszystkim. Obowiązkowa edukacja była milowym krokiem. Cała populacja została włączona w edukację, możliwości rozwojowe, w obietnicę równych szans. Telefon komórkowy również może być genialnie demokratycznym narzędziem. Każdy z nas ma, przynajmniej teoretycznie, dostęp do wszelkiej wiedzy. Ale jeśli jako społeczeństwo nie nauczymy się używać tego narzędzia tak, żeby nam sprzyjało, a nie obniżało nasz potencjał, na drodze ku równym szansom możemy się zatrzymać albo nawet cofnąć. Marzeniem cywilizacyjnym jest przecież to, żeby każde dziecko dostawało publiczną edukację i miało szansę zostać tym, kim zechce. To niezwykłe, że żyjemy w takim miejscu świata, w którym możemy w ogóle o tym rozmawiać. Jeśli pozwolimy, żeby telefon zamiast stać się kolejnym narzędziem demokratyzacji, stał się narzędziem pogłębiania różnic w wykształceniu, to będzie bardzo źle. Widać już pewien paradoks. Ludzie z Doliny Krzemowej, twórcy największych firm technologicznych i mediów społecznościowych, wysyłają własne dzieci do szkół, w których technologii prawie nie ma albo nie ma jej wcale. Bo wiedzą, jak bardzo media społecznościowe uzależniają. Sami je stworzyli. Myślę więc, że prawdziwym niebezpieczeństwem nie jest to, że ludzie całkowicie przestaną czytać. Niebezpieczeństwo polega raczej na tym, że pozostanie wąska warstwa, która nadal będzie czytać, budować koncentrację i kompetencje rozwijane przez czytanie, a duża część społeczeństwa nie będzie poświęcała czasu ani na ruch fizyczny, ani na poruszanie własnego mózgu. I, co równie ważne, nie zobaczy przyjemności ani w jednym, ani w drugim. Prawdziwe wyzwanie cywilizacyjne brzmi więc: jak sprawić, żeby przyjemność ruchu fizycznego i przyjemność czytania stały się powszechne? Wracając do pani pytania, dlaczego czytanie jest tak istotne: dzięki niemu możemy stawać się tym, kim chcemy. Czytanie buduje nasze mózgi. I to w każdym aspekcie, bo mózg to nie tylko wiedza. To także umiejętność łączenia faktów, rozumienia związków przyczynowo-skutkowych, analizy, syntezy, matematyki, fizyki, nauk ścisłych. Jest wiele badań pokazujących, że osoby czytające są lepiej przygotowane do rozumienia pojęć z nauk ścisłych. Ale jest też cała sfera społeczna. Mózg ma wymiar relacyjny. Budujemy neurony lustrzane, ćwiczymy się w rozumieniu drugiego człowieka, we współpracy, we współtworzeniu. Światowe Forum Ekonomiczne wśród najważniejszych kompetencji przyszłości wymienia wiele takich, które dotyczą współpracy, kreatywnego myślenia, pracy z ludźmi i przywództwa. To wszystko. mniej lub bardziej wprost, bierze się z tego, że pozwalamy sobie w szybkim świecie na powolne, głębokie skupienie na treściach. Czytanie ćwiczy mózg w czymś, do czego on wcale nie został pierwotnie stworzony. Nie ma w nim jednego miejsca odpowiedzialnego za czytanie. Żeby nauczyć się czytać i żeby czytać, uruchamiamy bardzo wiele obszarów mózgu. I właśnie dlatego czytanie jest tak dobroczynne. Powoduje, że nasz mózg zaczyna pracować na bardzo wysokich poziomach.

W programie konferencji, obok naukowców, edukatorów i przedstawicieli Komisji Europejskiej, znaleźli się także przedstawiciele biznesu. Czytanie może być dziś postrzegane również jako warunek konkurencyjności? To już nie jest tylko sprawa humanistów?

Zdecydowanie. To jedna z podstawowych prawd. Przyzwyczailiśmy się myśleć w pewnych torach. Tak są też zorganizowane nasze państwa: jest silos kultury, silos edukacji. Promocja czytelnictwa przypisana jest zwykle do silosu kultury. Zajmuje się nią Ministerstwo Kultury, na poziomie gminy wydział kultury, na poziomie europejskim komisarz do spraw kultury. To naturalne, bo społeczeństwa muszą być zorganizowane i trzeba dzielić obowiązki. Ale wyzwaniem jest uświadomienie sobie, że czytanie nie jest wyłącznie domeną humanistów. Oczywiście, że czytanie buduje kody kulturowe, naszą identyfikację, na poziomie regionu, państwa, kontynentu. Ale z punktu widzenia nauki Maryanne Wolf bardzo dobrze to ujmuje: zanim w ogóle rozpoczniesz rozmowę o wartości literackiej tekstu i kodach kulturowych, które on niesie, kiedy czytasz książę, twój mózg już dostał całą pulę ćwiczeń analitycznych, syntetycznych, ćwiczeń krytycznego myślenia, zauważania perspektyw innych niż własna. Czyli uczenia się, że ktoś inny myśli inaczej. To wszystko dzieje się, zanim to zauważysz. Czytasz książkę, a twój mózg wykonuje ogromną pracę. Dlatego zanim zaczniemy rozmowę o jakości literackiej, kodach kulturowych czy kulturze wynikającej z tego, że czytamy te same książki, trzeba zobaczyć podstawowy poziom: czytanie jest treningiem mięśni mózgu. Ćwiczeniem operacji myślowych, które później decydują o tym, co jesteśmy w stanie zrozumieć, stworzyć i zrobić.

Celem Fundacji Powszechnego Czytania jest osiągnięcie 70 procent czytelnictwa w Polsce. Co praktycznie zmieniłoby się w państwie, gospodarce, relacjach społecznych, gdybyśmy taki poziom osiągnęli?

W wielu krajach prowadzi się badania pokazujące, że wyższy poziom czytelnictwa przekłada się na PKB. W Polsce nie znam takich wyliczeń, więc trudno mi byłoby mocno się na nie powoływać. Natomiast wiemy, że większa liczba osób czytających w danej społeczności oznacza lepszy poziom komunikacji i mniejsze rozwarstwienie społeczne. To są rzeczy, do których dążymy. Sprowadźmy to do konkretnego przykładu. Dziś w Polsce mniej więcej połowa rodziców czyta swoim dzieciom. To znaczy, że mniej więcej połowa dzieci przychodzi do szkoły zasadniczo do niej nieprzygotowana: psychicznie, emocjonalnie, ale też kompetencyjnie. One już na starcie są w bardzo trudnej sytuacji. Gdybyśmy doprowadzili do tego, że czytałoby 70 procent dorosłych i 70 procent rodziców czytałoby dzieciom, mielibyśmy o 20 punktów procentowych więcej dzieci, które przychodzą do szkoły lepiej przygotowane. Dla których szkoła nie zaczynałaby się od traumy. To bardzo konkretna i ogromna korzyść społeczna. Oczywiście można mówić też szerzej: o procesach, dzięki którym rośnie umiejętność współpracy, rosną kompetencje innowacyjne. Polska ma bardzo duże ambicje w tym obszarze. Myślę, że tutaj wiele mogłoby się zmienić. Ale ta rozmowa jest trudna, bo, jak powiedziałam, nie mamy dziś w Polsce takich prognostycznych wyliczeń. Inne kraje to robią. Jako fundacja marzymy o tym, żeby mieć środki na takie prognozy i policzyć to także w Polsce.

Co z pomysłem Fundacji dotyczącym książki na receptę? Czy pediatra może dziś być sojusznikiem czytania?

Pediatrzy już są naszymi sprzymierzeńcami. W tym roku w nowym wydaniu podręcznika do pediatrii, wydawanym przez Medycynę Praktyczną, a to podręcznik, z którego szeroko korzystają pediatrzy w Polsce, zostaje dodany rozdział poświęcony badaniom pokazującym, jak bardzo dzieci od urodzenia potrzebują czytania i rozmowy. W tym samym rozdziale opisano, jak rekomendacje dotyczące czytania można wprowadzić do każdej wizyty w gabinecie, czyli do standardów pediatrycznych. To oznacza, że pediatrzy stają się naszymi sprzymierzeńcami systemowo. Nie chodzi już o to, że jeden, dwóch czy pięciu lekarzy będzie to robić z własnego przekonania. Chodzi o zmianę, która z czasem wejdzie w krwiobieg. Następne pokolenie pediatrów będzie miało tę wiedzę w swoim wykształceniu. Będzie postrzegało rozmowę, czytanie i dzielenie się książką z dzieckiem jako część medycyny. Ogromnie się z tego cieszymy. Do tej pory współpracują z nami już setki pediatrów w Polsce, ale to są ludzie, którzy nie uczyli się tego na studiach. Uczono ich o tym, że ważny jest ruch fizyczny, warzywa, witaminy, obok całej gigantycznej wiedzy pediatrycznej. Natomiast rozmowa o książkach, wspólnym czytaniu, dzieleniu się książkami od najwcześniejszych miesięcy życia, to w Polsce novum. I nie tylko w Polsce. W wielu krajach pediatrzy stają się dziś bardzo ważnymi sprzymierzeńcami czytania.

Konferencja stawia pytanie o wsparcie rodziców i opiekunów, jako tych, którzy kształtują młode umysły. Jakiego wsparcia potrzebują tu rodzice?

Przede wszystkim informacji. Kiedy rodzi się dziecko, wielu rodziców uczestniczy w szkołach rodzenia. Potem pojawiają się neonatolodzy, pediatrzy. I właśnie tam mogłoby pojawić się bardzo ważne wsparcie: jasna informacja, dlaczego rozmowa, obecność i książka są tak ważne od samego początku. Bo jeśli nam w dzieciństwie czytano, jeśli mieliśmy książki w domu i było to naturalne, jest duża szansa, że będziemy czytać własnemu dziecku. Albo wystarczy, że ktoś nam o tym przypomni, i to wróci. Ale w Polsce, podobnie jak w wielu społecznościach w Europie, jest część ludzi, która takiego doświadczenia nie ma. Są rodzice oczekujący dziecka, którym nikt w dzieciństwie nie czytał. Oni mogą po prostu nie mieć takiego pomysłu. Dlatego rodzice potrzebują informacji: kiedy dziecko się rodzi, jego mózg jest neuroplastyczny. Żeby mógł się rozwijać, żeby wydobyć z niego cały potencjał, potrzebna jest obecność, rozmowa pełna bogactwa językowego i czas. Na początku trzeba się z dzieckiem książkami bawić: pokazywać obrazki, dawać książkę do ręki, pozwalać, żeby dziecko samo doświadczało kontaktu z książką. Warto szybko wciągać je w interakcję. A potem przychodzi czas na opowieści. To jest informacja, której część rodziców po prostu nie ma. Drugi element to sprawdzone na świecie programy, które zachęcają rodziców, by zaczęli bawić się książką w domu. Anglicy mówią: sharing books, czyli dzielenie się książką. Na wczesnym etapie rozwoju dziecka często unikają nawet słowa reading – czytanie, bo nie chodzi o to, żeby posadzić niemowlaka i czytać mu długi tekst. Chodzi o interakcję, wspólne skupienie. Jeden z profesorów pediatrii używa określenia: niespieszny czas. To dobrze oddaje sens tej praktyki. Chodzi o bycie bez pośpiechu, koncentrację, budowanie w dziecku poczucia: rodzic poświęcił mi czas, jestem ważny. Drugim bardzo ważnym elementem są programy, w których rodzic przychodzący do pediatry usłyszy o korzyściach płynących z rozmowy i czytania z dzieckiem, i po prostu dostanie książkę w przychodni. Tym właśnie jest książka na receptę. Wysyłamy bezpłatnie książki do przychodni. Tam, gdzie lekarze potwierdzą, że są gotowi je rozdawać, mogą połączyć przekazanie książki z krótkim komentarzem. Chcemy zaprosić do czytania przede wszystkim tych ludzi, którzy sami takiego doświadczenia nie mieli. Tych, którym z takiego czy innego powodu rodzice nie czytali. Prawdopodobnie część z nich należy dziś do grupy około 30 procent polskiej populacji, która nie ma w domu żadnej książki. Jeśli więc ma się wydarzyć sytuacja, o którą zabiegamy, książka musi znaleźć się w ręku rodzica. Międzynarodowe organizacje, takie jak brytyjski BookTrust, szkocki Scottish Book Trust czy włoskie Nati per Leggere, od dawna pokazują w swoich ewaluacjach, że samo mówienie: „Czytajcie dzieciom", bez doprowadzenia do tego, żeby książka była w zasięgu ręki rodzica, daje dużo słabsze efekty. Bo inaczej pojawia się kolejna bariera. Powiedzieliśmy rodzicom, że to ważne, ale mama czy tata wraca do domu zabiegany, trochę zapomina, trochę nie ma czasu iść do księgarni, trochę nie wie, co właściwie miałby kupić takiemu małemu dziecku. I po prostu nic się nie wydarza. Jeśli damy rodzicowi książkę, sytuacja się zmienia. On nadal wraca do domu zmęczony, zabiegany. Ale książka wyjęta z torby staje się przypomnieniem tego, co powiedział lekarz. I wtedy dajemy sobie nieporównanie większą szansę na to, że rodzic naprawdę zacznie się tą książką z dzieckiem bawić.

CV

FOT. MAT. PRAS.

Maria Deskur
Wydawczyni, ekspertka w dziedzinie upowszechniania czytelnictwa oraz prezeska Fundacji Powszechnego Czytania. Współzałożycielka wydawnictwa Muchomor, inicjatorka serii „Czytam sobie" oraz cyklu o Basi. Absolwentka Uniwersytetu Jagiellońskiego, Sorbony oraz Université Lumière w Lyonie.

eprasa.pl 7277978f22

Express Bydgoski
Piątek, 8.05.2026

BYŁ KILKANAŚCIE RAZY W CZARNOBYLU. OBALA MITY

Tomasza Górskiego ciągnęła do Czarnobyla chęć zweryfikowania obiegowych przekonań. - Miałem wrócić ze strefy śmierci schorowany i święcący w ciemności. Mitotwórczość tego miejsca jest nieprawdopodobnie gigantyczna!

Agnieszka Domka-Rybka

Minęło 40 lat od momentu, gdy 26 kwietnia 1986 r. niebo w okolicy Prypeci, w obecnej Ukrainie, rozświetliła łuna. Radioaktywny materiał wydobywał się z uszkodzonego reaktora czwartego bloku elektrowni atomowej w Czarnobylu. Tak było naprawdę. - Jednak z czasem mity na temat katastrofy zaczęły mieszać się z faktami. Z biegiem lat coraz trudniej ocenić, co jest fikcją, a co rzeczywiście tam się stało. Mitotwórczość tego miejsca jest nieprawdopodobnie gigantyczna - podkreśla Tomasz Górski, bydgoski „poszukiwacz tajemnic", z wykształcenia archeolog i psycholog, z zamiłowania podróżnik.

Bydgoszczanina szczególnie pasjonują wyprawy do miejsc, które kryją sekrety, kręci go atmosfera opuszczonych miast i podziemi. Do tej pory odwiedził ponad 100 krajów, a w Czarnobylu był kilkanaście razy. Rozmawiał z ludźmi, m.in. byłymi mieszkańcami Prypeci, pracownikami elektrowni i słuchał specjalistów od energii jądrowej.

„Nie było żadnego grzyba atomowego"

To nie jest przypadek, że spotykamy się na terenie po byłym, bydgoskim Zachemie. Dokładnie przy rampie, która służyła do załadunku i wyładunku towarów. Na dole wciąż są nieużywane tory kolejowe (złomiarze jeszcze ich nie rozkradli), którymi kiedyś przyjeżdżały cysterny z chemikaliami.

- Mnie to miejsce kojarzy się ze strefą czarnobylską. Tam również linia torów kolejowych, tzw. eksterytorialna, przez teren Białorusi biegnie do samej elektrowni, czyli miejsca, w którym 40 lat temu doszło do katastrofy - wspomina pan Tomasz.

Skąd wzięła się jego fascynacja Czarnobylem? - Obejrzałem w telewizji film „Dzwony Czarnobyla", wyprodukowany w 1996 r. Opowiadał, co działo się 10 lat od wybuchu reaktora. Była w nim pokazana Prypeć (obwód kijowski), czyli legendarne, opuszczone miasto duchów. I pojawiła się ogromna chęć, żeby je zobaczyć. Długo nie dawało mi to spokoju, aż pojawiła się możliwość, żeby tam pierwszy raz w życiu pojechać, w 2008 r. Wówczas nie było to miejsce modne, a raczej wypad tylko dla ekscentryków. Gdy powiedziałem, że wybieram się do Czarnobyla, niektórzy pukali się w głowę: „wrócisz ciężko chory" lub „w ogóle nie wrócisz" albo „będziesz świecił w ciemnościach".

Opowiada, że rzeczywistość okazała się zupełnie inna: - Dziś już wiemy z perspektywy czasu, że do wybuchu wojny w Ukrainie była to prawdziwa perełka turystyczna. Zjeżdżały tam tysiące osób i przewodników. Ci przewodnicy mówili, że po emisji serialu „Czarnobyl" zaczął się taki napływ turystów, że wycieczki trzeba było rezerwować z dużym wyprzedzeniem.

Najbardziej pamięta swoje pierwsze wyjazdy, gdy strefa była nieznana i to, jak zderzył się z mitem: - Wystarczy wpisać Czarnobyl w Google i mamy obraz katastrofy: tysiące ofiar, olbrzymi obszar skażenia na tysiące lat, nic tam nie żyje, nic się nie dzieje, strefa śmierci. Youtuberzy nagrywali filmiki: „Byliśmy w Czarnobylu, nawet ptaki nie śpiewają". Bzdury! Słyszałem ptaki, wiele ptaków. Dziś to ogromny rezerwat przyrody, raj dla zwierząt, który powstał na bazie czegoś ekstremalnie tragicznego. Można było normalnie wejść - relacjonuje i od razu tłumaczy się, że nie odwiedził strefy od wybuchu wojny w Ukrainie: - Na pewno teren jest zaminowany, stacjonowały tam wojska rosyjskie. Po wojnie trudniej tam będzie pojechać, bo przecież w Ukrainie są ważniejsze miejsca do rozminowania niż Czarnobyl.

Gwoli wyjaśnienia: wraz z upadkiem ZSRR zamknięta strefa wokół Czarnobylskiej Elektrowni Atomowej uległa podziałowi na dwie części: Ukraińską i Białoruską. Obie znacznie się od siebie różnią i są zarządzane niezależne od siebie. Strefa ukraińska jest bardziej znana i łatwiej

FOT. AGNIESZKA DOMKA-RYBKA

Rampa po bydgoskim Zachemie. „Tory jak w Czarnobylu"

FOT. ARCHIWUM/TOMASZ GÓRSKI

Pan Tomasz w sterowni bloku czwartego czarnobylskiej elektrowni. Dokładnie w nim doszło do katastrofy w 1986 r.

dostępna. To tam znajduje się elektrownia, miasteczko Czarnobyl oraz słynne „opuszczone miasto" Prypeć. Strefa białoruska przez wiele lat była niedostępna dla osób z zewnątrz. Jest tam mnóstwo opuszczonych wsi, utworzono też „Państwowy Rezerwat Ekologiczny Polesie".

Według bydgoskiego „poszukiwacza tajemnic", katastrofa jest już mitem samym w sobie: - W filmach popularnonaukowych widzimy, że nagle doszło do potężnego wybuchu. Kojarzę scenę, jak rodzina je kolację i w ułamku sekundy domem mocno trzęsie, a gdzieś za oknem widać na horyzoncie grzyba atomowego. Nic takiego się nie wydarzyło! Katastrofa była bowiem rozciągnięta w czasie. Zacznijmy od tego, że to nawet nie miała być elektrownia. Produkowano w niej pluton na potrzeby wojska do broni nuklearnej. I stworzono miejsce, które miało udawać elektrownię. Nietypowa konstrukcja z mnóstwem dziwactw technicznych. Reaktory o wiele większe niż standardowe, więc trudno je było zamknąć w obudowach bezpieczeństwa. Plątanina tysięcy rur i spawów, nad którymi trudno zapanować, więc w końcu musiało dojść do rozszczelnienia, właściwie na życzenie ludzi - tak postrzega to Tomasz Górski. Jak twierdzi, ktoś wymyślił, żeby przeprowadzić eksperyment, jak zachowa się reaktor w przypadku zaniku zasilania: - Wyznaczono już nawet datę próby i przeszkoloną do tego załogę. Wtedy z Kijowa przyszła informacja, że trzeba wstrzymać test w związku z bardzo dużym zapotrzebowaniem na prąd. Zaczęto więc ten dzień przesuwać w czasie. W tzw. międzyczasie zmieniały się ekipy pracowników i przychodzili koleni, mniej zorientowani w temacie. W końcu przeprowadzono eksperyment w nocy i uruchomił on lawinę zdarzeń. Jednak nie doszło, jak jest to przedstawiane, do wielkiego wybuchu nuklearnego z grzybem atomowym. Ciśnienie rozsadziło metalową konstrukcję, która zawierała materiał radioaktywny. Zaczął się wydostawać na zewnątrz. Pierwsza eksplozja była mała, kolejna to wybuch chemiczny wodoru i wtedy też zginęła pierwsza osoba, Walerij Chodemczuk. Był w tym momencie w pobliżu płyty reaktora, jego ciała nigdy nie znaleziono. Blisko bloku czwartego do dziś wisi tablica upamiętniająca pierwszą ofiarę Czarnobyla - pan Tomasz mówi, że widział tę tablicę.

Dodaje, że w przypadku ogólnej liczby ofiar, także mamy do czynienia z bardzo dużym rozrzutem: - Internet „informuje" nawet o tysiącach ofiar, natomiast w samej katastrofie, pożarze reaktora, zginęło 35 osób. Choć i to może być zawyżony wynik, bo wśród tych 35 ofiar były cztery, które znalazły się tam zupełnie przypadkowo. Według pana Tomasza, mitem są również opowieści, jak przebiegała ewakuacja, to, że ludzi zabrano i nie mogli tam wrócić. Miałem okazję rozmawiać z mieszkańcami Prypeci. Wspominali, że najpierw pojechali do specjalnych obozów, potem przenoszono ich do różnych hoteli robotniczych i był też czas, że pozwolono im wrócić, aby zabrać swoje rzeczy, odzież czy nawet meble. Często przydzielano rodzinom mniejsze lokale i część przedmiotów już nie była im potrzebna.

Dziś wyobraźnię rozbudza samotne przejście ulicami pustej Prypeci: - Mnie przypomina osiedle Błonie w Bydgoszczy sprzed 30 lat. Błonie bez ludzi. W Prypeci są tylko pracownicy strefy czarnobylskiej. Pilnują, żeby nie była rozkradana. Jednak lokalni złomiarze też działają.

Oczywiście, są miejsca bardziej skażone, gdzie chmura osiadała, jak m.in. w okolicy Czerwonego Lasu. Ale np. przy ścianie sarkofagu elektrowni (stalowa powłoka ochronna reaktora jądrowego, zbudowana po katastrofie) jest teraz promieniowanie radioaktywne mniej więcej na poziomie jak w Indiach (Rejon Kerala), gdzie ludzie normalnie żyją.

Tomasz Górski był w kilku lokalizacjach „grozy", np. w sławnym czwartym bloku elektrowni, na płycie reaktora, gdzie doszło do wybuchu (łącznie znajdują się tam właśnie cztery bloki): - On robi największe wrażenie. Ta pustka, surowość miejsca, lecąca woda radioaktywna. Gdy pojechałem do Czarnobyla pierwszy raz, dużym wyczynem było w ogóle wejście do samej elektrowni, dwóch pierwszych bloków, z czasem strefa coraz bardziej się otwierała. W czwartym bloku byłem z kolegą. Oprowadzał nas pan, który miał klucze do wszystkich miejsc. Zapytał: „Panowie, to co chcecie zobaczyć?". I tak zobaczyliśmy wszystko, co tylko się dało.

Kombinezony strażaków. One wciąż promieniują

Przypadkiem zobaczył słynne zdjęcie ciężko chorego dziecka - „Igora z Czarnobyla": - Mały chłopiec miał być zdeformowany, bo jego mama będąc w ciąży została napromieniowana. Nieszczęście Igora nie miało jednak związku z katastrofą. W jego życiu płodowym pępowina owinęła się wokół nóżek i to miało dramatyczne skutki. Historie opowiadane także o innych niepełnosprawnych dzieciach też można między bajki włożyć.

Pan Tomasz nie kryje, że od początku ciągnęła go do Czarnobyla właśnie potrzeba weryfikacji mitów. Wciąż powstają nowe. Kit dosłownie sprzed tygodnia, gdy była 40-rocznica katastrofy: - Wydawać by się mogło, że oglądam poważny program w telewizji. Była rozmowa ze strażakiem, który uczestniczył w akcji gaszenia pożaru w 1986 roku. Opowiadał niestworzone rzeczy. Mówił, że przyjechali gasić ogień i wykonali niesamowitą pracę, bowiem, gdyby nie ich działalność, to doszłoby do wielkiego wybuchu. Powstałby krater o średnicy 200 kilometrów, a strefa skażenia miałaby średnicę 800 kilometrów. Tymczasem nie było wybuchów jądrowych, które dokonałyby takich zniszczeń. Tak to wygląda, że z czasem fikcja miesza się z rzeczywistością, że coraz trudniej ocenić, co było naprawdę.

* * *

Czy pan Tomasz znalazł się kiedyś w sytuacji zagrożenia? - Tak, w podziemiach szpitala w Prypeci. Trafili do niego strażacy, którzy uczestniczyli w początkowej akcji opanowywania pożaru. Oni najbardziej ucierpieli, zmarli po kilku dniach na chorobę popromienną. Strasznie cierpieli. Ich kombinezony trafiły do ponurych piwnic szpitala. Będąc tam, przypomnę, że wiele lat po katastrofie, musiałem je niechcący musnąć butem. Leżało tam mnóstwo różnych przedmiotów, szmaty, widziałem hełm czy butle po tlenie medycznym. Wraz z przesuwaniem się po korytarzach nasz licznik Geigera (promieniowania jonizującego - red.,) zaczął intensywnie narastać, aż przełączył się na tryb alarmowy. Wychodząc ze strefy przechodzi się kontrolę promieniotwórczą. Przy mnie zapaliła się kilka razy czerwona lampka, znaczy „Groźno" (zielona to „czysto" i świadczy o braku napromieniowania). Przeszedłem dezynfekcję i dopiero wtedy opuściłem strefę. Szok, że tyle lat minęło, a te kombinezony wciąż promieniują. Szok. ©℗

eprasa.pl 7277978f22

TU RODZĄ SIĘ PRZYSZLI ŁUKASIEWICZE

Jakie odgłosy wydaje żubr? – pyta opiekunka grupę wycieczkową kilkulatków. Cisza... Wreszcie z ust jednego z dzieciaków dobywa się: PSSSSSSS. Po czym zupełnie poważnie i z dumą chłopiec wyjaśnia, że tak się dzieje, kiedy tatuś otwiera butelkę z piwem

Andrzej Pleś

FOT. KRZYSZTOF KAPICA

Hitem PCN „Łukasiewicz" jest symulator lotów, samolotowy kokpit, wolant, zegary, kontrolki i wszelkie takie urządzenia

FOT. KRZYSZTOF KAPICA

Zgiełk dzieciarni na obu piętrach kompleksu taki, jak podczas długiej przerwy w podstawówce

Podkarpackie Centrum Nauki „Łukasiewicz" działa w podrzeszowskiej Jasionce zaledwie trzy lata, a już obrosło podobnymi anegdotami. Bo też reakcje zwiedzających, dużych i małych, bywają zaskakujące. Reakcje na osiągnięcia nauki, z którymi na co dzień mają do czynienia, ale dotychczas nie wiedzieli, na jakiej zasadzie działają, na zjawiska fizyczne, z którymi nieraz się stykali, ale bez świadomości mechanizmów ich powstawania, na rzeczy oczywiste (dlaczego spływająca w umywalce woda wiruje w prawo, a nie w lewo). Zadziwień tu nie brakuje, toteż zgiełk na obu piętrach PCN dzieciarni taki, jak podczas długiej przerwy w podstawówce.

Ofiarą tej fascynacji padł właśnie żubr, który stoi w towarzystwie m.in. niedźwiedzia naturalnej wielkości i niewiele mniejszego krokodyla. Żubr miał kiedyś piękne rzęsy, dziś błyska wielkimi, smutnymi oczyma, bo rzęsy dzieciaki powyrywały sobie na pamiątkę.

Jednak to nie dział przyrodniczy jest hitem PCN. Najbardziej oblegany jest wielki, prostokąty stół, na którego blacie widnieje obrazkowa instrukcja obsługi budowy samolotu z kartki papieru. I kartki, z których można te samoloty budować, więc dzieciaki z zapamiętaniem budują i ruszają na pierwsze obloty swoich aeroplanów do tunelu aerodynamicznego. Dla współpracujących z dziećmi instruktorów PCN wciąż zadziwiające jest, że obecnie młodsza i starsza młodzież kiepsko radzi sobie z pracami manualnymi.

- Coś, co przed 30 - 40 laty potrafił każdy dzieciak w szkole, bez względu na płeć, dziś jest dla kilku-, kilkunastolatków doświadczeniem odkrywczym i absolutnie fascynującym - mówi jeden z instruktorów o czasach, kiedy takie samolociki fruwały stadami po klasach szkolnych.

Nie tylko dla nich, co potwierdza Maria Różycka-Dąbrowska, kierownik Zespołu Rozwoju i Współpracy PCN.

- Gościliśmy jakiś czas temu delegację samorządowców z Niemiec, a niektórzy byli w słusznym wieku - opowiada. - Nie sposób było ich od tej zabawy oderwać. Trzeba było dyskretnie przypominać, że delegacja ma swój program i harmonogram, że gospodarze na nich czekają, że są inne zaplanowane miejsca wizyt.

Odlatujemy z „Łukasiewiczem"

Kilkunastoosobowa grupka przedszkolaków czeka karnie w kolejce do „bramki" lotniskowej. I detektora prześwietlającego bagaż. Kładą plecaczki na taśmę, detektor nie wariuje, bo niczego nagannego w nich nie dostrzega, ale pokazuje, jakie swoje skarby w środku dzieciak ukrywa. Spokój, dopóki nie podsunąć mu specjalnie przygotowanej walizeczki. Nagle ożywa, pobłyskuje alarmująco, dzieciaki przetrząsają walizkowe „kukułcze jajo", a kiedy jeden z nich wyciąga imitację pistoletu, z kilkuletnich gardeł dobywa się zbiorowe „łaaaaał!". Pewnego razu jedna z opiekunek takiej dziatwy odzyskała kolczyk, lata temu zgubiony. Wystarczyło, że przepuściła swoją torebkę przez skaner w „Łukasiewiczu".

Hitem jest symulator lotów, samolotowy kokpit, wolant, zegary, kontrolki i wszelkie inne takie urządzenia, jak w prawdziwym załogowcu, od Cesny, przez wielkie liniowce, po myśliwce wielozadaniowe. Ogromny ekran, na którym pilot widzi przed sobą i pod sobą świat, który napowietrznie przemierza, ruchoma podłoga kokpitu przechyla się w tył i przód. I na boki, kiedy prowadzony przez pilota statek powietrzny wznosi się, opada lub skręca. Ponoć ta zabawa do złudzenia przypomina wrażenia z rzeczywistego lotu, nienawykłym do akrobacji lotniczych błędnik szaleje. A w słuchawkach, podczas kołowania i startu, komendy z wieży kontroli lotów.

- Regularnie bywają tu czynni piloci, którzy chcą „na sucho" sobie poćwiczyć, regularnie pojawia się dwóch chłopców, którzy uparli się, że chcą zostać pilotami, więc już przygotowują się na symulatorze do kariery - opowiada Katarzyna Janda-Boczar, specjalista ds. marketingu PCN.

Na ekranie można wyświetlić sobie teren realny, polatać nad swoim domem, ulicą, tylko niektórzy uczniowie uparcie kończą lot uderzeniem w budynek swojej ukochanej szkoły. Przypadek?

Robale i pachnący kosmos

Fizyki tu mnóstwo, ale nie takiej szkolnej, z pozycji ławki i tablicy. Jest trochę optyki, więc młodzi ludzie (na ogół kilkunastolatkowie) zgłębiają tajemnice działania lustra weneckiego na zasadzie: widzę - nie widzę - (nie)jestem widziany i dlaczego tak się dzieje. W „sali kolorów" można przekonać się, że obraz oświetlany różnymi barwami może być różnymi obrazami.

Dwa wielkie, ustawione w odległości kilku metrów naprzeciwko siebie talerze też robią wrażenie. Wrażenie, że akustyka może być fascynująca. Siedzący twarzami do nich ludzie słyszą się, szepcząc do siebie zaledwie. I słyszą się wzajemnie doskonale w zgiełku dzieciarni, nie będąc słyszanymi przez innych.

Jest hydrostatyka, a w specjalnym urządzeniu można wywołać wir wodny, postrzelać z „hydrokarabinka". A zjawisk przyrodniczych też jest tu mnóstwo, tych żywych i tych nieożywionych. Blat z wizerunkiem eugleny zielonej ściąga tłumki dzieciarni, choć euglena w wydaniu szkolnych nie jest tak interesująca. A tu jest, tu można ją nawet polubić: „gdybym tu był przed klasówką..." - zwierzył się bardzo młody człowiek, zapatrzywszy się w euglenę.

- Tych najmłodszych najbardziej interesuje „pierwsze piętro", czyli przyroda i technologie kosmiczne - zapewnia pani Katarzyna. - Nastolatków interesuje dział związany z ciałem człowieka i - o dziwo - akustyka. Czasem do specjalnej kapsuły ustawia się kolejka, bo można się w niej „wydzierać" do woli i w dodatku bezkarnie.

A są jeszcze spec-pracownie. W biologicznej może być emocjonująco, kiedy otrzyma się do spreparowania karalucha madagaskarskiego, największego z karaczanów na Ziemi. Początkowy wstręt do cięcia owada przeradza się w szał krojenia i sprawdzania. Zabawa tylko dla dużych dzieci.

W pracowni chemicznej bywają dorośli, często wycieczki seniorów, jeszcze częściej pary.

- Nawet na randki tu się umawiają - zapewnia pani opiekująca się pracownią. - Pewnego razu pojawiła się grupa panów, by tu samodzielnie wykonać „fanty" dla swoich pań. Bo można tu samodzielnie skomponować perfumy, samodzielnie wykonać mydło z własną kompozycją zapachową. A zdarzyło się, że mężczyzna kupił bilet również dla swojej żony, nie przyznając się, dokąd zabiera ją na randkę z okazji 50. urodzin. Weszła do pracowni pełnej kwiatów i perfum. Była w szoku.

Dodaje, że nauka bywa tu międzypokoleniowa, jak wtedy, gdy w pracowni lab - tech dziadek z wnuczkiem budowali roboty (każdy swój), po czym urządzili między nimi zawody sprawnościowe.

- Często bywa, że przychodzą do nas ojcowie z dziećmi i jeśli po kilku godzinach dzieci już są nieco zmęczone zabawą w naukę i ciągną ojców do wyjścia, to ci opierają się, łapiąc dla siebie choćby jeszcze kilka chwil - opowiada pani Maria. - A bezcenne jest, że na kilka godzin jedni i drudzy odrywają się od smarfonów, wręcz o nich zapominają.

To więcej niż szkoła

Tu rodzą się przyszli Łukasiewicze - wynalazcy, konstruktorzy, odkrywcy. Tu już w kilkulatkach buduje się zainteresowanie: jak to działa i dlaczego, tu skłania się do szukania odpowiedzi i rozwiązań, a wszystko przez zabawę. Zresztą pytania „a dlaczego", „a jak", „a po co" padają tu nieustannie i od nich zaczyna się postęp naukowy.

Rzeszowskiemu „Łukasiewiczowi" daleko popularnością do warszawskiego „Kopernika", ale coraz częściej bywają w Jasionce mieszkańcy Małopolski, świętokrzyskiego i lubelskiego. Raz, że mają tu bliżej, dwa, że PCN ma coś, czego nie ma żaden inny taki ośrodek w kraju: sekcję kosmiczno-lotniczą.

eprasa.pl 7277978f22

Express Bydgoski
Piątek, 8.05.2026

KULTOWE SMAKI TORUNIA. RECEPTURY NIEZMIENNE OD DEKAD

Jak smakuje Toruń? Nie tylko piernikiem, jak wyobrażają sobie nierzadko turyści. Na gastronomicznej mapie miasta jest kilka lokali, które Torunianie nazywają kultowymi. Działają od 30, 40, a nawet 75 lat nieprzerwanie. Tradycyjnych receptur nie zmieniają, a często wręcz reklamują się „smakami PRL-u”

Małgorzata Oberlan

W Toruniu padł kolejny rekord. W minionym sezonie miasto odwiedziło aż 2,7 mln turystów - o 8,6 proc. więcej niż rok wcześniej. Toruń ma apetyt na więcej i liczy, że bieżący sezon będzie jeszcze lepszy.

A na co apetyt mają turyści? Coraz częściej chcą poprzez kulinarne wybory lepiej poznać historię miasta i jego prawdziwy klimat. I, owszem - jest wiele topowych restauracji godnych polecenia, z kuchnią najwyższej próby. Jeśli jednak ktoś chce naprawdę poczuć na języku kultowe smaki Torunia, niech ruszy z nami na wędrówkę pod siedem adresów.

To często małe i niepozorne lokale, ale działające nieprzerwanie od dekad i tworzące charakter miasta. Dla Torunian - wręcz kultowe.

Zapiekanki u pani Eli na Wielkich Garbarach. Te same od 44 lat

Mała gastronomia „Zapiekanki” przy ul. Wielkie Garbary na starówce to... wielka sprawa. Malutki lokal ze skromnym wystrojem od 44 lat serwuje zapiekanki i hot-dogi. Obecnie prowadzi go Elżbieta Kus, a wcześniej jej mąż. Przed nim natomiast cały interes rozkręcała teściowa pani Eli.

- Jaka ze mnie „pani”! Mów mi na „ty” - poprawia mnie wciąż pani Elżbieta, którą odwiedzam w majowy weekend. Jest zmęczona, bo ruch kolejny dzień niesamowity, ale poczucia humoru nie traci - jak zawsze. To także od lat doceniają tutaj klienci. Trudno stąd szybko wyjść, bo zawsze można pożartować, pogadać o życiu i o Polsce.

Zapiekanki i hot-dogi od ponad czterech dekad przygotowuje się tutaj według tych samych, sprawdzonych receptur. Prosto, tradycyjnie - z samodzielnie robionym farszem, bez wydziwiania, na dobrych bułach, a nie jakichś dmuchanych francuskich półbagietkach. Ceny? Przystępne - od 20 do dwudziestu kilku złotych za specjał, który nie tylko przenosi w czasie do PRL-u, ale i syci. Popić zapiekankę można - a jakże! - oranżadą ze szklanej butelki lub wodą „Krystynką”. Przysiąść w lokalu lub przy jednym stoliczku na zewnątrz. Albo - starym sposobem, konsumować na stojąco lub spacerując. „Zapraszamy na smaki PRL-u” - takim hasłem ten lokal kusi na ulicznej tablicy. Z tego, co kiedyś było „obciachem” zrobił swój atut.

O przywiązaniu Torunian do tego lokalu najlepiej chyba świadczy sytuacja z okresu pandemii. Lokal wówczas okresowo bywał zamknięty. Pogłoski o tym, że „Zapiekanki” znikną z mapy Torunia wywołały wręcz coś na kształt ogólnej histerii. Potem lokal znalazł się w kryzysie także po drastycznych podwyżkach cen prądu i innych mediów. Wszystkie kryzysy jednak zażegnano i biznes się kręci.

Bar „Pod Arkadami” działa od 75 lat. A przy nim - kultowe okienko

Ten bar działa nieprzerwanie od 1950 r. Przez lata lokal „Pod Arkadami” upodobali sobie nie tylko mieszkańcy, ale i turyści, bo jest świetnie położony: w samym centrum, na rogu ulic, blisko ratusza i pomnika Kopernika (to ważne punkty orientacyjne dla tych, którzy są w mieście pierwszy raz). Nigdy nie było tu drogo i tak pozostało. Zawsze było „jak u mamy” i to również się nie zmieniło. Jeśli ktoś ma ochotę na żelazny zestaw typu „pomidorowa, schabowy z surówką i ziemniakami plus kompot” od lat się nie zawiedzie.

Od dekad działa tutaj też słynne „okienko pod Arkadami”, należące do baru. Serwowane tu zapiekanki, gofry czy lody dla wielu nie mają sobie równych. - To są klasyczne wersje, a smak ten sam od tylu lat - chwalą klienci sentymentalni. Dla wielu to, że frykasy mają sznyt PRL-owski to podstawowa zaleta.

Z okienkiem związana jest też od blisko 30 lat pani Anna - zawsze uśmiechnięta blondynka, dla której czas się zatrzymał. Zresztą, i w okienku, i w samym barze ekipa jest bardzo sympatyczna - to także cenią klienci.

Ponad trzy dekady baru „Panda”. Sławny schaboszczak

Torunianie „Pandę” przy ul. Mickiewicza znają doskonale. Ten skromny z wyglądu bar działa na Bydgoskim Przedmieściu już od 33 lat. I niezmiennie, od dekad, karmi po domowemu. Doceniają to nie tylko studenci, ale i setki innych osób. Prowadzi go lubiana przez klientów Hanna Fialkowska wraz z mężem.

Latem 2023 r. o „Pandzie” dowiedziała się cała Polska. To za sprawą popularnego vlogera, który odwiedził bar, zamówił schabowego, a potem rozpływał się w komplementach. Ogłosił wszem i wobec (a tzw. zasięgi MrKryha ma potężne), że „Panda” w Toruniu serwuje nie tylko wyśmienitego, ale i najtańszego schabowego w kraju. - I to wszystko jest wciąż aktualne - zapewnia dziś Hanna Fiałkowska.

Naprawdę solidnych rozmiarów schaboszczak („grubo ponad 100 gram”) wraz z ziemniakami (lub frytkami do wyboru) oraz surówką kosztuje tutaj zaledwie 21 zł i 70 gr. Amatorów tego zestawu nie brakuje. - Robimy zatem na bieżąco, zawsze jest świeży - podkreśla pani Hanna.

Oprócz tego bar serwuje też inne tradycyjne zupy i drugie dania obiadowe, np. wątróbkę czy kiełbasę w zestawach. Wystrój jest tu „jak z PRL-u”, zastawa, smaki i wonie - także. I jak to się teraz gościom podoba!

„Jest klimat PRL. Duże porcje, pyszne zupy, świetna wątróbka. Do pełni szczęścia brakuje mi tylko starej oranżady, w butelkach - ale to, jak kto lubi. Dla mnie wspaniałe miejsce. Smaki dzieciństwa” - komentuje w sieci pan Zbigniew.

„Ten bar to miejsce magiczne, nostalgiczne i to jego wielka zaleta. Takich barów w Polsce jest już jak na lekarstwo. Jeśli ktoś chce zobaczyć, jak się jadło w latach 80. i 90., to polecam gorąco. Klimat nie do podrobienia. Jedzenie pyszne, frytki jak u mamy w domu, schabowy jak kiedyś. Ceny bardziej niż przystępne. Wrócę tu bezapelacyjnie, niech będzie jak najdłużej na polskiej mapie barów” - życzy sobie i innym pan Maciej, internetowy recenzent.

Pizzeria „Piccolo” - polska pizza i barszczyk takie same od 36 lat

Czy może mieć wielki sukces pizzeria, która w karcie ma tylko jeden jej rodzaj? Tak, to możliwe! Mowa o „Pizzerii Piccolo” przy ul. Prostej na starówce. To kolejny z tych punktów na gastronomicznej mapie Torunia, gdzie drzwi się nie zamykają. Pizza i barszczyk są takie same od 1992 r., czyli od 36 lat.

W menu jest tak zwana „polska pizza” - na puszystym cieście, z dużą ilością pieczarek i serem. Do niej klient wybrać może keczup, sos majonezowy lub czosnkowy. Obowiązkowo goście też zamawiają barszczyk - tym zestawem lokal robi furorę od ponad trzech dekad.

- Zawsze tutaj wracamy, będąc w Toruniu. Każdemu polecamy. Nie dość, że pysznie, to jeszcze niedrogo. Obsługa bardzo sympatyczna - zachwalają klienci.

Wiele entuzjastycznych recenzji usłyszeć można „na żywo”, od tłumnie w sezonie odwiedzających pizzerię gości, ale i przeczytać w internecie. Klienci chwalą smak, który jest pewniakiem o lat. Wielu przywodzi na myśl lata młodości czy nawet dzieciństwa.

Tylko największym maruderom przeszkadza, że czasem

FOT. GRZEGORZ OLKOWSKI

Bar „Pod Arkadami” - mały lokal z domowymi obiadami działa na starówce od 75 lat. Przy nim - okienko z goframi, lodami, zapiekankami. Związana z nim jest od ok. 30 lat pani Anna

FOT. GRZEGORZ OLKOWSKI

Bar „Panda” - tutaj też nikt PRL-owskiego sznytu się nie wstydzi. Lokal działa od 33 lat. Hanna Fiałkowska wraz z mężem serwują m.in. „najtańszego schabowego w Polsce”

eprasa.pl 7277978f22

na stoliku znajdą ślady sosu czy serwetki. Większość gości dobrze wie, że przez ten niewielki lokal przewijają się codziennie dziesiątki klientów, więc obsługa bardzo się stara. A ceny przystępne.

„Gospoda Pod Modrym Fartuchem" - wątróbka, golonka i schabowy kuszą od lat

„W rogu Rynku Nowomiejskiego przy ul. Ślusarskiej stoi barokowa kamienica mieszcząca najstarszą do dziś czynną toruńską gospodę. Według tradycji została ona założona w 1489 r. przez rodzinę Szalitów. Niektórzy mówią jednak, że wybudowano ją 5 lat wcześniej, bo miał być w niej właśnie sam król Kazimierz Jagiellończyk, a on w Toruniu był ostatni raz w 1485 r. Bywał tu wraz z synami, późniejszymi królami polskimi Janem Olbrachtem i Aleksandrem. W roku 1807 gospodę ponoć odwiedził również cesarz Napoleon Bonaparte. Gospoda słynęła z dobrych miodów, węgrzyna i piwa" - czytamy na portalu Toruńskiego Serwisu Turystycznego.

Tyle historii zamierzchłej w największym skrócie. Historia najnowsza „Gospody Pod Modrym Fartuchem" natomiast to czasy PRL-u, kiedy ludzie przychodzili tutaj m.in. na kultową już wątróbkę z cebulką, przemiany w latach wczesnego kapitalizmu oraz podtrzymywanie tradycyjnych receptur w XXI wieku. A także - wielki kryzys i widmo plajty wskutek koronawirusowej pandemii.

Kiedy w 2021 r. najstarsza karczma w Toruniu, a także jedna z najstarszych tego typu w kraju i Europie ogłosiła, że prawdopodobnie musi zamknąć drzwi na zawsze, z pomocą pospieszyły jej setki ludzi. Pandemia zabrała jej klientów i dochody, tarcza antykryzysowa okazała się w jej przypadku dziurawa, a zobowiązania i długi rosły. Ale wierni klienci nie zawiedli.

„Przetrwała wojny i zabory, przetrwała PRL, a ma ją pokonać pandemia?! Nie ma na to zgody" - stwierdzili sympatycy najstarszej gospody w Polsce. Zbiórkę pieniędzy na portalu Zrzutka.pl wsparło blisko 400 darczyńców, wpłacając łącznie ponad 22000 zł. Pieniądze przeznaczono na opłacenie ZUS-u pracowników, czynszu i mediów, zaciągniętych pożyczek. Na wysokości zadania stanęli też wtedy sami restauratorzy, którzy postawili na wyrób domowych przysmaków (chleba, smalca i innych) i sprzedaż ich przez internet.

A dziś? Gospoda kolejny już rok przyciąga rzesze amatorów tradycyjnej, polskiej kuchni i dobrych napitków. Co oczywiste, w sezonie najchętniej chyba odwiedzają ją turyści, ale i „lokalsi" lubią tutaj wracać. Sztandarowe dania to wspominana wątróbka, golonka oraz kotlet schabowy w wersji XXL. Nadal w ofercie są też ulubione zupy z żurkiem na czele. Menu jest jednak zdecydowanie szersze i miłośnicy polskiej tradycji nigdy stąd rozczarowani nie wychodzą.

Lody od Lenkiewicza - nie zna miasta, kto ich nie spróbuje

„Wcale już nie taka wielka gałka", „Nie ten smak, co kiedyś", „Przereklamowane" - tak lubią co roku, na starcie każdego nowego sezonu lodowego ponarzekać Torunianie. Ale, rzecz jasna, nie odmawiają sobie przyjemności sprawdzenia aktualnej oferty, wielkości „gały" oraz jej ceny. A wszystkie kawiarnie i cukiernie działające pod marką „Lenkiewicz" w Toruniu są oblegane.

I prawda jest taka, że kto „lodów od Lenka" nie spróbuje, ten toruńskiego klimatu latem nie poczuje. Dziś „Lenkiewicz" to niezwykle silna marka i kilka lokali w różnych punktach Torunia. Najstarszym jednak jest ten przy Wielkich Garbarach. W roku 1950 nestor rodu - Stanisław Lenkiewicz - kupił tutaj kamienicę pod nr. 14. Najpierw była to piekarnia. W 1960 r. zmienił profil działalności na cukierniczy i wtedy też wprowadził do oferty lody. Tak to się zaczęło...

Dziś biznes prowadzi już kolejne pokolenie. Receptury lodów, sposób ich wytwarzania oraz gama smaków na przestrzeni ponad 60 lat - to oczywiste - zmieniały się. Od wielu lat jednak receptura jest podobna, a jakość niezmiennie najwyższa - tak przynajmniej zapewniają właściciele.

Od zawsze też gałka lodów od Lenkiewicza jest naprawdę duża. Tak było 20 lat temu, tak jest teraz i wszyscy mają nadzieję, że tak pozostanie. Na samej starówce lody można kupić przy wspomnianej ul. Wielkie Garbary 14 i na Rynku Staromiejskim 33/34. Ale marka ma swoje lokale już także w różnych innych rejonach miasta.

Na domowe zupy do „Małgośki". Ten bar czynny jest od ponad 60 lat

Działający od ponad 60 lat bar „Małgośka" przy ul. Szczytnej to młodsza siostra baru „Pod Arkadami", o którym poszemy na wstępie. To zdecydowanie większy lokal, z szerszą ofertą, ale identycznymi zasadami. Oba bary prowadzone są przez „Społem" Gastronomiczno-Turystyczną Spółdzielnię Spożywców w Toruniu". To gwarantuje stabilność zatrudnienia m.in. paniom kucharkom - wiele przepracowało tu całe swoje zawodowe życie.

Od tych najstarszych lokali gastronomicznych w Toruniu, co zrozumiałe, najwięcej się wymaga. Co jakiś czas pojawiają się utyskiwania, że „to już nie ta sama Małgośka co kiedyś, bo podrożało" albo krytyczne głosy na temat sprawności obsługi, zmienionego smaku jakiejś zupy czy wielkości porcji. Nie zmienia to jednak faktu, że szczególnie w sezonie letnim bary są oblegane. Domowy sposób gotowania nie zmienia się.

Co „Małgośka" ma w ofercie w 2026 roku? Cały czas, jak przed laty, zjemy tu tradycyjne zupy, mięsne i jarskie drugie dania obiadowe oraz surówki. Jednorazowo lokal może przyjąć nawet 150 osób, więc często pojawiają się tutaj całe zorganizowane grupy turystów. Ale bynajmniej nie tylko oni! Nie brakuje miejscowych albo ludzi kiedyś w Toruniu mieszkających, którzy z sentymentu co jakiś czas do „Małgośki" przynajmniej na ulubioną zupę lubią zajrzeć.

- No i poczuć ten klimat PRL-u. Bo w barze, mimo remontów i drobnych zmian, to czas się jednak zatrzymał. Te lady, stoliki, wazoniki, serwetki, talerze... Takich miejsc naprawdę nie ma już w kraju wiele. Pojawiają się nowe knajpy, które stylizują się na PRL, ale „Małgośka" nikogo nie udaje, nie naśladuje - podsumowuje pani Dorota z Torunia, lubiąca zajrzeć na Szczytną od... trzydziestu lat.

FOT. FACEBOOK

Golonka, ale też wątróbka i wielki schabowy to sztandarowe dania „Gospody Pod Modrym Fartuchem". To jedna z najstarszych tego typu karczm w Europie

FOT. FACEBOOK

Żurek i inne zupy, placki ziemniaczane, pierogi, tradycyjne drugie dania obiadowe - to nadal w swej ofercie ma społemowski bar „Małgośka". Działa od ponad 60 lat

FOT. MMAŁGORZATA OBERLAN

Zapiekanki przy ul. Wielkie Garbary - zapraszają na „smaki PRL-u" od ponad 40 lat. Lokal prowadzi Elżbieta Kus. Na zdjęciu z zapiekanką pani Agnieszka, która pomagała w sprzedaży przez majowy weekend

FOT. GRZEGORZ OLKOWSKI

Pizzeria „Piccolo". Od 36 lat serwuje ten sam kultowy zestaw - polską pizzę na grubym cieście i barszczyk

FOT. MMAŁGORZATA OBERLAN

Lody od Lenkiewicza od dekad przyciągają tłumy. Tu kawiarnia przy ul. Wielkie Garbary

eprasa.pl 7277978f22

Express Bydgoski
Piątek, 8.05.2026

TWOJA PIERWSZA KO..., TWOJA PIERWSZA KOMÓRKA!

Ten tytuł to nie wymysł, to fragment reklamy sprzed kilkunastu już lat, która wciąż pozostaje aktualna, choć komórkę jako prezent komunijny można zastąpić nowszym gadżetem: pierwszą hulajnogą, albo pierwszym dronem. Daleko zaszliśmy także w przyjęciach komunijnych, które w niczym nie przypominają skromnych domowych obiadów sprzed lat. Choć i wtedy bywały wyjątki

Anna Gronczewska

Dziesięcioletnia Nadia już nie może doczekać się ostatniej niedzieli maja. Tego dnia pójdzie do Pierwszej Komunii Świętej. Już zamówiła u chrzestnej tablet. Chrzestny ma jej kupić rower. Liczy, że babcie, dziadkowie i ciocie dadzą trochę pieniędzy. Może wtedy starczy jej na laptopa lub na konsolę? Sama nie ma wielkich wymagań. Ale niektórzy koledzy z jej klasy chwalą się, że dostaną w prezencie quady czy elektryczne hulajnogi.

Nadia i jej koleżanki nie pójdą do komunii w albach. Każda będzie miała piękną sukienkę.

- Ja mam już sukienkę, mama mi kupiła! - mówi dziewczynka. - Taką z falbankami. Mama ma mi też kupić buty na obcasiku i torebkę.

Kamilę Łuczak, mamę 9-letniej Weroniki, pierwsza komunia córki czeka za rok. Była na komunii kuzynów i przeraziła ją rewia mody, którą zobaczyła w kościele.

– Dziewczynki wyglądały jak małe księżniczki lub panny młode, zamiast wianka powinny mieć welony, a niektóre były ubrane w suknie z fiszbinami - wspomina nie bez oburzenia.

W różowej sukience

Stroje, w jakich dzieci przystępują do pierwszej komunii od lat budzą emocje. W Polsce jeszcze przed wojną dziewczynki chodziły do komunii w białych sukienkach, a chłopcy w ciemnych garniturach. Z czasem pierwszokomunijne ubiory stały się coraz bardziej strojne. Dziewczynki pojawiały się w kościele w wymyślnych kreacjach. Granatowe garnitury chłopców zastąpiły popielate, białe, a nawet zielone. W jednej z podłódzkich parafii rodzice tak chcieli wyróżnić swoją córkę, że ubrali ją do komunii w różową sukienkę.

Monika Gawrońska z Łodzi, mama Oliwii, która była w tamtym roku u komunii, nie chciała się zgodzić, by jej córka założyła albę. Tłumaczy, że zawsze marzyła, by jej córka w tym wyjątkowym dniu wystąpiła w białej sukience z falbanami. I jej marzenie się spełniło...

– Gdy nie ma alb, od razu widać, które dziecko jest biedniejsze, a które bogate – przekonuje z kolei Kamila Łuczak. – Dlatego najlepiej gdy wszystkie dzieci idą do komunii w albach.

Pani Basia, właścicielka jednego ze sklepów oferującego w internecie między innymi sukienki komunijne, mówi, że cieszą się dużym powodzeniem, choć w wielu kościołach idzie się do komunii w albach. Dlaczego?

- Rodzice chcą, by ich córki miały sukienkę na przebranie - wyjaśnia.

Pamięta, że kiedyś przyszła do jej salonu mama z 10-letnią dziewczynką. Miały ze sobą zdjęcie sukni ślubnej wartej 3.600 złotych.

- Pani poprosiła, byśmy uszyły taką sukienkę dla jej córki do komunii – wspomina pani Basia. - Sukienka była bardzo strojna, trzeba było jednak dokonać korekt, na przykład zakryć ramiona. Nie wypada przecież, by dziewczynka szła do komunii w odkrytymi ramionami. No i cena była trochę niższa...

Pani Basia zapytała matkę dziewczynki, dlaczego wybrała taką właśnie sukienkę.

- Moja córka bardzo dobrze się uczy, zna kilka języków - tłumaczyła mamusia dziewczynki. - Zobaczyła na zdjęciu tę suknię ślubną i stwierdziła, że w takiej chce iść do komunii. Nie mogłam jej odmówić. Przecież mam takie dobre i zdolne dziecko!

Parada mody czy przeżycie religijne?

Dziś w wielu kościołach dzieci idą do komunii w albach. Alby, czyli długie, białe tuniki, odpowiednio ozdobione, pojawiły się w kościołach w połowie lat dziewięćdziesiątych. Początkowo wielu rodziców odnosiło do nich nieufnie, ale z czasem się do nich przekonali. Nadal jednak nie wszystkie dzieci przyjmują komunię świętą w albach. Łatwiej przekonać do nich mieszkańców wsi, niż dużych miast.

– Był czas, że rodzice podchodzili bardzo opornie do alb – mówi ksiądz z jednej z łódzkich parafii. – Na szczęście to się zmienia. U nas już niemal wszystkie dzieci idą do komunii w albach. Niestety, nadal są tacy, którzy traktują komunię jako paradę mody, pewien folklor, a nie przeżycie religijne. Jest to dla nich rodzinna impreza, na której można się popisać kto ma ładniejszą sukienkę. Zwłaszcza mamy dziewczynek były oporne. Teraz jednak tylko pojedyncze dzieci podczas komunii nie mają u nas alb.

Katarzyna Marczak, łódzka nauczycielka, posłała córkę do komunii 10 lat emu. Wtedy jeszcze szły do niej dzieci uczące się w drugiej klasie (obecnie w trzeciej). Ola poszła do komunii w albie, choć mama kupiła jej też za 150 złotych sukienkę na przebranie. Inne dziewczynki miały je mieć, więc dlaczego miała bronić swojej jedynaczce?

MOJA RODZINA POCHODZIŁA Z WILEŃSZCZYZNY, WIĘC PRZYJĘCIE KOMUNIJNE, A BYŁY TO LATA 50., BYŁO BARDZO HUCZNE – OPOWIADA JAN TOMASZEWSKI

- U nas ta komunia przebiegła normalnie - wspomina Katarzyna. - To znaczy było przyjęcie w restauracji na 20 osób, czyli najbliższej rodziny. Kosztowało nas około 2 tysięcy złotych. Nie było żadnych karet, limuzyn. A teraz słyszę, że znajomi zastanawiają się czy ich córka ma pojechać do komunii białą karetą czy limuzyną.

Kilka lat temu łódzką prasę obiegło zdjęcie dziewczynki, która pod kościół, w którym odbywała się uroczystość Pierwszej Komunii Świętej, zajechała piękną, białą karetą. Okazało się, że był to komunijny prezent od babci. Wynajem kosztował ją 600 złotych. Kareta pod kościołem w czasie pierwszych komunii wywołała małą sensację, ale nie jest rzadkością. Kilka lat temu taką samą piękną karetą zajechała dziewczynka pierwszokomunijna pod kościół w łódzkiej Rudzie Pabianickiej. W maju sporo pracy mają też firmy wynajmujące takie pojazdy. Jedna z nich znajduje się pod Sieradzem. Jej właściciel tylko śmieje się, gdy słyszy, że w Łodzi ktoś wynajął karetę za 600 złotych.

- Moja kareta jest elegancka, biała, pięknie wystrojona – dodaje. - Za wynajęcie jej na komunię w Łodzi biorę co najmniej 2 tysiące! Chętnych nie brakuje!

A jak kiedyś wyglądały komunie święte?

Komunia w stylu wileńskim

Jan Tomaszewski, były bramkarz ŁKS-u i reprezentacji Polski, do Pierwszej Komunii Świętej przystępował we Wrocławiu. Była to druga połowa lat pięćdziesiątych.

- Nie szedłem do komunii w garniturze, tylko w białej koszuli i granatowych spodniach – opowiada popularny „Tomek". - Tak też wyglądali moi koledzy. Dziewczynki były ubrane w długie sukienki, które wyglądały jak suknie ślubne. Taka była wtedy moda we Wrocławiu. Ja jestem bowiem z tych „Karguli", którzy wysiedli we Wrocławiu, a nie w Jeleniej Górze. To znaczy nie ja, a moi rodzice.

Bramkarz opowiada, że najgorsze było czekanie. Trzeba było wcześniej przyjść do kościoła i czekać na rozpoczęcie mszy świętej.

- Oczywiście wcześniej były próby, przygotowania, ale najgorsze było to wyczekiwanie przed kościołem już w dniu komunii - twierdzi Jan Tomaszewski. - Sama Pierwsza Komunia Święta była niesamowitym przeżyciem, tak jak spowiedź, która miała miejsce w sobotę. Na to się czekało. Dlatego, gdy tak w słońcu staliśmy przed kościołem, to czas bardzo się dłużył. Dobrze to zapamiętałem.

Po komunii wszyscy poszli do domu.

- Moja rodzina pochodziła z Wileńszczyzny, więc przyjęcie komunijne było bardzo huczne, już wtedy – opowiada „Tomek". - Przy jednym stole siedziały dzieci, przy innym dorośli. A dzieci było dużo. Wiadomo, że dzieci szybko zjadły i pobiegły do zabawy. Ja bawiłem się z nimi. Potem przebrałem się w galowy strój i poszedłem z chrzestnymi na nabożeństwo do kościoła. Dopiero wtedy zaczęła się biesiada dorosłych. Nie powiem, że nie było alkoholu. A zabawa trwała do nocy. Było to prawdziwe wileńskie przyjęcie!

Jan Tomaszewski pamięta, że w prezencie komunijnym dostał piłkę, rower i zegarek.

- Ale na te prezenty składała się cała rodzina! - dodaje.

Smutek podartych rajtuz

Elżbieta Nowaczyk do Pierwszej Komunii Świętej przystępowała w 1974 roku. Pamięta, że koleżanka mamy wróciła właśnie z Włoch i przywiozła jej piękne, białe rajtuzy.

- Były to tzw. kabaretki – wspomina Elżbieta. - Nie mogłam się doczekać kiedy je założę. Były takie piękne... Założyłem je w dniu komunii, byłam taka szczęśliwa. Wszystkie koleżanki z podziwem patrzyły na moje kabaretki.

Jednak to szczęście nie trwało długo. Podczas komunijnej mszy Elżbieta uklękła. To samo zrobiła stojąca przed nią koleżanka...

- Uderzyła mnie butem w nogę i w moich kabaretkach zrobiła się ogromna dziura... Gdy szłam, by pierwszy raz przyjąć komunię świętą, nie myślałam o niczym innym jak o tej dziurze w rajtuzach. Miałam wrażenie, że wszyscy ją widzą. Potem mama ją jakoś zacerowała, bym mogła w tych kabaretkach pozować do komunijnego zdjęcia.

Dobrze też pamięta komunijne prezenty. Dostała zegarek „Czajka" i rower „Wigry".

- Najbardziej cieszył mnie rower – mówi Łodzianka. - Dostałam też z dziesięć bombonierek. Schowałam je do szafy, gdzie pięknie je ułożyłam. Były tak piękne, że żal mi było je otworzyć i jeść. Ale w końcu chciałam spróbować jedną czekoladkę. Niestety, pudełko było puste, tak jak kolejne. Okazało się, że wszystkie czekoladki wyjadł mój młodszy brat...

Zagubiony łańcuszek

Jolanta Śniegocka, łódzka lekarka, do komunii poszła na początku lat sześćdziesiątych. Przyznaje, że najbardziej stresowała ją pierwsza spowiedź.

- Wszystkie grzechy spisałam sobie na kartce, bałam się, że któregoś zapomnę! - śmieje się dziś. - Przed samą komunią nie spałam chyba całą noc... Sukienkę uszyła mi ciocia, która była krawcową. A na głowie miałam wianek upleciony z żywych kwiatów. Zrobiły mi go starsze siostry.

Po uroczystości w domu był uroczysty obiad, ale zebrała się na nim tylko najbliższa rodzina. Jolanta nie zapomni, że w prezencie komunijnym od chrzestnej dostała... parasolkę.

eprasa.pl 7277978f22

FOT. ARCHIWUM DŁ

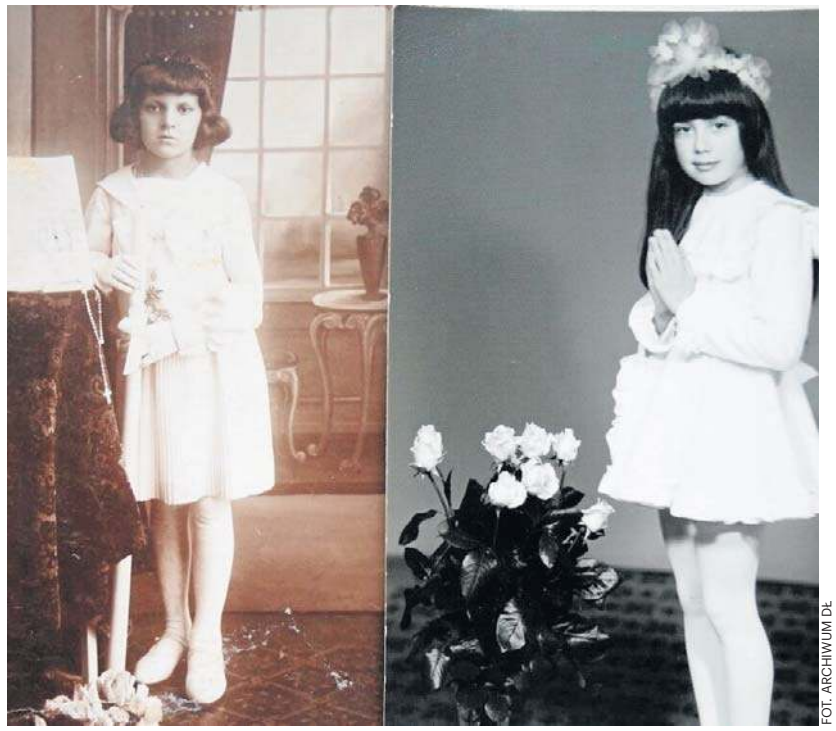

FOT. ARCHIWUM DŁ

FOT. ARCHIWUM DŁ

FOT. ARCHIWUM DŁ

Komunijne stroje przez długie lata były dość skromne. Pogoń za wyszukanymi kreacjami w największym stopniu dotknęła dziewczynki. Prezenty zwykle były na miarę czasów - kiedyś standardem były rower, zegarek i radio tranzystorowe

- Chrzestny dał mi złoty łańcuszek - wspomina. - Nie cieszyłam się jednak nim długo. Po obiedzie pobiegłam z kuzynkami pobawić się na łące. I zgubiłam łańcuszek...

Anna Koczewska, łódzka prawniczka, do pierwszej komunii poszła w 1973 roku. Uroczystość miała miejsce w kościele pw. św. Kazimierza na łódzkim Widzewie. Nie zapomni, że nie spała niemal całą noc, by nie zepsuła się jej przygotowana wieczorem przez mamę fryzura. Mama zadbała też, by miała piękną sukienkę. W „Peweksie" kupiła białą kremplinę za wcześniej mozolnie odkładane dolary. Suknię szyła jej potem znajoma krawcowa, która pracowała w „Telimenie". Jeździły na przymiarki na Stoki, a Ania nie mogła się doczekać, kiedy założy to białe cudo...

- Przyjęcie komunijne odbywało się w domu - wspomina Anna. - Było na nim z 40 osób. Stoły były rozstawione w dwóch pokojach. Mama nie chciała, by na przyjęciu komunijnym był alkohol. Wiadomo jednak, że w Polsce na takich uroczystościach bez alkoholu nie ma zabawy, ani apetytu. Tak też było u mnie. Kiedy po południu poszłam do kościoła z mamą i chrzestnymi po odbiór komunijnych obrazków, tata był gotowy. Schował wcześniej kilka butelek wódki i wyciągnął w czasie nieobecności mamy. Gdy wróciliśmy z kościoła, goście byli już wyraźnie rozluźnieni.

Anna pamięta, że na komunię dostała kolorowe mazaki, książkę o Ani z Zielonego Wzgórza, złoty pierścionek, łańcuszek i pieniądze.

Nie pamiętam, żebym dostał prezent

Nieżyjący już znany łódzki aktor Michał Szewczyk do Pierwszej Komunii Świętej poszedł zaraz po wojnie, w 1946 lub 1947 roku.

- Do pierwszej komunii przystąpiłem zaraz po tym jak otworzyli kościół pw. św. Franciszka w Łodzi - opowiadał nam Michał Szewczyk. - W czasie wojny w kościele znajdował się magazyn czapek wojskowych.

Rodzice przygotowali dla aktora garniturek, z krótkimi spodenkami. Zachowało się jego komunijne zdjęcie. Stoi na nim z rodzicami, siostrą, chrzestną.

- Bardzo cieszyłem się, że do komunii poszedłem w podkolanówkach, a nie pończochach, w których nieraz musieli chodzić chłopcy, bardzo ich nie lubiłem - wspominał Michał Szewczyk.

Aktor nie pamiętał przyjęcia komunijnego, ale znając swoich rodziców, uważał że na pewno było zorganizowane.

- W tej samej kamienicy przy ulicy Staszica mieszkała też moja chrzestna, więc przyjęcie musiało być - mówił nam pan Michał. - Nie pamiętam żebym dostał jakiś prezent. Wtedy nie było takiej mody. Rower dostałem kilka lat po niej. Miał jeszcze drewniane obręcze. Ten rower sam złożył mi tata Władysław. Uchodził za „złotą rączkę". Potrafił wszystko. Złożył nawet radio. Potem cała kamienica schodziła się do nas, by posłuchać radiowych audycji.

Po komunii Michał Szewczyk został ministrantem. Służył do mszy przez kolejne dziesięć lat. Bardzo to lubił.

- Mama zamawiała dla mnie wspaniałe komże - wspominał łódzki aktor. - Wyszywane, potem krochmalone. Uwielbiałem je!

Nie zapominajmy o istocie pierwszej komunii

Ks. dr Andrzej Blewiński, emerytowany proboszcz parafii Matki Bożej Dobrej Rady w Zgierzu, krytycznie patrzy na współczesne Pierwsze Komunie Święte.

- Rok albo dwa lata wcześniej rodzice załatwiają salę, w której ma się odbyć przyjęcie komunijne. Wybierają menu, zastanawiają się nad prezentami, a gubią istotę całej uroczystości - mówi. - A istotą jest sam sakrament Eucharystii. Pierwsza komunia wprowadza niejako do dorosłego życia religijnego. Po to dziecko chodzi cztery lata na katechezę. Lekcje religii odbywają się w przedszkolu, potem pierwszej, drugiej i trzeciej klasie szkoły podstawowej. Trwa więc przygotowanie do Pierwszej Komunii Świętej, katecheci się trudzą, a wielu rodziców spłaszcza całe zagadnienie, myśląc tylko co zewnątrz, a nie o tym co niesie z sobą przyjęcie tego sakramentu. A przecież Pierwsza Komunia Święta, pierwsza spowiedź są dużym przeżyciem dla dziecka. Tylko na tę sprawę zwracają niemal wyłącznie księża, katecheci. Dla większości rodziców ważne jest zupełnie co innego. Nie ma tu tej zgodności i jest to bolesne. Doprowadza to do tego, że uroczystość pierwszokomunijna staje się wydarzeniem o charakterze rekreacyjno-ludycznym. Zdarzało się, że dziecko podjeżdżało do kościoła na swoją pierwszą komunię białą karetą zaprzężoną w sześć koni.

Ks. Andrzej Blewiński przyznaje, że uroczystość Pierwszej Komunii Świętej skomercjalizowała się.

- Pamiętam, że w jednej z parafii rozmawiałem z dziećmi na temat prezentów komunijnych - wspomina. - Prześcigały się w opowieściach, co kto dostał. Były rowery, komputery, konsole. I odezwała się w końcu jedna dziewczynka, która powiedziała: Dla mnie największym prezentem był Pan Jezus w Komunii Świętej! Zaległa niesamowita cisza. Zaskoczyła kolegów i koleżanki. Ale ta dziewczynka dała bardzo dojrzałą odpowiedź. To nie oznacza, że nie powinno się dawać prezentów na Pierwszą Komunię Świętą. To sympatyczny element tej uroczystości, bo zawsze miło jest coś dostać, ale nie należy nastawiać dziecka na to, że ta uroczystość wiąże się tylko z upominkami. Nie można mówić dziecku, że przyjedzie wujek i da komputer, a ciocia - rower. Dziecko wtedy nastawia się tylko na te prezenty. Marzy o nich, rozmyśla. Gubi się wtedy to, co jest w Pierwszej Komunii Świętej najważniejsze. Dochodzi nawet do takich sytuacji, że tuż przed komunią świętą rodzicom przypomina się, że dziecko nie jest ochrzczone. W naszej parafii na przełomie kwietnia i maja będzie kilka takich chrztów. Jeszcze raz powtórzę, że podczas Pierwszej Komunii Świętej najważniejszy jest wymiar religijny, nie komercyjny. Niestety, ten głos jest zagłuszony. Często posyła się dziecko do pierwszej komunii dlatego, że tak wypada, bo idą jego koledzy, koleżanki. Eksponowane jest profanum, a sacrum jest pomijane.

Sam dobrze pamięta swoją Pierwszą Komunię Świętą. Przystępowała do niej setka dzieci.

- Cała uroczystość była skromnie przygotowana- opowiada. - Wiadomo, czasy były inne. Nie było takich wystawnych prezentów, obiadów, tylu gości. Do dziś pamiętam, że w czasie mszy świętej byłem rozproszony, rozglądałem się, by zobaczyć czy do komunii przystępują moi rodzice. Kiedy zobaczyłem ich u komunii, to uspokoiłem się...

Po uroczystości był w domu obiad. Byli na nim tylko rodzice, brat i siostra oraz chrzestni z rodzinami. Ks. Andrzej zapamiętał, że mama ugotowała rosół, a od chrzestnego dostał w prezencie radziecki zegarek i małe radio tranzystorowe.

eprasa.pl 7277978f22

Express Bydgoski
Piątek, 8.05.2026

KACPER, KTÓRY ZASKOCZYŁ PATRYKA

Gdy miał 18 lat, wyprowadził się z domu. W wieku 19 lat założył fundację. Teraz ma 23 lata i cała Polska usłyszała o nim, gdy na poznańskim uniwersytecie starł się na słowa z europosłem Patrykiem Jakim. Kim jest Kacper Nowicki? Cała rozmowa na www.gloswielkopolski.pl

Leszek Waligóra

To na ty czy per pan?
Możemy na ty.

To jest taki pierwszy test. A drugi to pytanie, to co się teraz wokół Ciebie dzieje, to zaplanowane?
Właśnie kompletnie nie. I oczywiście nikt w to nie uwierzy.

No oczywiście.
Domysły zostawię wątpiącym, ale było tak: poszliśmy ze znajomymi na wykład pana Jakiego. Nawet się śmieję, że napisałem do dziekana Ossowskiego godzinę przed tym wydarzeniem, czy mogę wpaść i obiecałem mu, że nie będę robił dymu. Przyszedłem i wyszło, że trochę dymu zrobiłem. Nawet nie wiedziałem w danej chwili, że jestem nagrywany, tylko mój znajomy, który siedział w drugim rzędzie, to wszystko nagrał i wysłał mi zaraz potem. A ja mam taką przypadłość, że jak mi się wydaje, że coś zrobiłem dobrze, to to wrzucam na Instagrama. No i poszło.

Jesteś tam, gdzie chciałeś być?
Chyba tak. Sześć lat temu wyniosłem się z domu rodzinnego na Ratajach. Wychowałem się na Łazarzu, urodziłem się na Jeżycach i całe życie tu mieszkam. Zawsze chciałem być w Poznaniu i zawsze chciałem robić coś innego niż moi koledzy z klasy. Kiedy byłem w liceum, siedemnastym na Czecha, nauczyciele trochę się denerwowali, że mnie ciągle w szkole nie było. Bo byłem czy to w Młodzieżowej Radzie Miasta, czy gdzieś na protestach klimatycznych, czy na innych strajkach, a teraz dostaję dziesiątki wiadomości od moich nauczycieli z liceum, że oglądają i kibicują. Więc chyba zatoczyło się jakieś koło.

A o wyprowadzkę z domu można pytać?
Tak, można. Wychowywałem się w nie jakimś strasznie biednym domu czy w jakimś kosmicznie nieszczęśliwym, ale działa się tam i homofobia, i przemoc psychiczna, i fizyczna. I już we wczesnym wieku nastoletnim wiedziałem, że to się musi wydarzyć. To znaczy miałem na tyle dużo starszych znajomych, których szczęśliwe życia widziałem, że miałem świadomość nieuchronności zmian. Wiedziałem, że nie pociągnę tego dalej, a jeśli pociągnę, to się stanę taki jak oni, jakkolwiek to nie brzmi. Więc gdy miałem lat osiemnaście, zamknąłem za sobą drzwi otwierając nowy rozdział.

Myślisz, że w Polsce będziesz miał rodzinę? Oficjalnie?
Tak, myślę, że tak.

Czy to jest marzenie o innym kraju?
To nie jest marzenie. To jest żądanie. Ja płacę podatki. Pomimo że jestem całkiem młody i nie żyję w ogóle dzisiejszą nawalanką w tej sprawie, uważam, że minister Kierwiński i w ogóle część Platformy Obywatelskiej złamała kontrakt społeczny, który malowała przez osiem lat z ludźmi, którzy wynieśli ich do władzy.

A myślisz, że dojdą do władzy w ciągu dziesięciu lat tacy ludzie, którzy ten kontrakt nie tylko zawrą, ale i dopełnią?
Myślę, że dojdziemy w pewnym momencie do takiej sytuacji, w którym ten kocioł zabierania ludziom podstawowych praw i to nie tylko osobom LGBT, ale też kobietom, ale też przede wszystkim młodym ludziom, dojdzie do takiego momentu, w którym ten system się rozleci. Myślę, że będziemy mieli taki czas, gdzie przez indolencję ludzi kierujących Platformą, dojdzie do władzy skrajna prawica i z tego się wyłoni coś nowego. Takie mam przekonanie, bo wszystkie ruchy, próby wyrwania Platformie tych wyborców, którzy mają jakieś wyższe aspiracje niż ciepła woda w kranie, się nie udawały, bo ten strach w ogóle nie był na horyzoncie.

Na razie sondaże pokazują, że realnym następcą Platformy jest prawica. Która będzie raczej jeszcze bardziej ciągnęła w drugą stronę.

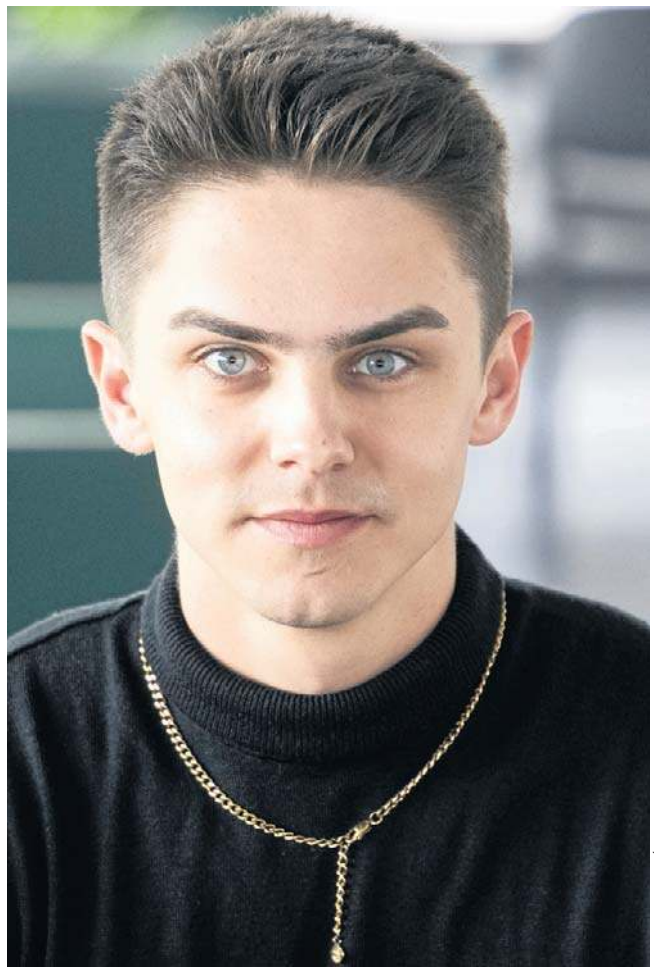

FOT. ROBERT WOŹNIAK

Na lewicy każdy lubi sobie wręczać order z ziemniaka prawdziwego lewaka. A jak się rozmawia z prawicą, to przynajmniej wiesz, gdzie stoisz – twierdzi Kacper Nowicki

Lubię oglądać stare klipy telewizyjne i czytać stare artykuły. Donald Tusk powiedział, że związki partnerskie to jest temat do zajęcia się po wyborach. Ten cytat pochodzi bodajże z 2010 roku. Z drugiej strony znam historię walki o prawa człowieka w Polsce i to zazwyczaj bywało tak, że te prawa się wywalczało. Uważam, że cały ten system jest trochę za miękki. Na przykład, dlaczego pod biurami PSL-u nie ma protestów. A mamy europosła PSL-u w Poznaniu, mamy posła PSL w Poznaniu, tego samego, który paradę równości nazywał spędem zoofilii i pedofilii. Dlaczego tam nie ma zamieszek?

A może dlatego, że to nie jest najważniejszy temat dla Polski?
Może dla wielu osób tak, ale dla osób, które przez lata PiS-u o to walczyły, a teraz mam wrażenie, że gdzieś się zamotały. Środowisko równościowe trochę za bardzo poszło w wieczny festiwal, a za mało w robienie państwa. Nie bronię rządu w tym zakresie, bo to jest absolutna indolencja i skandal, że dalej nie mamy związków partnerskich i mamy problem z transkrypcją ślubów zawieranych za granicą. Natomiast jak robię sektor pozarządowy, to staram się wprowadzić jakąkolwiek zmianę w prawie, bo prawo to jest to, co napędza każdy kolejny sektor. I tak przykładowo w prawach uczniowskich od półtora roku próbuję przeforsować ustawę w tej sprawie. Jest ona obecnie w trakcie pierwszego czytania w Sejmie. A nie mam poczucia, że środowiska równościowe wstają rano z przekonaniem, że pierwsze co należy robić, to politykę. Tylko że celem jest trochę bardziej widoczność, afirmacja i jakieś takie rzeczy bardziej… bardziej festiwalowe. To mi trochę nie pasuje, ale też nie jestem w pozycji do robienia im uwag, bo kim ja jestem? (…)

W społeczeństwie nie ma jakiegoś większego oporu przeciwko związkom jednopłciowym, ale mam wrażenie, że dzieci z rodzin jednopłciowych po prostu w tym kraju, w tym społeczeństwie będą miały ciężkie życie.
Ale one mają ciężkie życie. Ich jest w Polsce pięćdziesiąt tysięcy. Jest pięćdziesiąt tysięcy tęczowych rodzin w Polsce. Osobiście znam pary, które wychowują dzieci. Powiem więcej, znam ludzi, którzy są osobami publicznymi, którzy nie mówią o tym, że są częścią tego.

Ale nie mogą ich adoptować?
Tak, ale bardzo często mają dzieci biologiczne z poprzednich związków lub surogacji. I to nie jest problem, który się pojawił, tylko on już jest. I to znowu nie jest historia o wielkiej lewicowej ideologii, tylko o tym, że trzeba dzieciaka zawieźć do dentysty, albo że trzeba iść na wywiadówkę do szkoły. I to też jest bardzo źle opowiadane przez polityków po każdej ze stron.

Zawsze skrajnie.
Jak mówisz ludziom, którzy mają semikonserwatywne poglądy, ale tak naprawdę…

Że dwóch gejów będzie miało chłopca i na pewno go będą molestować i zamienią w geja?
Pomimo że absolutna większość przypadków przemocy domowej w Polsce jest w parach dwupłciowych, a półtora miliona dzieci wychowuje się w „parach" jednopłciowych, czyli mama i babcia. Natomiast za mało jest w tej historii opowieści o bardzo podstawowych potrzebach ludzi i o bezpieczeństwie. O tym, że trzeba po prostu funkcjonować jako rodzina. Są adopcje przeprowadzane za granicą, których potem Polska nagle nie chce uznawać, co jest jakimś absurdem. No i potem mamy takie absurdy, że ludzie, którzy krzyczeli na manifestacjach konstytucja i praworządność, tak jak pan Kierwiński, nie uznają tego, że WSA w Lublinie czy NSA w Warszawie wydało takie konkretne wyroki i należałoby je respektować.

A myślisz, że jak prawo się zmieni, to też mentalność ludzi się zmieni?
Oczywiście, że tak. W Zachodniej Europie tak było, kiedy związki partnerskie wprowadzano w Irlandii, w Holandii, Hiszpanii, w Niemczech, ale też na Węgrzech. Na Węgrzech mamy związki partnerskie! Kiedy tam wprowadzano te przepisy, masa ludzi protestowała, po czym po dwóch tygodniach nikt o tym nie pamiętał. **(…)**

Wracamy do Kacpra Nowickiego. Po filmie, na którym zaczepiasz posła Patryka Jakiego, który zawojował Polskę, niektóre media udowadniają, kim jest albo kim nie jest Kacper Nowicki, który w Poznaniu postacią anonimową nie jest, ale w Polsce taką był. Pytanie musi paść więc… kto stoi za Kacprem Nowickim?
Za Kacprem Nowickim stoi pięćdziesiąt osób w zespole jego fundacji. Za Kacprem Nowickim stoi stowarzyszenie, w którym jest, czyli Stowarzyszenie Wspólne Jutro. Stoi masa osób o lewicowych i nie tylko lewicowych poglądach. **(…)**

To kto stoi finansowo za Kacprem Nowickim? Człowiekiem, który w wieku osiemnastu lat idzie na swoje. Jakim cudem? Wielu ludzi nie opuszcza domu rodzinnego, mając czterdzieści lat na karku, bo ich na to nie stać. Zakłada fundację w wieku dziewiętnastu lat. Fakt, że jak przejrzałem Wasze sprawozdanie, jedyne sprawozdanie fi-

eprasa.pl 7277978f22

nansowe wiszące na stronie, to tam milionów nie ma, ale jednak jakieś pieniądze są, więc natychmiast pojawiają się skojarzenia typu: Soros...
Publicznie mówię o tym, gdzie w życiu pracowałem. Gdy wyniosłem się z domu, pracowałem na infolinii InPostu, Lux Medu, różnych firm nieruchomościowych. Pracowałem w restauracjach, pracowałem w kuchni, w restauracjach jako kelner i bardzo długo wykonywałem zwykłą pracę fizyczną. Pracowałem nawet na magazynach Zary pod Poznaniem i dopiero w momencie, w którym zostałem asystentem Krzysztofa Śmiszka, miałem okazję popracować bardziej umysłowo niż fizycznie. I to oczywiście nie jest typowa ścieżka nastolatka w Polsce. Chciałbym mieć bardzo wielkich sponsorów, ale nigdy takich nie było. My jako fundacja oczywiście pozyskiwaliśmy granty z bardzo różnych źródeł, kiedyś nawet z miasta, później z Unii Europejskiej. Tych milionów tam nie ma, bo one też nam nigdy nie były potrzebne, bo duża część pracy, którą my wykonywaliśmy, zawsze była po prostu pracą naszą, wolontariacką.**(...)**

Dokąd pójdzie Kacper?
To zabrzmi śmiesznie, ale trochę tam, gdzie go ludzie zaprowadzą. Plan jest bardzo prosty. Bardzo wiele rzeczy medialnych i politycznych, które robimy, wychodzi. I tu nie ma ściemy. Startowałem do rady miasta bezskutecznie, chociaż podwoiłem wynik dwójki na tej liście z poprzednich wyborów. Traktowałem to jako przetarcie się. Zawsze mam raczej tak, że te propozycje do mnie przychodzą i widzę teraz, że oczywiście po tym wzmożeniu medialnym mam bardzo wielu kolegów, którzy nagle mają dla mnie różne propozycje. Mam bardzo spokojną głowę. I o tyle nie mam parcia na to, co muszę teraz zrobić, że mam dwadzieścia trzy lata a podczas wyborów parlamentarnych, będę miał dwadzieścia pięć. Gdy będą kolejne – dwadzieścia dziewięć, później trzydzieści trzy – widząc, jak wygląda polska scena polityczna, ja jeszcze za siedem kadencji Sejmu będę nazywany siłą młodego pokolenia. **(...)**

A nie przeszkadza Ci to, że w socjaldemokracji pierwsze skrzypce grają ludzie w wieku, powiedzmy, mocno dojrzałym, którym można ciągle wyciągnąć ten argument, że byli aparatczykami PZPR-u, PRL-u?
Tylko pytanie, jaką mamy alternatywę? Bo mnie bardzo wiele rzeczy nie pasuje, po każdej stronie sceny politycznej, też po tej lewej. Każdą partią polityczną rządzą albo mentalne dziady, albo ludzie pokolenia moich dziadków.

Albo idealiści.
Albo idealiści, którym wystarczy słuszność moralna. I mnie nie pasuje słuszność moralna. To powód, dla którego ja na przykład nie jestem członkiem partii Razem.

Do tego właśnie piłem.
I dlatego w mediach społecznościowych zajmuję się głównie zmienianiem świadomości ludzi. Ale polityki nie robi się na Instagramie. Polityka oznacza osiąganie większości czy w jakimś ciele samorządowym, a następnie zmienianie prawa i dystrybucję środków.

Ale dzisiaj tę większość , a nawet szansę na wybór osiąga się dzięki social mediom.
Ale to jest narzędzie. A jeżeli dla kogoś jest to jedyną aktywnością polityczną? Czego dokonał Adrian Zandberg przez jedenaście lat w polityce? Niczego. Adrian Zandberg był przez dwie kadencje posłem, miał masę słuszności moralnej w tym, że nie będzie z tymi, z tymi, z tamtymi i z tamtymi kolaborował. Najpierw przez sześć, siedem lat mówił, że nie będzie debatował ze skrajną prawicą, bo to coś, co śmierdzi. Po czym zaczął z nią debatować notorycznie. Oczywiście rozumiem jego zarzuty do obecnego rządu i nawet ideowo je podzielam. Tylko co z tego? Od kolejnej konferencji prasowej mówiącej o sitwie i o tym, że jest strasznie nic się nie zmienia. **(...)**

Twoją dyskusję z europosłem PiS Patrykiem Jakim większość ludzi zna z przekazu instagramowego. Potem się pojawia przekaz Jakiego, który mówi, że wyglądało to trochę inaczej. Potem pojawiają się kolejne przekazy mediów związanych z Patrykiem Jakim, które mówią, że Kacper Nowicki to nie jest postać anonimowa, tylko człowiek… Różnie Ciebie tam nazywano. Pupilem…
Oskarkiem.

A na końcu pada zarzut, że to wszystko było zmanipulowane. Trudno być sędzią we własnej sprawie. Wiele osób Ciebie teraz hołubi za ten film. A jak było naprawdę? Czy możesz powiedzieć, że Patryk Jaki ma odpowiedź na Twoje zarzuty, bo on twierdzi, że ma.
Dyskutowałem z panem Patrykiem półtorej godziny na Placu Krakowskim w Gliwicach i jako, że ja nie mogę być sędzią we własnej sprawie, to zachęcam do obejrzenia tego filmu. To jest na profilach pana Jakiego. Cały, bez montażu, bez żadnych potencjalnych manipulacji z żadnej ze stron. I proszę po prostu to obejrzeć i wyciągnąć wnioski, ocenić mnie, ocenić pana Patryka, ocenić moją dyskusję z nim o Unii Europejskiej, o praworządności, o Konstytucji, o tych mitycznych dwustu pięćdziesięciu sześciu płciach, których nigdzie poza profilami pana Patryka nie ma. Proszę ją po prostu obejrzeć, bo oczywiście w świecie social mediów wszystko działa tak, że liczy się pierwsze trzydzieści sekund i logiczne jest, że nie będę wrzucał na Instagrama półtoragodzinnej polemiki z panem Jakim. **(...)**

Wśród młodzieży przeważają teraz prawicowe poglądy.
Na pewno nie w Poznaniu, ale Poznań jest w ogóle ewenementem. To jedyny powiat w Polsce, w którym Zandberg miał wyższy wynik w wyborach prezydenckich niż Mentzen. I to mi się wydaje, że jest dość istotne rozróżnienie Poznania od Polski.
Ale z prawicowcami paradoksalnie rozmawia się prościej niż z niektórymi lewicowcami.
Na lewicy każdy lubi sobie wręczać order z ziemniaka prawdziwego lewaka. A jak się rozmawia z prawicą, to przynajmniej wiesz, gdzie stoisz. Możesz się spierać co do pewnych rzeczy fundamentalnych, ale nie spierasz się o pierdoły. Prawda jest taka, że pomiędzy Nową Lewicą, Joanną Senyszyn, Partią Razem, PPS-em czy nawet Zielonymi spory światopoglądowe są minimalne, marginalne. Mają wszyscy w dziewięćdziesięciu procentach ten sam program. Różnica polega na tym, że Nowa Lewica po części stara się ten program realizować w rządzie, a Partia Razem dalej o nim krzyczy w opozycji. Natomiast najgorzej, jak spór przestaje być o sprawie, a zaczyna być o tym, kto gdzie był pięćdziesiąt lat temu, kto się jak nazywa. **(...)**

Czy ten medialny szum jakoś skonsumujesz?
Pytamy o przyszły rok. W przyszłym roku są wybory parlamentarne. Czuję, że w Poznaniu nie ma żadnego charyzmatycznego lidera po lewej stronie, który byłby w stanie pociągnąć ludzi do urn. Ja się absolutnie od niczego nie uchylam. Jeżeli dostanę jakąkolwiek propozycję kandydowania do Sejmu, to ją bardzo chętnie rozważę. Tylko jednocześnie wiem, jak funkcjonuje ten system. Ten system nie działa tak, że ja powiem: „Dzień dobry, kandyduję dzisiaj z partii Kacpra Nowickiego do Sejmu. Na liście jest Kacper Nowicki. Proszę na mnie zagłosować". Nie. System działa tak, że muszę wystartować z listy partyjnej. Znam historię ludzi, którzy na przykład poszli na współpracę z Koalicją Obywatelską.

Czy Kacper Nowicki będzie Frankiem Sterczewskim?
Nie będę drugim Frankiem Sterczewskim, bo uważam, że Platforma Obywatelska wykorzystała Franka, nie bez udziału jego świadomości. Platforma potrzebowała skonsumować jego i tysięcy innych ludzi sukces tzw. łańcuchów światła. Jednocześnie oczywiste było, że Franek nie ma poglądów politycznych zgodnych z Platformą Obywatelską. Wiemy też chyba już po tych ośmiu latach, że to nie były najbardziej produktywne kadencje poselskie w jego wykonaniu. Na początku naprawdę miał pewne ideały i naprawdę widziałem, że z nimi szedł do tego Sejmu. Przemielił go system wyborczy i przemielił go system partyjny. I dlatego, jak przyszło do wyborów w 2023, to ta sama Platforma Obywatelska, która go tak wielbiła w 2019, zepchnęła go na środek listy, żeby go pogrzebać. I to nie jest polityka, która mnie interesuje. Polityką, która mnie interesuje, jest startowanie z partii reprezentującej twoje poglądy, osiąganie poparcia społecznego, a następnie budowanie swojego kapitału politycznego na rzeczach, które się robi. Moim największym marzeniem jest to, żeby powstał duży lewicowy blok na przyszłe wybory. Uważam, że absolutnym marnotrawstwem głosów, w Poznaniu nawet, byłoby to, gdyby były dwa komitety lewicowe, czyli osobno startowałaby Lewica, osobno Razem. To byłoby zwykłe marnotrawstwo, bo w Poznaniu partia Razem może mieć nawet wyższe poparcie niż Nowa Lewica,ale jeżeli w skali kraju zrobi 4,8% i skończy pod progiem, to kilkadziesiąt tysięcy lewicowych głosów w Poznaniu znowu przepadnie. Już widziałem dostatecznie dużo premierów z tabletu, posłów z TikToka i prezydentów z wywiadów w gazecie. I jestem bardzo ostrożny co do tego, czy to od deklaracji tego, że się chce gdzieś wystartować, powinno się zaczynać.
Ja zaczynam od tego, że mam w tym momencie pięćdziesiąt osób w moim poznańskim HUBie stowarzyszeniau Wspólne Jutro w Poznaniu. Podobną liczbę osób, działaczy na rzecz praw człowieka i prawników w mam mojej fundacji w Poznaniu. Mam setki ludzi, którzy namawiają mnie w Poznaniu do tego, o co pan redaktor pyta i skala tego, jak wiele ludzi do mnie nawet na ulicy podchodzi i prosi mnie o to, żebym wystartował faktycznie jest zastanawiająca. (...)

To spotkanie, można powiedzieć, w świadomości wielu ludzi, zrobiło z Ciebie polityka.
Ja się też od tego nie uchylam. Tylko najpierw chciałbym dowieźć poparcie społeczne. Widzę, że jakieś mam w tym momencie. Jednocześnie wiem, jak działa ten system mediów społecznościowych, o którym rozmawialiśmy. To znaczy, że to zainteresowanie mną za jakieś dwa tygodnie zniknie.

Wiemy, że nawet w ramach struktur samorządowych to działa jak dobrze zaprojektowana maszyna, w której za politykiem chodzi jedna, dwie, trzy osoby z tego urzędu albo z firm zewnętrznych, fotografują go, filmują i on wyskakuje z Facebooka, z Instagrama, z YouTube'a, z TikToka, z lodówki niedługo zacznie wyskakiwać, mimo że nie mamy kampanii wyborczej. To jest maszyna, która ma dowieść popularność do kampanii wyborczej.
Ja nie mam tej maszyny. Jak zobaczymy, kto za mną chodzi, kto za mną stoi, to, to są moi przyjaciele. Na spotkaniu pana Jakiego nagrywał mnie mój znajomy. Wszystkie zdjęcia, których używam też do komunikacji, tego, co mam do powiedzenia, zrobili mi moi przyjaciele. Nagrania filmów, które publikuję w mediach społecznościowych, robię moim telefonem, bardzo często u siebie w sypialni. Więc to nie jest tak, że za mną stoi jakaś wielka firma PR-owa. I też nie uważam, że politykę się powinno w ogóle robić w ten sposób. To jest kompletny bezsens.
Są tacy politycy jak Marcin Gołek, który zaczął swoją działalność od noszenia teczki za Jackiem Jaśkowiakiem. Potem został wiceszefem PIM-u i zarabiał tam prawie bańkę rocznie, a teraz jest pupilkiem Urzędu Miasta i wszyscy urzędnicy pracują na to, żeby został delfinem pana prezydenta. No i to jest polityk, w którym faktycznie możemy tą maszynę zauważyć. Ja jestem milion lat świetlnych od tego i brzydzą mnie takie metody.

A wiesz, że jeżeli zadrzesz z Urzędem Miasta, będziesz miał trudniej?
Ale ja z nimi zadzieram od wielu lat. Przecież wielokrotnie wchodziłem w spory z urzędem. Teraz walczę o rowery miejskie.

Z nadzieją na sukces?
Tak. To jest tylko rada miasta. Przestałem się bać tych organów. Mam w tym momencie więcej podpisów pod inicjatywą przywrócenia roweru miejskiego niż większość tych radnych dostało głosów w wyborach samorządowych. Niech się zgodzą lub nie zgodzą, ale niech muszą się określić. Wcześniej walczyłem o przystanki autobusowe i tramwajowe, które chciałem ponumerować. Jak miałem osiemnaście lat, to usmażyłem to jajecznicę na Rynku Łazarskim, czym doprowadziłem do szału ówczesnego wiceprezydenta Wiśniewskiego. Pan Jacek Jaśkowiak dwa dni po wyborach samorządowych w „Gazecie Wyborczej" powiedział, że cieszy się, że się nie dostałem do rady miasta, bo krytykowałem to, co on robi. Część mojej kampanii samorządowej była oparta na bezsensownym wydawaniu pieniędzy na media samorządowe, spółki miejskie i bezsensowną promocję w mediach. Zadzieram z nimi, trzymając się tej reguły od wielu lat. Nie wysłali mi jeszcze głowy konia jak w „Ojcu chrzestnym", próbowali mnie wielokrotnie zdyskredytować, ale najwyraźniej okazuje się, że ludzie nie wierzą w to, co mówi władza na temat osób, które robią rzeczy społeczne. Ludzie czują fałsz.

(...) Przeprowadzono z Tobą w ostatnim czasie wiele wywiadów. Czy jest pytanie, którego Ci nie zadano, a na które bardzo liczysz?
Jest jedno, które mi zadano, ale na które nie odpowiedziałem poprawnie.

To masz szansę.
Co ja robię poza tym wszystkim. Bo to jest tak, że ja się od zawsze interesuję polityką. Od zawsze. Jest takie zdjęcie jak mam trzy latka i siedzę przed telewizorem i oglądam TVN24. Niemniej bardzo staram się oddzielić to życie publiczne, które jest obecnie bardzo intensywne od życia prywatnego. I to, na czym zacząłem się łapać, to że te pierwsze lata dorosłości przeleciały mi właśnie na takich rzeczach jak numerowanie przystanków, robienie Młodzieżowej Rady Miasta, fundacji prawnouczniowskiej i tego typu rzeczy. I chyba chciałbym też trochę zainwestować w życie prywatne, bo ta polityka się może każdego dnia skończyć. I masa polityków się kończy z dnia na dzień, a zostaje to, co się ma prywatnego i chyba w to muszę trochę pójść w najbliższym czasie.

Czyli kiedy mówisz o zakładaniu rodziny, nie jest to hasło wyborcze?
Nie, absolutnie. Ja po prostu chciałbym mieć rodzinę. To też jest taka ciekawa zmiana pokoleniowa, bo kiedy moi rodzice byli w moim obecnym wieku, to ja szedłem do przedszkola, a ja w tym momencie, nie mówiąc już nawet o dzieciach, to nie mam nawet partnera. Mam wielu przyjaciół, ale absolutnie moje życie nie jest na kursie do zbudowania sobie spokojnej rodziny w tym momencie. Więc tak, to jest gdzieś na horyzoncie.

Z drugiej strony ja mam do czynienia z wieloma osobami w przededniu trzydziestki i tam jest wręcz niechęć do zakładania rodziny.
To jest chyba przekorność taka, z którą idę przez życie. Bo jakby spytać większość osób w tym kraju, czy ja powinienem mieć normalną rodzinę, to powiedzieliby, że nie.

W Twoim imieniu?
Tak, oczywiście, jako osoba, która pewnie miałaby dzieci z drugim facetem. Ale ja mam dość konserwatywne poglądy, jeżeli chodzi o kwestie rodzinne. To znaczy jestem Polakiem, płacę podatki. Rodzina jest podstawową komórką społeczną. Fajnie by było mieć kiedyś po prostu męża, dzieci, psa, dom i święty spokój. Zobaczę czy to ten kurs obiorę, czy życie mi się trochę inaczej potoczy.

eprasa.pl 7277978f22

Express Bydgoski
Piątek, 8.05.2026

INFLUENCER KUBA MIDEL: DZIELĘ LUDZI NA BIEDNYCH, BOGATYCH I SZCZĘŚLIWYCH

Kuba Midel zdradza, jak być w życiu bogatym i... szczęśliwym: – Mój kapitał początkowy wynosił 20 zł. Zainwestowałem je w biurze ogłoszeń „Dziennika Łódzkiego". Kupiłem tam ogłoszenie o treści: „Angielski. Skutecznie, z dojazdem, niedrogo". Miałem wtedy 17-18 lat i malucha od dziadka. Byłem też dość dobry z angielskiego i dojeżdżałem na korepetycje do kilku rodzin. W trzeciej klasie liceum zarabiałem podobnie jak moja mama.

Matylda Witkowska

Od lat tłumaczy pan ludziom w internecie, jak być bogatym...
Nie bogatym! Szczęśliwym! Ja wręcz mówię ludziom, żeby nie byli bogaci! Bo po co być bogatym? Dzielę ludzi na biednych, bogatych i szczęśliwych. I główne moje motto brzmi: „Jeśli chcesz być bogatym, to inwestuj każdą zarobioną złotówkę. Jeśli chcesz być biednym, to każdą złotówkę wydawaj. A jak chcesz być szczęśliwy - wydawaj co drugą.

Jak to robić w praktyce?
Jedną złotówkę przeznacz na siebie, a drugą inwestuj. Niestety, w szkole się tego nie dowiemy. Mówi się nam, żebyśmy dużo się uczyli, żebyśmy ciężko pracowali, znaleźli pracę na etacie... A potem nam się podprogowo przekazuje, że ile się zarabia, tyle się wydaje. I w efekcie czy ktoś zarabia 5 tys. zł miesięcznie czy 50 tys. zł - często ma więcej kredytów i zobowiązań niż dochodów.
I w efekcie większość osób na świecie - nie tylko Polaków - ma problemy finansowe. Bo kapitalizm bywa podstępny.

Ludzie tkwią w długach niezależnie od poziomu swoich dochodów?
Tak. Dziś bogactwo bywa pozorne. Często bogatszy jest ktoś, kto zarabia kilka tysięcy złotych albo jest emerytem, który ma 2-3 tysiące emerytury, ale właściwie ma wszystko, czego do życia potrzebuje. Bo znam ludzi, którzy mają lat 40, zarabiają po sto tysięcy, ale toną w długach i są nieszczęśliwi. Ostatnio były trzy samobójstwa wśród znajomych - ludzi, których mieli firmy, mercedesy, przyjaciół i egzotyczne wycieczki. Więc myślę, że istnieje duża potrzeba redefinicji bogactwa czy szczęścia.

Bo pieniądze szczęścia nie dają?
Pieniądze dają możliwości. Ale na pewno same w sobie nie dają szczęścia. Po 30 latach kapitalizmu w Polsce widzimy, że pieniądze to po prostu narzędzie. Kiedyś uważano, że jeśli ktoś - tak jak książkowy Wokulski - ma sklep, to jest bogaty. Podstawą bogactwa była ziemia, młyn, tytuł szlachecki. Dziś uważam, że jeśli ktoś ma telefon, długopis i sprawną głowę, to zarobi. Problemem jest, co się z nimi zrobi. Dziś uważam, że nie trzeba mieć dużej firmy. Bo też niestety wyrosłem na takim schemacie i to był mój wielki błąd. Założyłem firmę w Łodzi przy ul. Piotrkowskiej. Kupiłem stumetrowy lokal w kamienicy, otworzyłem sto oddziałów szkoły językowej, zatrudniłem pięćdziesiąt osób, kolejne tysiąc osób pracowało w sieci... I finalnie po dziesięciu latach byłem nieszczęśliwy.

Proszę opowiedzieć, jak pan zaczął?
Mój kapitał początkowy wynosił 20 zł. Zainwestowałem je biurze ogłoszeń „Dziennika Łódzkiego" przy Carrefourze na Chojnach, kupiłem tam ogłoszenie w papierowej „Gratce" o treści: „Angielski. Skutecznie, z dojazdem, niedrogo". Miałem wtedy 17-18 lat i malucha od dziadka. Byłem też dość dobry z angielskiego i dojeżdżałem na korepetycje do kilku rodzin.
W trzeciej klasie liceum zarabiałem podobnie jak moja mama, która była lekarzem w Matce Polce.

Ale oprócz tych 20 zł miał pan też kapitał ludzki w postaci znajomości języka angielskiego. Skąd pan ją miał?
Nauczyłem się w szkole, ale też rodzice zainwestowali w moją naukę. Mam za to dla nich bardzo duży szacunek. Uważam, że w erze informacji wiedza jest kluczowa. To co, mamy w głowie jest ważniejsze od tego, co mamy w garażu, w szafie czy na sobie.

Jak z licealisty stał się pan biznesmenem?
Skończyłem I LO w Łodzi, ale potem - na szczęście - nie dostałem się na dzienne studia do Szkoły Głównej Handlowej. Przez rok na poważnie zacząłem więc udzielać korepetycji. Zrodził się pomysł na firmę Mobile English oferującą naukę angielskiego z dojazdem. Rok później dostałem się już na studia, ale z nich zrezygnowałem. Uznałem, że nie są mi niczego potrzebne, bo zacząłem rozwijac szkołę i dobrze zarabiać. Do tego znalazłem pracę jako handlowiec dżinsem Pabianicach. To były trudne dla gospodarki lata 2003-04, ale miałem żyłkę przedsiębiorczości i byłem nauczony ciężkiej pracy. Angielski wypalił, potem zainwestowałem w firmę odzieżową Venerdi Menswear. Zacząłem szyć kąpielówki, czapki, koszulki na zasadzie outsourcingu.
W wieku dwudziestu kilku lat - z dziecka, które nic nie miało - dorobiłem prawie stu oddziałów szkoły w Polsce i około 150 sklepów partnerskich. Wiedziałem, że nic nie trwa wiecznie, więc inwestowałem w nieruchomości, lokale usługowe, biura, biorąc jednak przy tym potężne kredyty.

Jak się pan czuł z tym sukcesem?
Po dziecięciu latach ciężkiej pracy byłem bardzo zmęczony - zarówno fizycznie, jak i psychicznie. Brakowało mi też filozofii życiowej. Miałem pieniądze, przychody, obroty, popularne marki i splendor. Ale w tym wszystkim nie było mnie. Nie miałem czasu, żeby żyć. I samo życie dało mi znać, że żyję za szybko i za intensywnie.

I co pan wtedy zrobił?
Miałem ponad 30 lat i... na kilka lat przeszedłem na emeryturę. Miałem ten komfort, że mogłem sobie na to pozwolić. Miałem nieruchomości, firmę odzieżową prowadziła moja żona, od angielskiego miałem ludzi. Podróżowałem więc po świecie, nagrywałem piosenki, pisałem dzienniki. Dużo myślałem. I przestała mi pasować recepta na życie, którą serwuje nam kapitalizm: żyj szybko, dużo kupuj, bierz kredyt, żyj na pokaz. Szukałem dla siebie pomysłu.

Zaczął się pan dzielić tymi przemyśleniami w internecie?
Mój kanał „Kuba Midel" na portalu Youtube otworzyłem z pytaniem „Jak żyć?". Bo chciałem i mieć, i być. Dziś nie można przecież żyć, nie mając nic. Ale nie można też być niewolnikiem rzeczy. Jeżeli praca sprawia komuś frajdę, to długie siedzenie w pracy nie przeszkadza. Ale jeśli ktoś prowadzi klinikę dentystyczną tylko po to, żeby spłacać długi albo kupić sobie czwarte auto, którym nie ma czasu jeździć, to musi mieć okropne życie. Ostatnio pracowałem od godz. 6.30 do 21.30, ale dziś pracą jest dla mnie trenowanie sportu, układanie klocków Lego, czytanie książek, prowadzenie webinarów, przygotowanie konferencji, inwestowanie w nieruchomości... Można powiedzieć, że nie wychodzę z pracy. Pracuję 15 godzin na dobę. Ale sprawia mi to przyjemność, więc nie traktuję tego, jak pracę...

Moment, sport też traktuje pan jak pracę?
Tak, bo moja marka osobista zależy od tego, jak inni mnie oceniają. Moja siła psychiczna, moje zdrowie są przykładem dla innych. I to działa. Dziś bez żadnej reklamy mój kanał ma blisko miliard wyświetleń. To potwierdzenie, że chociaż w Polsce nie lubi się przedsiębiorców, ludzie szukają autentyczności.

Co mogą znaleźć u pana?
Nazywam się Midel. Dla mnie Midel to coś pomiędzy Midasem, który potrafi zamienić wszystko w złoto, bo - choć oczywiście w dużym cudzysłowie - mam taką umiejętność, a byciem „in the middle", czyli w języku angielskim „pośrodku". Wychodzę do ludzi z przekazem, że bycie częścią zamożnej klasy średniej to najfajniejsza pozycja społeczna. Bo jeśli jest się krezusem, bogaczem, właścicielem ogromnego przedsiębiorstwa to trochę jest się niewolnikiem swojego projektu. A z drugiej strony - jeśli jest się człowiekiem ubogim, który z powodu swojego lenistwa lub okoliczności z trudem spina budżet domowy, to w dzisiejszym świecie jest mu bardzo ciężko żyć. Ale jeśli ktoś ma dobry zawód, dobrą małą firmę, zarabia kilkanaście - kilkadziesiąt tysięcy złotych miesięcznie, a do tego potrafi tym dobrze zarządzać i przy tym nie zgłupieć - to może być naprawdę szczęśliwy. I co najważniejsze: uważam - z czym nie zgadza się ulica - że każdy człowiek może to osiągnąć. Naprawdę każdy.

Ale jak to zrobić?
Po pierwsze - praca nie wystarczy. Jeśli chce się żyć ponad średnią to średnia krajowa pensja nie wystarczy. Trzeba przejść na swoje. Powiem tutaj o największym zawodowym ryzyku - jest nim etat. Jeśli masz jednego szefa, to masz jednego klienta. Jeśli szef cię zwolni, to albo jest po tobie, albo musisz szukać kolejnego klienta. Jeśli pracujesz na swoim i masz trzech klientów, to dasz sobie radę. Weźmy na przykład panią branżę - jeśli pracuje pani na etacie dla jednej gazety i szef panią zwolni - to pani nie ma. Ale jeśli pracuje pani dla trzech gazet lub kilku portali równocześnie i jednocześnie na przykład tłumaczy pani teksty, to nie jest pani zakładnikiem swojej sytuacji.
Niestety, w szkole i w domu od dziecka wmawia się nam coś odwrotnego - że bezpieczeństwem jest właśnie etat. Ale nie chodzi tu tylko o bezpieczeństwo, ale też o dochody. Jeśli zatrudnię się jako ogrodnik w firmie ogrodniczej to pracując cały miesiąc od godz. 8 do 16, zarobię może 5 tys. zł. Jak szef będzie miał dobry humor, to może dorzuci mi tysiąc złotych premii. Ale jeśli po miesiącu nie wypłaci mi pensji, to mam zero. Za to jeśli pójdę na swoje i będę zajmował się ogrodami 25 firm i pięciu domów, to zarobię ze trzy razy więcej. A jeśli do tego będę naprawdę dobrym ogrodnikiem, to sam

eprasa.pl 7277978f22

będę wybierał klientów. Marudzących czy niepłacących w terminie nie będę musiał obsługiwać.

Ale czy biznes nie jest ryzykowny?
Biznes też jest ryzykiem. Ale proszę mi wierzyć – najgorszą sytuacją życiową jest etat, kredyt na mieszkanie oraz próba życia jak ludzie bogaci.

Żyjemy dziś ponad stan?
Tak. Kupujemy dzieciom iPhona, drogie buty, denerwujemy się, że bankowi płaci dużą ratę. Ale tak naprawdę nie przyznajemy się przed sobą, że trochę nas na taki styl życia nie stać. I że podjęliśmy ogromne ryzyko, bo jesteśmy zależni już nie tylko od jednego pracodawcy, ale także od banku.

Dlaczego tak robimy?
Bo bania się od małego uczy nas szkoła. Nauczyciel mówi dziecku: rób wszystko, żebyś zdał, żebyś nie zrobił błędu. A rodzic dodaje często: rób wszystko, żebyś się nie zmęczył, nie zagubił. To jedna wielka bzdura! Moim zadaniem jest to wszystko rozkodować.

A skąd mamy wiedzieć, co robić w życiu?
To jest najważniejsze pytanie. Mnie też nikt nie pytał w szkole „Kuba, co ty chcesz w życiu robić?", „w czym jesteś dobry?", a chodziłem do wspaniałych szkół: SP 174 na Dąbrowie i I LO. Sam musiałem dojść do wielu rzeczy. Dziś, po 20 latach biznesu, wydaje mi się, że najmądrzejszą drogę pokazuje tzw. „koniczynka szczęścia". Złożona jest z czterech zazębiających się okręgów. Pierwszy okrąg oznacza to, co lubisz robić, drugi – co potrafisz i na czym się znasz, trzeci to potrzeba rynkowa, bo nie ma sensu robić tego, co już jest nieaktualne. I czwarty okrąg – to za co rynek chce zapłacić.

Można prowadzenia biznesu nauczyć się w szkole?
Nie. Szkoła biznesu to nieporozumienie. To szkoła, w której produkuje się niewolników korporacji czy dużych firm. Nie ma natomiast szkół uczących przedsiębiorczości. Najlepszą szkołą przedsiębiorczości jest... podwórko. Oraz nasz własny biznes albo pracodawca. Mnie biznesu nauczyła pielęgniarka z Pabianic, która handlowała dżinsem. Dała mi telefon, najtańszego laptopa i stary samochód. I powiedziała „Kuba, świat jest twój. Sprowadzaj tkaniny, skąd chcesz i handluj gdzie chcesz".
Do dziś jestem jej wdzięczny, bo pokazała mi, że biznes to przede wszystkim ołówek, kartka i liczydło.

FOT. GRZEGORZ GAŁASIŃSKI

Mój kanał „Kuba Midel" na portalu Youtube otworzyłem z pytaniem „Jak żyć?". Bo chciałem i mieć, i być

Nie trzeba do tego umieć czegoś konkretnego?
Rzeczywiście najpierw jest rzemiosło. Natomiast podejście biznesowe w tym pomaga. Dziś jeśli ktoś jest dobrym fryzjerem to może zarobić miliony złotych dzięki zasięgom internetowym. Może też mieć sieć franczyzową, sieć swoich salonów, może brać za jedno strzyżenie nawet 5 tys. złotych! Albo taki nauczyciel. Może nic nie robić i klepać biedę, ale może też być doskonałym korepetytorem i zarabiać po 200 zł za godzinę.

A jest jakiś zawód, w którym na pewno nie da się zarobić?
Nie. Powiem więcej – dziś im prostszy jest zawód, tym większe mogą być zarobki. Jeśli będziesz dobrym ciastkarzem czy psim fryzjerem to w dobie internetu możesz naprawdę zarobić. Bo internet naszą działalność skaluje. W tradycyjnym biznesie, który ja uprawiałem – trzeba było uszyć sweterek, zawieźć do magazynu i do sklepu, a klient musiał do tego sklepu przyjść i zapłacić. Dzisiaj klient klika i mój sweterek jest jutro w dowolnym miejscu na świecie, moja usługa edukacyjna dociera wszędzie tam, gdzie internet, bo sztuczna inteligencja każdy mój wykład może przetłumaczyć od ręki na każdy język. Dziś rynek zbytu dla naszych produktów to już nie są klienci sklepiku na jakiejś ulicy w Kaliszu, ale osiem miliardów ludzi na całym świecie.

W Łodzi też można zrobić biznes? Bo łodzianom często wydaje się, że po duże pieniądze trzeba wybrać się do Warszawy...
Ależ oczywiście. Ja też mieszkam w Łodzi, a przecież nie jestem głupi. Gdyby nie dało się tu robić biznesu, to by mnie nie było. Mieszkałem w Warszawie, ale z niej uciekłem. Człowiek zarabia tam dużo, ale też bardzo dużo wydaje, bo życie jest droższe. Jest czystsza ulica, ładniejszy wieżowiec, ale ulice są tak samo zakorkowane. Oczywiście gdyby w Łodzi firmy miały swoje główne siedziby, to miasto było bogatsze. Ale pytanie, jak bogaci mieszkańcy Łodzi? Bo ja nie czuję się od warszawiaków biedniejszy...

SZKOŁA BIZNESU TO NIEPOROZUMIENIE. TO SZKOŁA, W KTÓREJ PRODUKUJE SIĘ NIEWOLNIKÓW KORPORACJI. NIE MA NATOMIAST SZKÓŁ UCZĄCYCH PRZEDSIĘBIORCZOŚCI

Pan może nie, ale statystyczny łodzianin raczej tak...
Uważam, że średnia półka ma łatwiej w Łodzi. Ściągniemy tu wielu freelancerów, młodych ludzi. Bo tu jest taniej choćby wynająć mieszkanie. A kontakt jest w internecie, jeśli ktoś potrzebuje osobisty, to może wsiąść w pociąg i pojechać do Warszawy. Kompleks Łodzi jest zupełnie niepotrzebny. Proszę spojrzeć na historię Łodzi. Przecież sto lat temu ludzie w Łodzi żyli w skrajnie złych warunkach, jeszcze trzydzieści-czterdzieści lat temu chodzili do wychodka. Zobaczmy, ile się zmieniło. W ogóle gdyby w Polsce było źle, to byśmy wyjeżdżali. Jeszcze 15 lat temu była masowa emigracja, dziś ludzie do Polski wracają. Mamy dziś fantastyczne drogi, świetne jedzenie, jesteśmy narodem zaradnym. Może kawa jest u nas droga, po 3-4 euro, to bym akurat zmienił.

Jest pan ogromnym optymistą...
Jestem z wielu rzeczy niezadowolony, ale szukam pozytywów. Zamiast narzekać na korki kupiłem skuterek i przez pół roku korki omijam.

Czyli narzekamy w życiu trochę niepotrzebnie?
Super jest narzekać, ale tracimy na to czas. Jeśli będzie pani teraz przez trzy lata narzekać, to ma pani ponarzekane, ale nikt za to pani nie zapłaci. Nie ma pani z tego żadnego zysku.

CV

Kuba Midel
Łódzki przedsiębiorca z doświadczeniem w branży edukacyjnej, odzieżowej i nieruchomościowej. Dziś jest rentierem i trenerem biznesowo-motywacyjnym.
Na platformie YouTube prowadzi kanał „Kuba Midel", na którym uczy Polaków biznesowego podejścia do życia i podstaw inwestowania. Organizuje też spotkania motywacyjno-integracyjne dla przedsiębiorców z cyklu Wielka Integracja, obozy dla biznesmenów pod marką Midel Camp oraz warsztaty rentierskie.

eprasa.pl 7277978f22

Express Bydgoski
Piątek, 8.05.2026

DZWONI PAPUGA, CZYLI PRZYPADKI MECENASA KOZANECKIEGO

Znany łódzki adwokat Paweł Kozanecki ścigany listem gończym! To największy skandal w dziejach łódzkiej palestry

Wiesław Pierzchała

Wsławił się szokującą frazą „trumna na kółkach”, ale teraz znów jest o nim głośno w całej Polsce. I nie jest to sława, której najbardziej by pragnął.

Ostatnio mecenas Kozanecki kroczy od katastrofy do katastrofy. Ich skala poraża i zdumiewa. Bo czy to normalne, aby szanujący się adwokat miał na koncie zarzuty prokuratorskie i sprawy karne w sądach? A tak jest w przypadku prawnika od „trumny na kółkach”, któremu śledczy zarzucili ujawnienie tajemnic śledztwa oraz pomoc dilerom w ukryciu narkotyków przed „nalotem” policji.

Nic więc dziwnego, że łódzcy adwokaci są wstrząśnięci i zmieszani, zaś stróże prawa robią wszystko, aby pochwycić prawnika. Chodzi o to, że przyszli do niego w celu osadzenia za kratami, ale go nie zastali. Adwokat zniknął jak kamfora. Dlatego Sąd Rejonowy w Olsztynie wystawił za nim list gończy i polecił policji schwytanie ściganego. Zajęli się tym stróże prawa Komendy Wojewódzkiej Policji w Łodzi, zaś Paweł K. znów stał się Pawłem Kozaneckim.

Śmierć kobiet jadących... „trumną na kółkach”

Jego fatalna passa zaczęła się w niedzielę 26 września 2021 roku na drodze między Barczewem a Jezioranami pod Olsztynem. Według prokuratury kierowany przez prawnika mercedes zjechał na drugi pas jezdni i zderzył się czołowo z audi. Skutki były straszliwe. Dwie jadące audi kobiety w wieku 53 i 67 lat zginęły na miejscu. Okazało się, że Paweł Kozanecki, który był trzeźwy, wracał z żoną i dzieckiem z wesela znanej influencerki Martyny Kaczmarek.

Prokuratura zarzuciła mu spowodowanie wypadku drogowego, w którym zginęły dwie kobiety jadące - według prawnika - „trumną na kółkach”. Sprawa trafiła do Sądu Rejonowego w Olsztynie, który skazał go na dwa lata więzienia oraz 5-letni zakaz kierowania pojazdami mechanicznymi. Wyrok nie był prawomocny i obrońcy skazanego, którzy domagali się jego uniewinnienia, złożyli apelację.

Stąd proces odwoławczy w Sądzie Okręgowym w Olsztynie, który obniżył karę główną do 1,5 roku pozbawienia wolności. A to dlatego, że uznał, iż oskarżony spowodował tragiczny wypadek nieumyślnie, a nie - jak stwierdził sąd niższej instancji - umyślnie.

Pogrzebane marzenia o dozorze elektronicznym

A właśnie półtora roku pozbawienia wolności to maksymalna kara, do której można ubiegać się o jej odbycie w trybie dozoru elektronicznego. W praktyce wyglądałoby to tak, że prawnik mógłby odbywać karę w swoim domu zaopatrzony w bransoletę elektroniczną, czyli nadajnik informujący służby nadzorcze o miejscu jego przebywania.

Być może właśnie ta kwestia stała się przyczyną tajemniczego zniknięcia adwokata, który nagle znalazł się między młotem a kowadłem. Z jednej strony sąd nie podjął jeszcze decyzji o „bransoletach”, a z drugiej przyszła pora stawienia się w zakładzie karnym. Stąd zapewne decyzja o czmychnięciu i zaszyciu się w jakimś zakątku.

W ten sposób ścigany teraz listem gończym mecenas Kozanecki popełnił błąd i to dużego kalibru. Wcześniej czy później zostanie wytropiony i zatrzymany albo sam zgłosi się na policję, a wtedy raczej nie będzie miał żadnych szans na dozór elektroniczny i trafi prosto do więzienia.

Na tym sprawa tragedii pod Olsztynem nie skończyła się, bowiem prawnik skomentował ją w sposób iście kuriozalny. Z jego wypowiedzi wynikało, że kobiety, które zginęły w wypadku, same sobie są winne, bowiem jechały „trumną na kółkach”, czyli marnym samochodem. O frazie tej, która spotkała się z powszechnym potępieniem, stało się głośno w całej Polsce.

Na adwokata posypały się gromy, także ze strony prawników, którzy nie mogli mu darować, że swoją - mówiąc bardzo delikatnie - niefrasobliwą wypowiedzią popsuł wizerunek łódzkiej palestry. Nic więc dziwnego, że Paweł Kozanecki decyzją prawomocną Wyższego Sądu Dyscyplinarnego w Warszawie został zawieszony na dwa lata w pełnieniu czynności zawodowych, co dla adwokata jest karą wyjątkowo dotkliwą.

Zdradził tajemnice śledztwa?

To nie jedyna taka kara. Otóż prokuratura zarzuciła mu, że zdradził tajemnice śledztwa członkowi gangu fałszywych policjantów, za co wziął pieniądze. Sprawa trafiła do Sądu Rejonowego Łódź-Śródmieście, gdzie odbył się proces.

Podczas mów końcowych prokurator Wiesław Łatkowski z Prokuratury Okręgowej w Zielonej Górze nie miał wątpliwości, że mecenas Kozanecki jest winny. Opisał sytuację, jak Adrian M. zwrócił się do oskarżonego o pomoc. Miała ona polegać na tym, że prawnik zostanie obrońcą Wiktora K., członka gangu oszustów wyłudzających pieniądze metodą „na policjanta”, który niedawno został zatrzymany i objęty śledztwem prokuratury. Jako obrońca Wiktora K. adwokat miał się dowiedzieć, czy nie „sypie” w śledztwie i czy nie mówi o swoich przełożonych w strukturach przestępczych. I tak się stało. W ten sposób Paweł Kozanecki miał uzyskać informacje ze śledztwa, które przekazał Adrianowi M., za co otrzymał 500 zł.

Efekt mów końcowych był taki, że prokurator Łatkowski zażądał dla prawnika kary dwóch lat więzienia, 20 tys. zł grzywny oraz 7-letniego zakazu uprawiania zawodu adwokata lub radcy prawnego. Dla odmiany broniący oskarżonego adwokat Władysław Marczewski wnioskował o uniewinnienie swego klienta.

FOT. GRZEGORZ GAŁĄSIŃSKI

Prokuratura wydała list gończy za mecenasem Pawłem Kozaneckim. Wyrok za spowodowanie śmiertelnego wypadku to nie jedyny jego problem

Wyrok nieprawomocny zapadł w październiku 2025 roku. Mecenas Kozanecki został skazany na rok i 10 miesięcy ograniczenia wolności, co oznacza, że w tym okresie będzie pracował społecznie w wymiarze 30 godzin na miesiąc. Ponadto został skazany na 3-letni zakaz wykonywania swego zawodu.

Pomógł dilerom ukryć narkotyki?

Na tym kłopoty Kozaneckiego nie kończą się, bowiem - według śledczych - jest zamieszany w kolejne przestępstwo. Chodzi o sprawę w kontekście „nalotu” policji na przestępców narkotykowych. Śledczy przypuszczają, że Paweł Kozanecki - działając wspólnie i w porozumieniu z żoną Pauliną, która też jest adwokatem - dowiedział się od informatora o spodziewanej akcji policji, w porę ostrzegł dwóch dilerów i pomógł im przenieść narkotyki - kokainę, mefedron i marihuanę - do innej kryjówki.

Dlatego oboje prawnicy w łódzkiej prokuraturze usłyszeli zarzuty pomocnictwa do udzielania substancji psychotropowych i odurzających. Ponadto stróże prawa podczas przeszukania ich mieszkania w Łodzi znaleźli 45 gramów marihuany. Stąd kolejne zarzuty. Prokurator zastosował wobec nich dozór policyjny i zakaz opuszczania Polski. Grozi im do 10 lat więzienia.

Śledztwo w tej sprawie - dla zachowania pełnej obiektywności i bezstronności - przeniesiono z Łodzi do Szczecina i niedawno - jak nas poinformowała prokurator Julia Szozda, rzecznik prasowy Prokuratury Okręgowej w Szczecinie - przedłużono je do 27 maja br.

Dzwoni „papuga” i mówi, że musi się udać

Przypomnijmy, że Paweł Kozaneckie jako obrońca brał udział w wielu znanych procesach dotyczących m.in. motorniczego Piotra M., który 6 stycznia 2014 roku po pijanemu na ul. Piotrkowskiej w centrum Łodzi potrącił ze skutkiem śmiertelnym trzy kobiety. Ponadto bronił na procesie Marzeny B. i jej kochanka Mariusza S., którzy w Łowiczu w nocy z 26 na 27 listopada 2017 ogłuszyli paralizatorem i zamordowali męża oskarżonej - Mirona B.

Było o nim też głośno, ale z zupełnie innego powodu. Otóż jako rokujący wokalista na instagramie wykonał zawierający wulgaryzmy utwór znanego rapera Maty pt. „Papuga”, w którym jako refren pojawia się fraza: - „Dzwoni „papuga” i mówi, że musi się udać”. Wyjaśnijmy, że „papuga” to potoczne, niezbyt chwalebne określenie adwokata. Nie jest wykluczone, że także teraz, w ukryciu, nuci sobie ten song.

eprasa.pl 7277978f22

CHANEL NR 5: KLUCZ DO LEPSZEGO TOWARZYSTWA

5 maja 1921 r., nieco ponad wiek temu, narodziły się legendarne perfumy Chanel nr 5. Nie tylko upajały zapachem, ale dawały bilet wstępu do świata elit

Mariusz Grabowski

FOT. CC

Ponoć pomysłodawcą flakonu Chanel 5 był był już w 1920 r. wielki książę Dymitr Pawłowicz Romanow, a inspiracją były butelki wódki noszone przez rosyjskie wojska

Skąd ów numer 5? Od tzw. ślepej próby. Twórca zapachu Ernest Beaux przedstawił Gabrielle Chanel pięć kompozycji zapachowych, z których ta wybrała ostatnią - właśnie 5 próbkę. Zapach od stu lat znaczy terytorium, do którego pariasom wstęp jest niewskazany.

Coco i Ernest

Zacznijmy od odpowiedzi na najważniejsze pytanie: tak, to prawda, to nie Coco Chanel stworzyła ten zapach, ona go tylko zaaprobowała. W 1921 r. 38-letnia Chanel, czyli Gabrielle Bonheur Chanel, była od dwóch lat właścicielką domu mody przy Rue Cambon) pod marką Chanel. Proponowała klientkom styl à la „skromna panienka", propagujący wygodne ubrania na bazie dzianin, np. dżerseju.

Dwa lata starszy od Chanel Ernest Beaux był w 1921 r. prawdziwą legendą perfumiarstwa. Pracował w Rosji dla firmy A. Rallet & Co., która była głównym dostawcą perfum dla dworu Romanowych. Po wybuchu rewolucji Beaux uciekł do Francji i został zatrudniony w firmie Chiris, która przejęła Rallet. To tam znalazła go Chanel i złożyła zamówienie na perfumy odpowiednie dla jej domu mody i jej stylu.

W tle Romanowowie

Historia znajomości obojga bohaterów i sekretów ich związków uczuciowo-biznesowych, doczekały się ogromnej bibliografii i opracowań. Większość pomija jednak informację, że Beaux, człowiek równie zdolny co obrotny, niespecjalnie się przy perfumach dla Chanel napracował.

Hal Vaughan, amerykański dziennikarz (i były oficer wywiadu, co wiele tłumaczy), autor tomu „Sleeping with the Enemy. Coco Chanel's Secret War" pisze wprost, że perfumiarz po prostu delikatnie zmodyfikował swoje perfumy Bouquet de Catherine, skomponowane w 1913 r. dla Aleksandry Fiodorownej, żony cara Mikołaja II.

Warto dodać, że ową Katarzyną od bukietu była caryca Katarzyna II Aleksiejewna Wielka i że w 1913 r. przypadało 300-lecie dynastii Romanowów. Beaux wyszedł zapewne z założenia, że Bouquet de Catherine nie będzie już miał zastosowania, z powodów czysto praktycznych: końca dawnej Rosji i eliminacji rodziny carskiej przez bolszewików.

Wielki książę doradza

Vaughan odtworzył dość dokładnie realia pierwszego spotkania Chanel-Beaux. Ponoć pomysłodawcą był już w 1920 r. wielki książę Dymitr Pawłowicz Romanow, znany z udziału w zabójstwie Grigorija Rasputina, w latach 20. pretendent do tronu Rosji, a przy tym ówczesny przyjaciel projektantki. Znał Beauksa jako twórcę stworzonego przezeń w 1912 r. zapachu Bouquet de Napoleon, którym z lubością skraplali się w Moskwie i Petersburgu arystokraci ancien régime'u. Nie bez powodu - sto lat wcześniej miała miejsce krwawa bitwa pod Borodino.

Na spotkanie w siedzibie Chiris Canal udał się właśnie z Dymitrem. Wąchanie trwało kilka godzin. Rozmawiano po francusku, ale także po rosyjsku. Gdy wreszcie Chanel zdecydowała się na piątą z kolei próbkę, Beaux zapytał ją, jak chce nazwać wybrany zapach, odpowiedziała: „Zawsze wprowadzam moją kolekcję piątego dnia piątego miesiąca, więc liczba 5 wydaje się przynosić mi szczęście - dlatego nazwę go No. 5".

Co było dalej?

Odpowiedź może wydawać się banalna, ale do biografii projektantki pasuje jak ulał. Zgodnie z zasadą, że banały sprzedają się najlepiej. Z licznych biografii Chanel wiemy, że autentycznie lubiła ten zapach. W przeciwieństwie do wielu innych, które już w latach 30. komponowano w jej laboratorium perfumeryjnym przy Rue Cambon.

Beaux sprytnie zataił pochodzenie zapachu, ale kontynuował pracę dla Coco Chanel i innych domów modowo-projektowych do końca życia (zmarł w 1961 r.), pozostawiając po sobie dziedzictwo jednego z najbardziej wpływowych perfumiarzy XX w.

Porzucony przez Coco wielki książę Dymitr poznał Amerykankę Audrey Emery, spadkobierczynię wielkiej fortuny, i ożenił się z nią w 1926 r. przy wielkim zainteresowaniu opinii publicznej. Małżeństwo po dziesięciu latach zakończyło się rozwodem, ku wielkiej rozpaczy wielkiego księcia. Wiemy, że ocalone z rewolucji październikowej rodzinne perły księcia zatrzymała dla siebie Coco, tajemnica pozostaje, czy tytularna wielka księżna używała Chanel nr 5. Byłoby to chyba zbyt perwersyjne nawet dla zabójcy Rasputina.

Trochę filozofii

Zapomniany dziś niemiecki socjolog Georg Simmel (1858-1918), który wiele uwagi poświęcał zagadnieniu postrzegania zjawisk zmysłowych, zwrócił uwagę, że człowiek poznaje świat w zależności od „natężenia" różnych narządów zmysłowych. Owo zwrócenie uwagi na rolę sensoryki w konstruowaniu rzeczywistości społecznej przyczyniło się do stworzenia przezeń podstaw dla rozwoju specjalizacji zwanej socjologią zmysłów.

Co Simmel ma wspólnego z Chanel nr 5? Wbrew pozorom sporo. Jeśli konstruujemy rzeczywistość sensorycznie, to dla zmysłu węchu kluczowe są wonie i zapachy, które można by nazwać „tożsamościowymi". To one wyznaczają społeczno-towarzyski krąg, w którym obraca się podmiot poznawczy. Innymi słowy, elity mają swoje zapachy-klucze. Jednym z nich jest Chanel nr 5.

Ile to kosztuje?

To nigdy nie były bowiem perfumy egalitarne. Przeciwnie, reklamowano je jako zapach dla klasy wyższej. Choć od 1921 r. były kilkakrotnie modyfikowane zapachowo (mniej więcej co dwie dekady), wciąż mają opinię tych „z najwyższej półki". Zachowane egzemplarze perfum z lat 20. i 30. przechowywane są obecnie w specjalnie zaprojektowanych diamentowych flakonach z tzw. nasadką baudruchage. To klasyczna technika uszczelniania flakonów perfum, polegająca na nałożeniu cienkiej membrany (skóry lub materiału) na korek i zawiązaniu jej jedwabną nicią.

Wiekowy flakon Chanel Grand Extrait kosztuje dziś ok. 5 tys. dolarów. Mniej niż Clive Christian No.1 Imperial Majesty (ok. 12 tys.), Clive Christian No.1 (ok. 10 tys.), czy nawet Baccarat Les Larmes Sacree de Thebes (ok. 7 tys.). Ale tamte nie mogą pochwalić się nawet ułamkiem legendy, która przylgnęła do Cahnel.

Gratis? Ależ to miłe

Kompozycję Chanel nr 5 tworzyło i tworzy ok. 80 składników, z których główne to jaśmin, róża stulistna, irys, ylang ylang, wetiweria, wanilia, ambra oraz olejek sandałowy. Najcenniejszym składnikiem jest jaśmin, pochodzący tradycyjnie z Grasse na Lazurowym Wybrzeżu. Grasse słynie ze swego przemysłu perfumeryjnego już od XVIII w. Jest ponadto światowym centrum naturalnych aromatów, co tamtejszym producentom przynosi ponad 600 mln euro rocznie.

Pierwsze flakony nr 5 trafiły do klientów na Boże Narodzenie 1921 r. Za rzeczywisty początek sprzedaży uznaje się jednak połowę roku 1922, ze względu na to że pierwsze 100 flakonów Chanel zdecydowała się podarować swoim najlepszym klientom w ramach prezentu świątecznego. Ta nietypowa promocja, idealnie pasująca w megalomańskie gusta elit, okazała się bezcenną inwestycją - jakby to określił Simmel - w „sensoryczne poczucie wyższości".

Bracia zza oceanu

Coco Chanel perfumy promowała, ale ich nie produkowała. Tym od 1924 r. zajmuje się konsorcjum, w którym projektantka miała 10 proc. udziałów, natomiast reszta należała do rodziny Wertheimer. Dziś marka Chanel jest w całości prywatną własnością tej familii.

Powiedzieć, że reprezentujący ją bracia Alain Ernest i Gérard Paul Philippe są ekscentryczni, to jakby nic nie powiedzieć. Wertheimerowie nie mają w zwyczaju się pokazywać nawet podczas wizyt w siedzibie swej firmy w Paryżu. Podobno są entuzjastami muzyki klasycznej i bywają w Théâtre du Châtelet, rokrocznie oglądają też wyścigi konne I'Arc de Triomphe. Nie czują się jednak w obowiązku uczestniczyć w wydarzeniach organizowanych przez Chanel. Prywatnie wydają się prowadzić dyskretne życie w otoczeniu najbliższych rodzin.

Czy ich żony i córki lubią zapach nr 5? Nie wiadomo. Brigitte Laloum, żona starszego z braci - Alaina Ernesta - zapytana w 2001 r. przez dziennikarki „Cosmopolitan" o legendarne perfumy, sprytnie wykręciła się od odpowiedzi.

Zapach i polityka

Można powiedzieć, że milczenie Brigitte Laloum w tej kwestii nie ma znaczenia. Bo skoro numer 5 upodobała sobie Marilyn Monroe, a reklamowały je Catherine Deneuve, Carole Bouquet, Nicole Kidman i Estella Warren (nie tylko aktorka, ale też pływaczka synchroniczna), legenda marki ma się wciąż doskonale.

Wspomniany Hal Vaughan sugeruje, że nie zaszkodziły jej wypadki, które inne marki zmiotłyby w niebyt. Choćby ewidentną kolaborację Coco Chanel z hitlerowcami, czy jej jawnie antysemickie poglądy. Chanel nr 5 łączyła i łączy elity ponad polityką - sugeruje Vaughan, niczym jakiś sekretny, niewidzialny dla pospólstwa szyfr.

Przykład? Po wyzwoleniu Francji przez aliantów, we wrześniu 1944 r., Coco została na krótko aresztowana, ale szybko wypuszczono ją na wolność, m.in. dzięki protekcji Winstona Churchilla. Do Francji powróciła dopiero w 1954 r., jak gdyby nigdy nic, proponując kostium składający się z prostego żakietu bez kołnierzyka, wykończonego plecionką, w zestawieniu ze spódniczką do kolan.

Churchill nie używał nr 5 z powodów oczywistych. Ale jego żona Clementine jak najbardziej. Arystokraci wszystkich krajów łączcie się. Najlepiej pod symbolem flakonika perfum.

eprasa.pl 7277978f22

DROBNE

Nieruchomości

GOSPODARSTWA

SPRZEDAM ziemię rolną: pszenrol.com.pl

Finanse biznes

KREDYTY, POŻYCZKI

KREDYT na dowód 781026833

Praca

ZATRUDNIĘ

SERWIS sprzątający z gr. niepełnosprawności Bydgoszcz tel. 604 630 556

Zdrowie

LABORATORIA

DR n.med. Maciej Świtoński-chirurg choroby jelita grubego, choroba hemoroidalna, 602298213, 60-229-82-13, 602-298-213, Bydgoszcz

Usługi

BUDOWLANO-REMONTOWE

MALARSKIE solidnie gwarancja tel. 502117515

ODNAWIANIE nagrobków, litery, podnoszenie, czyszczenie, nowe pomniki www.nagrobkus.pl 794647139

MONTAŻOWE

NAPRAWA okien, drzwi tel. 602720927

ROLETY ATRAKCYJNE CENY. Producent „GARDA" tel. 504166613

Turystyka

KRAJ - GÓRY

Beskidy turnusy 7 dni od 1050 zł z 30% dofin. dla emerytów/rencistów, tel 501-642-492.

PROMOCJA - pobyt - 95 zł ze śniadaniem. TYLICZ k/Krynicy G., pok. z łaz.+TV, bilard, parking, 730-007-166

KRAJ - MORZE

USTKA- Wczasy! Pokoje! 604-486-413.

Różne

STARE książki skup, 881-934-948

AUTOREKLAMA

ibo TWOJE DOMOWE BIURO OGŁOSZEŃ

Ogłoszenia drobne
w Twojej gazecie przez Internetowe Biuro Ogłoszeń.
Bez wychodzenia z domu.

ibo.polskapress.pl

REKLAMA 0011517120

Zieleń Miejska
Zakład Pogrzebowy
UL. CZARTORYSKIEGO 13
24h / 7 - 52 324 99 99
WŁASNE KREMATORIUM

0011521137

Natalii Pobłockiej

wyrazy głębokiego współczucia i słowa wsparcia

w trudnych chwilach po śmierci

Mamy

składają

koleżanki i koledzy

z ATOS GDC Polska

0011521002

„Nie żyjemy, aby umierać...
ale umieramy, aby żyć wiecznie"
M. Buchberger

Panom
Sławomirowi i Piotrowi Szatkowskim
Ich Rodzinom i Bliskim

wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Matki

składają

Właściciele, Zarząd i Pracownicy
„BOHAMET" SA

0011519956

„Złote serce miałaś, od życia dużo nie chciałaś,
ale zawsze z czułością o nas dbałaś
i tak gorąco nas kochałaś.
Na zawsze pozostaniesz w naszych sercach"

Dnia 10 maja 2026 r. mija VI rocznica śmierci
mojej najukochańszej Żony, Mamy i Babci

ŚP

Jadwigi Jagody Wojtaszewskiej

Msza św. w Jej intencji odprawiona zostanie dnia 10 maja 2026 r. o godz. 7.00 w parafii pw. Opatrzności Bożej w Bydgoszczy.

Prosimy o modlitwę i chwilę wspomnień.

Z podziękowaniem *Mąż*

0011521007

Z głębokim żalem zawiadamiamy,
że dnia 5.05.2026 r. odeszła od nas
nasza kochana
Mama, Babcia i Siostra

ś†p

Czesława Szczepaniak

lat 84

Pogrzeb wraz z mszą św. żałobną odbędzie się
dnia 9.05.2026 r. o godz. 12.45
na cmentarzu NSPJ przy ul. Ludwikowo.

Pogrążona w smutku
Rodzina

0011521086

Z głębokim żalem zawiadamiamy,
że dnia 6 maja 2026 r. zasnął w Bogu
Nasz Kochany Mąż i Ojciec

ś†p

Jan Bondara

lat 81

Ceremonia pogrzebowa odbędzie się
14 maja 2026 r. (czwartek)
o godzinie 14.30 (Różaniec 14.00)
na cmentarzu komunalnym
przy ul. Wiślanej w Bydgoszczy.

W smutku pogrążona
Żona z Rodziną

0011521033

Z wielkim żalem przyjęliśmy wiadomość o śmierci
naszego długoletniego wykładowcy

dra hab.

Janusza Wiśniewskiego

Żonie i Rodzinie

wyrazy głębokiego współczucia
składają

Założyciel, Rektor oraz pracownicy i studenci
Bydgoskiej Szkoły Wyższej w Bydgoszczy

0011521009

Z głębokim żalem zawiadamiamy,
że dnia 5.05.2026 r. zasnął w Bogu
nasz kochany Mąż, Tata, Teść i Dziadek

ś†p

Janusz Wiśniewski

lat 78

Pogrzeb wraz z mszą św. żałobną odbędzie się dnia 9.05.2026 r. o godz. 10.30
na cmentarzu parafialnym przy Al. Kardynała Stefana Wyszyńskiego – Bielawki.

W smutku pogrążona

Rodzina

eprasa.pl 7277978f22

0011518965

Wdzięcznością przepełnione są nasze serca

Dziękujemy wszystkim, którzy okazali tyle życzliwości i pomocy,
dzielili z nami smutek i żal, uczestniczyli we Mszy św. oraz odprowadzili na miejsce, gdzie oczekiwać będzie zmartwychwstania
nasz najdroższy Syn, Mąż, Tata, Wujek i Przyjaciel

ś†p

Michał Różycki

Uroczystość pogrzebowa była wielkim darem wspólnej modlitwy i za ten dar dziękujemy:
ks. kanonikowi Mirosławowi Goślinowskiemu za przewodniczenie we Mszy św. i liturgii pogrzebowej,
ks. infułatowi Ryszardowi Pruczkowskiemu za wzruszające słowa pożegnania.

Dziękujemy księżom: prałatowi Józefowi Kubalewskiemu, kanonikowi Rafałowi Grabowskiemu,
proboszczowi Januszowi Tuskowi i prefektowi Piotrowi Poćwiardowskiemu.

Dziękujemy pracownikom i przyjaciołom z Firmy Lech i Firmy Domix.

Dziękujemy Panu Prezydentowi Rafałowi Bruskiemu i przedstawicielom Rady Miasta,
Przyjaciołom z wielu firm, instytucji i urzędów, sąsiadom i znajomym.

Wszystkich żegnających naszego kochanego Michała było tak wielu, że trudno nam ich wymienić.

Z wdzięcznością myślimy o każdym.

Dziękujemy za modlitwy, ofiarowane Komunie św., pamięć, pomoc, a także za złożone wieńce i kwiaty.

Dziękujemy staropolskim „Bóg Zapłać".

Lech, Dagmara i Wiktoria Różyccy

0011518978

Ze smutkiem zawiadamiamy,
że 7 kwietnia 2026 w wieku 68 lat
zmarła nasza kochana Mama i Teściowa

Elwira Derdowska

Uroczystości pogrzebowe odbędą się
na Cmentarzu Starofarnym
w środę, 13 maja, o godz. 11.00.

Msza zostanie odprawiona o godz. 9.00
w kościele oo. Jezuitów.

Pogrążeni w smutku

córka Joanna i zięć Robert

0011520332

„Nie umiera ten, kto pozostaje w sercach bliskich"

Z głębokim żalem zawiadamiamy, że dnia 6 maja 2026 r. zasnął w Bogu
Nasz Kochany Mąż, Ojciec, Teść i Dziadek

ś†p

Klemens Niemczewski

lat 77

Ceremonia pogrzebowa wraz z Mszą Św. odbędzie się 11 maja 2026 r. (poniedziałek)
o godzinie 12.00 (Różaniec 11.30)
na cmentarzu Nowofarnym przy ul. Artyleryjskiej w Bydgoszczy.

W smutku pogrążona
Rodzina

0011520368

Pani

Jarosławie Stanke

wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Mamy

składają

Prezes, Sędziowie i Pracownicy
Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego
w Bydgoszczy

0011519766

„Żyłeś dla nas i dla innych, kochaliśmy Cię wszyscy"

Z głębokim żalem zawiadamiamy, że dnia 4 maja 2026 r. odszedł od nas
Nasz Kochany Mąż, Brat, Wujek i Szwagier

ś†p

Zygfryd Deja

lat 90

Ceremonia pogrzebowa wraz z Mszą Św. odbędzie się
9 maja 2026 r. (sobota) o godzinie 10:00 (różaniec 9:30)
na cmentarzu parafialnym Serca Jezus przy ul. Ludwikowo w Bydgoszczy.

W smutku pogrążona
Żona

eprasa.pl 7277978f22

drugi pokos trawy
dział lingwistyki: wyłapuje buble / trzepot flagi
dawny żaglowiec
filmowa Eva Perón
leczy zwierzęta: nietakt
niemieckie województwo
sucha gałązka
wyznacza kurs statku
wywar z ziół
nauka o ciałach niebieskich: stolica nad Nilem
jądro + elektrony
ogrodowe łóżko: sklep z antykami / jony dodatnie
23
powieść Stanisława Lema
zbierana przez skarbnika
ważna w historii
papier na ścianie
sportowa ekipa
7
8
tytułowa książki: np. Eminem
natarcie na wroga
szybka, cięta odpowiedź
1
13
lawendowy olejek: gobelin
kamizelka ratunkowa
ludowy zwyczaj witania wiosny
stan w USA: stolica Piotrowa
hrabia z „Ballądyny”
największe miasto Moraw
miasto nad Mleczną
obwódka wokół czapki pułkownika
werwa, wigor
20
kosmate nakrycie łóżka
12
koń ze stadniny w Janowie Podlaskim
góralski gospodarz
grecki bóg wojny
nagana: Celine, piosenkarka
utwór poetycki
dramat Witkacego
14
brak połysku
wigilijna ryba
przyrząd gimnastyczny
jeden ze zmysłów
25
elf z „Władcy Pierścieni”
egzotyczna jaszczurka
oficer w armii: rupieciarnia
kita wiewiórki
odmiana esperanto
ocena, opinia
buduje kopce na działce
może być na okaziciela
22
główna w sztuce
model Opla
2
wyższa izba parlamentu: kara za grzechy
ssak z Tybetu
anglosaska miara gruntu
tył jachtu
Piotr, skoczek narciarski
ostra krawędź
arlekin, błazen
zieleń lub czerń
wyspa w Indonezji
„piłka” do hokeja
16
9
harnaś z Tatr
19
posiada rozległą wiedzę
znak zodiaku
japońskie zapasy
bogini zwycięstwa
Boeing lub Airbus
kuzyn arbuza
płyn do płukania tkanin
kuchenna siekierka
17
rabuś, łupieżca: stolica Mali: odcień czerwieni
prasowe ogłoszenie
szwedzki kwartet muzyczny
jaź złoty
6
italska bogini wegetacji i urodzajów: stan atmosfery: śpiewak w klatce
umowa międzynarodowa
materiał opatrunkowy
okrycie dla siwka
26
z trzciny lub buraka: krawędź żagla
drzewo z Afryki, drążnik
auto z Lublina
wsteczny w aucie: mebel z półkami
interesuje speleologa
góralska zadymka śnieżna
śląska gra w karty
10
niewinny flircik
...Fleming, twórca Bonga
wypełniony ziemniakami
3
niewielki kram
miękki metal
mieszkańcy Podhala
medykament: koczownik
szal futrzany: piec alchemika
żądlący owad: imię Thurman
ustęp tekstu
27
cesarz rzymski, następca Nerwy
5
odmiana chalcedonu
4
dawna katedra: wulkaniczny
bystry w potoku
twórca opery „Wolny strzelec”
futerał na naszyjnik
klasztor pustelników
statek marynarki wojennej
18
młody student: małpka z Azji
11
piąty miesiąc: żyzna gleba
oświetla pole walki
roztwory koloidowe
24
„... Racławicka”, słynny cykloramiczny obraz
jasne piwo z pubu
sułtanat z Maskatem
miara ilości papieru
albańska metropolia
imię polskiego kosmonauty
15
sztuczny basen w porcie
agresywny stwór z książek Tolkiena
świętuje 1 września
21
M-1 zakonnicy
pies pokojowy
ptak-śmieszka
28
... Biedrzyńska, aktorka
legendarny stwór morski

AUTOPROMOCJA 0010990299
Express BYDGOSKI
w prenumeracie z Tele Magazynem
52 511 94 64

SŁOWNIK: ATANOR, CEKROPKA, KURNIAWA, NARD, ORK, TIMOR.

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25	26	27	28

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 28 utworzą rozwiązanie: aforyzm Adama Decowskiego.

ROZWIĄZANIE: POETKI TEŻ UŻYWAJĄ MĘSKICH RYMÓW.

eprasa.pl 7277978f22

Derby regionu: Elana zagra o prestiż, a Zawisza o awans

Dariusz Knopik
dariusz.knopik@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. **Oczy kibiców będą skierowane na Toruń. Tam sobotę zostanie rozegrany najważniejszy mecz 30. kolejki Betclic 3. Ligi.**

Sezon piłkarski zbliża się ku końcowi. Mecze znaczą coraz więcej choć jak w każdym za zwycięstwo można zyskać tylko trzy punkty. Z tego względu emocje rosną.

W Betclic 3. Lidze czas na 30. kolejkę. Hitem będą derby Elana Toruń - Zawisza Bydgoszcz. Żółto-niebiescy, którzy zajmują czwarte miejsce w tabeli (49 punktów) grają już tylko o prestiż. Niebiesko-czarni to aktualny lider (65 pkt.), który musi odpierać ataki Wikędu Luzino (64). Awans to dla Zawiszy priorytet i nikt władz klubu, piłkarzy i fanów nie zakłada innego scenariusza.

FOT. DARIUSZ BLOCH

Mecze Zawiszy z Elaną zawsze są zacięte. Jest w nich dużo walki i zaangażowania. Czy tak będzie w sobotę?

Na taki mecz nie trzeba się mobilizować

Spotkanie jak każde derbowe zapowiada się bardzo emocjonująco.

- Na takie spotkanie nie trzeba nikogo motywować - mówi Mateusz Główczewski, trener Elany. - Najważniejsze będzie opanowanie pierwszego stresu i złamanie luzu oraz pewności, by zacząć realizować założenia swojego planu. O zwycięstwie zdecydują niuanse i detale, może stały fragment gry. Wierzę, że będzie to ciekawy mecz dla kibiców. Liczymy na ich wsparcie. Zawsze są naszym dwunastym zawodnikiem - podkreśla szkoleniowiec.

Spotkanie będzie mogło oglądnąć 999 kibiców, którzy zajmą trybunę C. Wejście na ten sektor od strony ul. Szosa Chełmińska. Na stadionie, który jest remontowany, nie będzie fanów Zawiszy.

- Spodziewamy się, że rywale będą na nas podwójnie zmobilizowani, zresztą jak każdy zespół w tej lidze, który gra przeciwko nam - uważa Adrian Stawski, trener Zawiszy. - Jesteśmy do tego przyzwyczajeni. Skupiamy się na sobie i robimy wszystko, by jak najlepiej przygotować się do meczu. Co zdecyduje o wygranej? Odpowiednie przygotowanie taktyczne i potem realizacja założeń poparta cechami wolicjonalnymi - dodaje szkoleniowiec.

Dodajmy, że jesienią w Bydgoszczy był remis 1:1. W sumie obie drużyny rozegrały 27 meczów ligowych. Bilans: 9 zwycięstw Elany - 11 remisów - 7 wygranych Zawiszy; gole: 33-30. Co ciekawe, bydgoski zespół nie wygrał jeszcze w Toruniu, poniósł sześć porażek i zanotował siedem remisów, gole: 8:21.

Obaj szkoleniowcy dysponują pełnymi składami.

Wda Świecie w sobotę o godz. 17 zagra na wyjeździe z Flotą Świnoujście. W tym meczu jak trener zadebiutuje Maciej Megger, który zastąpił Krzysztofa Urtnowskiego. Spotkają się sąsiedzi w tabeli, którzy mają po 45 pkt.

Tłuchowia Tłuchowo, która powoli żegna się z tym poziomem rozgrywek, już w piątek o godz. 19 zmierzy się w delegacji z Polonią Środa Wielkopolska.

Dla wszystkich trzecioligowców to będzie pierwszy mecz z trzech, które rozegrają w ciągu tygodnia.

Biało-zieloni nie odpuszczają

W Betclic 2. Lidze rozegrana zostanie 31. kolejka. Olimpia Grudziądz w sobotę o godz. 18. podejmie Rekord Bielsko-Biała. Ich rywal to aktualnie dziewiąty zespół w stawce, który ciągle ma szansę na grę w barażach o Betclic 1. Ligę.

Biało-zieloni są już pewni gry w barażach o awans, ale nie odpuszczają walki o dwa pierwsze miejsca, premiowane bezpośrednim awansem. Do prowadzącej Unii Skierniewice tracą osiem punktów, a do drugiej Warty Poznań cztery „oczka".

- Pozostały cztery kolejki i wszystko jest możliwe. Nie takie rzeczy działy się futbolu - powiedział Artur Kosznicki, trener Olimpii.

Chemik Bydgoszcz i Wisła Dobrzyń nad Wisłą zagrają w finale Pucharu Polski Kujawsko-Pomorskiego Związku Piłki Nożnej.

27. kolejka 4. Ligi Kujawsko-Pomorskiej - sobota: Wisła Dobrzyń nad Wisłą - Sparta Brodnica (godz. 11), Victoria Czernikowo - Start Pruszcz (11), Cuiavia Inowrocław - Mustang Ostaszewo (12), Unia Gniewkowo - Chemik Bydgoszcz (12), Unia Wąbrzeźno - Orlęta Aleksandrów Kujawski (13), Piast Kołodziejewo - Lech Rypin (16), Pogoń Mogilno - Łokietek Brześć Kujawski (17).
Półfinały Pucharu Polski-KPZPN: Wisła Dobrzyń - Pogoń Mogilno 3:3 rzuty karne: 6:5 (Kamil Kuropatwiński 3, Kacper Wiśniewski 6, Dawid Kamiński 73 - Antoni Krajnyk 19 karny, 88, Kevin Durueke 90+4); **Kujawiak Kowal - Chemik Bydgoszcz 0:4** (Aleksander Karbowski 9, Damian Zagórski 34, 42, 81 karny). ©℗

Barcelona o krok od tytułu. Real Madryt zrobi, wszystko, by stało się to jak najpóźniej

Damian Świderski
redakcja@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. **FC Barcelona 10 maja może świętować kolejne mistrzostwo Hiszpanii. Do wywalczenia tytułu ekipie z Camp Nou brakuje zaledwie punktu, ale rywalem będzie teraz Real Madryt**

Cztery kolejki przed końcem sezonu, Duma Katalonii ma 11 punktów przewagi nad Realem Madryt i tak naprawdę, podopiecznym Hansiego Flicka wystarczy remis, aby zagwarantować zdobycie tytułu.

W tym sezonie oba kluby mierzyły się dwukrotnie. Jesienią, w lidze górą był Real, wygrywając 2:1. Barcelona zdążyła już jednak wziąć rewanż, pokonała „Królewskich" w styczniowym finale Superpucharu 3:2, a jedną z bramek w tym starciu strzelił Robert Lewandowski.

W ostatnich tygodniach coraz częściej mówi się o jego przyszłości. Obecny kontrakt naszego rodaka wygasa wraz z końcem sezonu, ale wciąż nie wiadomo, czy doświadczony napastnik zostanie na Camp Nou. Kataloński klub proponuje, aby przedłużył umowę, tyle że na innych niż dotąd warunkach. Kapitan reprezentacji Polski nie ma jednak zamiaru - jak wszystko wskazuje - zgadzać się na drastyczną obniżkę pensji i przypisanie roli rezerwowego. Wydaje się więc, że to może być ostatnie El Clasico z udziałem Lewandowskiego.

Nie wiadomo oczywiście, czy „Lewy" znajdzie się w wyjściowym składzie na El Clasico, czy jako dżoker usiądzie na ławce.

Nie jest natomiast tajemnicą, że w Realu panuje burza wokół Kyliana Mbappe. Francuz walczył z czasem, aby wrócić do pełnej sprawności na ten mecz. Serwis „Cadena SER" podaje, że Mbappe nie zagra jednak w El Clasico, ale nie z powodu urazu, a przez... konflikt z trenerem. Zresztą w szatni Realu wrze, bo klub jest bez żadnego trofeum.

El Clasico FC Barcelona - Real Madryt w niedzielę o godzinie 21:00. Transmisja w Canal +Sport 3 i Eleven Sports 1. ©℗

FOT. GRZEGORZ WAJDA

Z ofensywnego trio Barcelony: Raphinia, Lewandowski, Yamal w El Clasico zabraknie tego ostatniego

Poznaliśmy finalistów: powtórka po 20 latach i awans rok po roku

DK, JJ
redakcja@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. **Arsenal i Paris Saint-Germain zagrają w finale Ligi Mistrzów**

Pierwszy mecz PSG - Bayern Monachium był szalony i skończył się wynikiem 5:4. Eksperci spodziewali się, że rewanż będzie podobny, ale Luis Enrique, prowadzący PSG, wyciągnął wnioski z poprzedniego meczu. W dużej mierze pozbawił atutów mistrza Niemiec w postaci skrzydłowych Luisa Diaza i Michaela Olise. Z tego powodu mniej piłek dostawał Harry Kane, superstrzelec Bayernu. Kluczem było podwajanie i współpraca piłkarzy z Paryża. Na dodatek mistrzowie Francji błyskawicznie objęli prowadzenie, bo już w 3. minucie Ousamane Dembélé dał radość przyjezdnym. Bayern zdołał odpowiedzieć dopiero w doliczonym czasie . Do siatki trafił Kane, dla którego był to już 55. gol w sezonie.

Były kontrowersje

Dużo po spotkaniu mówiło się o kontrowersjach, które pojawiły się w pierwszej połowie. Sędzia João Pedro Pinheiro z Portugalii nie ukarał Nuno Mendesa za zagranie ręką, a później nie podyktował rzutu karnego dla Bayernu. Vitinha wybijał bowiem piłkę ze swojego pola karnego, ale przypadkowo trafił nią w rękę swojego kolegi João Nevesa. Decyzja? Brak jedenastki dla gospodarzy, którzy momentalnie ruszyli do niego z pretensjami.

Jak się okazało, arbiter podjął słuszną decyzję w myśl obowiązujących interpretacji.

- Bardzo często o tym mówiłem. To jest taki przepis, który powiem szczerze, nie podoba mi się, ale pragnę podkreślić - bo widzę, że piłkarze Bayernu na czele z trenerem tego nie znali - że nastrzelenie partnera z drużyny w rękę, kiedy ten nie miał czasu na reakcję, nie jest przewinieniem - tłumaczył na antenie Canal+ Sport ekspert sędziowski Adam Lyczmański.

Mogą obronić trofeum

W finale PSG będzie broniło tytułu wywalczonego przed rokiem po efektownym zwycięstwie 5:0 nad Interem Mediolan. Paryżanie staną przed szansą zapisania się w historii - jako druga drużyna po Realu Madryt, która wygra rok po roku LM .

Tym razem rywalem będzie Arsenal, który osiągnął drugi finał w swojej historii. Poprzednio Kanonierzy walczyli o to trofeum dokładnie 20 lat temu, przegrywając z FC Barcelona.

Podopieczni Mikela Artety w półfinale wygrali rewanż z Atletico Madryt 1:0, a cały dwumecz 2:1.

W rewanżu rozgrywanym w Londynie też nie obyło się bez kontrowersji. W drugiej połowie sędzia Daniel Siebert nie podyktował rzutu karnego dla Atletico, po tym jak Riccardo Calafiori nadepnął na stopę Antoine'a Griezmanna i spowodował jego upadek. Niemiecki arbiter uznał, że wcześniej Gabriel Maghalaes był faulowany przez Marca Pubilla. To nie była prawda, bo to Brazylijczyk kopnął Hiszpana. Niestety, VAR nie interweniował.

Rewanże 1/2 finału Ligi Mistrzów: Arsenal - Atletico 1:0 (Bukayoko Saka 45); pierwszy mecz - 1:1, awans: Arsenal; **Bayern - PSG 1:1** (Harry Kane 90+4 - Ousmane Dembele 3), pierwszy mecz - 5:4, awans: PSG.
Finał 30 maja w Budapeszcie. ©℗

eprasa.pl 7277978f22

SPORT

www.sportowy24.pl

ŻUŻEL
Junior „Aniołów" z dziką kartą na finał IMP
Antoni Kawczyński (Pres Toruń) ostatnim uczestnikiem pierwszego finału Indywidualnych Mistrzostw Polski na Motoarenie 16 maja. Junior otrzymał dziką kartę na ten turniej, w którym wystartuje także jego klubowy kolega Patryk Dudek oraz Krzysztof Buczkowski, Szymon Woźniak i Wiktor Przyjemski z Abramczyk Polonii Bydgoszcz. Rezerwowymi będą juniorzy Pres: Mikołaj Duchiński i Bartosz Derek.

FOT. MARCIN ORŁOWSKI

TENIS
Świątek gra w Rzymie
Dziś nasza najlepsza tenisistka rozpoczyna rywalizację w turnieju WTA 1000 w Rzymie, czyli międzynarodowych mistrzostwach Włoch. O godz. 11.00 zmierzy się z Amerykanką Caty McNally.

Anwil kontra Zastal, stawką play off. Asta jedzie po finał do piekła w Starogardzie

Joachim Przybył
joachim.przybyl@polskapress.pl

KOSZYKÓWKA. **Anwil w piątek zaczyna fazę play in i jeśli wygra z Zastalem, w ćwierćfinale zmierzy się z Kingiem Szczecin.**

Dla Anwilu ostatnim testem przed play in był wysoko wygrany mecz z Treflem 94:79. Trudno ocenić jego wiarygodność, bo wyżej notowani rywale przyjechali do Hali Mistrzów bez pięciu podstawowych graczy.

Włocławianie swoim zwyczajem potrzebowali czasu, żeby się rozpędzić, w 1. kwarcie przegrywali już 14 punktami. - Zaczęliśmy słabo w defensywie, ale potem poprawiliśmy ten element, co otworzyło drogę do skutecznych szybkich atakach. Jestem zadowolony z tego meczu, swoją rolę wykonali gracze z ławki rezerwowych. Wykonaliśmy dobrą robotę przed rywalizacją o play off. Jestem zadowolony z postępów w obronie i chcemy to kontynuować - mówi Ronen Ginzburg.

Wszyscy i tak byli już myślami przy play in i w środę włocławianie poznali swojego pierwszego rywala. - W tej lidze nie ma słabych drużyn, każda drużyna w play in walczy o najwyższy wynik. Musimy wygrać z każdym, jeśli chcemy bić się o mistrzostwo - zapowiada śmiało maturzysta Bartosz Łazarski, który dostał wreszcie kilka minut na parkiecie.

Zastal przyjedzie do Włocławka podbudowany wysokim zwycięstwem z Dzikami Warszawa. - Mamy dwie szanse na awans do play off, ale naszym celem jest pokonanie Anwilu już w piątek. Jesteśmy utalentowanym teamem i możemy walczyć z każdym zespołem w tej lidze. Anwil gra ostatnio w dobrym rytmie, kibice i hala są jego wielkim atutem. Potrzebna nam będzie dobra energia, na pewno nie możemy zacząć tak źle, jak ostatniego meczu w Hali Mistrzów - mówi Conley Garrison.

Obie drużyny borykają się z problemami zdrowotnymi. W środę w barwach Anwilu zabrakło Michała Michalaka i Mate Vucicia, ich występ w piątek też stoi pod znakiem zapytania. W Zastalu do szpitala z kontuzją oka trafił po ostatnim mecze Chavaughn Lewis, ale najlepszy strzelec rywali ma zagrać we Włocławku.

- Musimy z podniesioną głową jechać do Włocławka. Anwil jest na fali, gra szybką, bardzo dobrą koszykówkę. Jedziemy walczyć o wszystko, choć mamy w zasadzie jeden dzień na przygotowania - mówi trener Arkadiusz Miłoszewski.

TERMINARZ FAZY PLAY IN:
Piątek, 18:00: Anwil (7) - Zastal (8), Polsat Sport 3, 20:15: MKS Dąbrowa Górnicza (9) - Stal Ostrów Wlkp. (10), Polsat Sport 2. Niedziela, 20:15: przegrany Anwil/Zastal - zwycięzca MKS/Stal, Polsat Sport 1.

Asta jedzie po finał

Enea Abramczyk Astoria jedzie do Starogardu Gdańskiego po jedno zwycięstwo i awans do finału I ligi. Bydgoszczanie po dwóch meczach u siebie prowadzą 2:0, ale zwłaszcza wyrównany drugi mecz zwiastuje ciężką przeprawę w Stargardzie.

- Po drugim meczu pogratulowałem Astorii zwycięstwa, a mojej drużynie bardzo dobrej gry. Zagraliśmy dużo lepiej w defensywie, wcześniej byliśmy w tym elemencie zbyt łagodni. Teraz mamy własny parkiet i seria jeszcze nie została rozstrzygnięta - podkreśla trener rywali Darko Radulović

2:0 to solidna zaliczka w serii, ale jeszcze nie awans do finału i o tym bydgoszczanie muszą pamiętać. - W takich seriach decydują małe aspekty, każda seria punktowa ma ogromne znaczenie. Gramy do trzech zwycięstw, wracamy do piekła i chcemy zagrać jeszcze w Bydgoszczy piąty mecz - zapowiada Bartosz Majewski z Fulimpexu.

- Oby do tego piekła przyjechali także sędziowie - odpowiada Karol Gruszecki. - Mam nadzieję, że zagramy normalnie w koszykówkę, a mniej będzie takiego koszykarskiego błota. Sędziowie pozwalają w play off na bardzo dużo kontaktu i na to też musimy się przygotować. Łatwo nie będzie, musimy być twardsi niż w drugim meczu - dodaje jeden z liderów Asty.

Pierwszy mecz w Starogardzie w sobotę o 18.00. Jeśli będzie potrzebny czwarty, to zostanie rozegrany w niedzielę także o 18.00. ©℗

Kolejne emocje na torach. Jest szansa na trzy zwycięstwa

Magdalena Zimna
magdalena.zimna@polskapress.pl

ŻUŻEL. **Pres Toruń i GKM Grudziądz liczą na kolejne punkty na swoim torze. Faworytem na wyjeździe będzie Abramczyk Polonia.**

Obaj ekstraligowcy wiedzą, że walka o miejsca o miejsca w play off w tym roku może być wyjątkowo zacięta, a każdy punkt i bonus na wagę złota.

Pres wygrał oba swoje mecze na Motoarenie, ale rozmiary tych wygranych nie były przekonujące. Unię Leszno pokonał różnicą 2 punktów, GKM - 6. Przyczyna może leżeć na torze, nieco zmodyfikowanym po poprzednim sezonie. Miał zaskakiwać rywali, na razie wciąż uczą się go gospodarze.

A już dziś na Motoarenę przyjeżdża Falubaz. Po transferach Dominika Kubery i Andrzeja Lebiediewa w Zielonej Górze liczą na walkę o medale, ale na razie drużyna wygląda marnie: u siebie wygrała z Włókniarzem i przegrała z GKM, na wyjazdach nie dała rady Sparcie i Motorowi.

FOT. ŁUKASZ SZAŁKOWSKI

W Grudziądzu bardzo liczą na lepszą formę Fricke'a

Pres: 9. Dudek, 10. Lambert, 11. Bloedorn, 12. Michelsen, 13. Sajfutdinow, 14. Duchiński, 15. Kawczyński
Falubaz: 1. Kubera, 2. Curzytek, 3. Pawlicki, 4. Lebiediew, 5. Madsen, 6. McDiarmid, 7. Hurysz

Bayersystem GKM dziś pojedzie z leszczyńskimi Bykami. Rywale mają niezły skład i spore ambicje. Wyniki: dwie wygrane u siebie (z Włókniarzem i Stalą), minimalna przegrana w Toruniu (44:46) i 10-punktowa porażka we Wrocławiu. Indywidualnie najlepiej prezentują się Piotr Pawlicki (2,2 pkt/bieg) i Nazar Parnicki (2,15). Problemy Unii to kontuzja Janusza Kołodzieja (z/z) i słabsza forma Grzegorza Zengoty. W Grudziądzu kłopotów też nie brakuje, bo kiepsko radzi sobie Max Fricke. - Na razie nie chcę tego komentować, by nie powiedzieć za dużo - mówił Robert Kościecha, po porażce w Toruniu.

GKM: 9. Jepsen Jensen, 10. Szarszewski, 11. Drabik, 12. Fricke, 13. Tarasienko, 14. Iwański-Helt, 15. Małkiewicz
Unia: 1. Cook, 2. Rew, 3. Kołodziej, 4. Zengota, 5. Pawlicki, 6. Parnicki, 7. Mania

5. runda PGE Ekstraligi - piątek: Pres Toruń - Falubaz Zielona Góra (18.00), GKM Grudziądz - Unia Leszno (20.30); **niedziela:** Włókniarz Częstochowa - Stal Gorzów (17.00), Motor Lublin - Sparta Wrocław (19.30). Transmisje: Canal+Sport i C+online.

Abramczyk Polonia jako lider Metalkas 2. Ekstraligi w niedzielę jedzie do Piły. W składzie znów jest Aleksandr Łoktajew, w parkingu zostanie Tom Brennan.

Rywale przed sezonem wskazywani byli jako kandydat do spadku, ale póki co, radzą sobie nawet nieźle. Z czterech pierwszych meczów wygrali dwa: u siebie z ROW i z Ostrovią. Blisko wygranej byli też w Łodzi (przegrali 44:46), nie poradziła sobie w Krośnie (37:53).

POLONIA P.: 9. Basso, 10. Baryłka, 11. Cyfer, 12. Drejer, 13. Prędki, 14. Teska, 15. Musielak
POLONIA B.: 1. Woźniak, 2. Putkowski, 3. Huckenbeck, 4. Łoktajew, 5. Buczkowski, 6. Pawełczak, 7. Andrzejewski

5. runda Metalkas 2. Ekstraligi - niedziela (10.05): Polonia Piła - Polonia Bydgoszcz (13.00), ROW Rybnik - PSŻ Poznań (15.15); **2705:** Stal Rzeszów - Ostrovia Ostrów (13.00), Orzeł Łódź - Wilki Krosno (15.15). Transmisje: C+Sport5 i C+online.

Twarde Pierniki na wakacjach. Plan minimum wykonany

Joachim Przybył
joachim.przybyl@polskapress.pl

KOSZYKÓWKA. **Twarde Pierniki kończą sezon na dwunastym miejscu. Przy odrobinie szczęście mogło być dużo lepiej, choć to wciąż klub z jednym z najniższych budżetów.**

Arriva Lotto zakończyła sezon zwycięstwem z Arką Gdynia 95:86. Ten mecz to świadectwo niewykorzystanych szans w Toruniu. Twarde Pierniki były drużyną zdolną do zaskakiwania rywali z górnej części tabeli, wygrali we Włocławku, byli o krok od zdobycia Warszawy czy Gdyni, a jednocześnie tracili mnóstwo punktów z sąsiadami tabeli czy drużynami niżej notowanymi.0

- To był nasz bardzo dobry mecz, zagraliśmy twardo, byliśmy cały czas skoncentrowani, pomogła nam świetna atmosfera w hali. Dziękuje mojej drużynie, która w mocny sposób zakończyła sezon. To zresztą cecha tej organizacji, choćby było nie wiadomo jak trudno, to zespół zawsze walczy i daje z siebie wszystko - zauważa nie bez racji trener Srdjan Subotić.

To był jednak przed wszystkim wieczór Damiana Kuliga, który pod koszem zaliczył kolejny fenomenalny występ: 10/17 z gry, 15 zbiórek i 4 asysty. - Pokazał nam, jak należy walczyć na desce - przyznał trener gości Mantas Cesnauskis.

- Biorąc pod uwagę możliwości finansowe klubu i nasz raster, to wynik w sezonie jest dobry. Niedosyt jest na pewno, każdy chce walczyć no najwyższe cele. Naszym problemem były porażki w końcówkach kilku meczów, to nam podcięło skrzydła. Z każdego sezonu trzeba wyciągnąć lekcję i zobaczyć, co można było zrobić lepiej. Boisko na zweryfikowało na dwunaste miejsce - analizuje Damian Kulig.

FOT. AGNIESZKA BIELECKA

Damian Kulig był jednym z liderów Twardych Pierników

W Toruniu nadchodzi czas sporych zmian w klubie, ale trwają już prace nad nowym zespołem. Ważny kontrakt ma jeszcze trener Srdjan Subotić, a Kulig bez wątpienia jest na górze listy życzeń.

- Są już rozmowy, ale wstępne, wraz z końcem ostatniego meczu jestem wolnym zawodnikiem. Na razie nie rozważam innych ofert. Jestem takim koszykarzem, który najpierw kończy jeden sezon, a potem myśli o kolejny. Chcę odpocząć od koszykówki i wtedy usiądziemy do konkretnych rozmów o przyszłości - mówi środkowy, który sezon zakończył ze średnimi 13 pkt, 7.5 zbiórek i 2 asyst.

eprasa.pl 7277978f22